

MIKE
GAYLE



szkoda,
że Cię tu nie ma

**Spora dawka testosteronu, ogromna porcja dowcipu,
szczypta romantyzmu i odrobina nostalgii – męski
sposób pisania o miłości.**

Prasa o poprzednich książkach Gayle'a:

„Jaśniejsze światło rzucone na męską psychikę... Fanów
nie trzeba zachęcać”

Cosmopolitan

„Mike Gayle znalazł nową niszę literacką – męską powieść
zwierzeń. To wydawnicze wydarzenie roku”

Evening Standard

„Przepiękna, spostrzegawcza, nostalgiczna... Poruszy
najczulszą nutę u obu płci”

She

„Gawędziarski styl Gayle'a utrzymany w doskonałym
tempie”

The Time

ISBN: 978-83-7508-088-9



9 788375 080889

Cena detaliczna: 29,90 zł



MIKE GAYLE

szkoda, że Cię tu nie ma

z języka angielskiego przełożyła
Ewa Penksyk-Kluczkowska



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału: WISH YOU WERE HERE

Copyright © 2007 by Mike Gayle

Copyright © 2008 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2008 for Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt okładki: Wydawnictwo Sonia Draga

Zdjęcia na okładce: Sonia Draga

Redakcja: Bogumiła Szachnowska

Korekta: Mariusz Kulan, Magdalena Bargłowska

Wydanie pierwsze: czerwiec 2008

ISBN: 978-83-7508-088-9

Sprzedaż wysyłkowa:

www.soniadraga.pl

www.merlin.com.pl

www.empik.com

W / DAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

Pl. Grunwaldzki 8-10,40-950 Katowice

tel. 032 782 64 77, fax 032 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

Skład i łamanie: DT Studio S.C., tel. 032 720 28 78, fax. 032 209 8225

Katowice 2008. Wydanie II

Druk: Abedik, Poznań

„Cokolwiek dzieje się w Las Vegas, zostaje w Las Vegas”

*Słynna maksyma dotycząca urlopów spędzanych w Las Vegas,
„światowej stolicy rozrywki”*

WYSTRZEGAJ SIĘ LOKALNYCH BIUR PODRÓŻY

Kiedy siedzisz w domu, wertując stertę wakacyjnych folderów, które wzięłeś z biura podróży znajdującego się na głównej ulicy twojego miasta, nigdy nie myślisz sobie: „Te wczasy zmienią całe moje życie”, prawda? Ewentualnie myślisz może: „Przez te wczasy będę splukany już do końca roku”. Albo: „Na tym wyjeździe w końcu nauczę się języka tubylców”. Albo nawet: „Na tym urlopie nie będę się całował z przypadkowymi nieznajomymi”. Ale śmiem wątpić, czy przyjdzie ci do głowy refleksja: „Te wakacje zmienią całe moje życie”.

Tymczasem w zeszłym roku to właśnie zdarzyło się mnie: tanie siedmiodniowe wczasy zorganizowane z oferty last minute zmieniły moje życie w stopniu, którego nigdy sobie nie wyobrażałem. I nie mam tu na myśli zmian w rodzaju przemalowania przedpokoju po powrocie ani rzucenia palenia (po raz kolejny), ani nawet zmiany pracy. Mówię o wielkiej zmianie. Zmianie życiowej. Zmianie, która może nie wydawać się wielka, jeśli ktoś jest premierem Anglii, ale jeśli ktoś jest, powiedzmy, trzydziestopięcioletnim pracującym w Radzie Miejskiej Brighton i Hove, dopiero co rzuconym przez dziewczynę, to owszem, wydaje się wielka.

Mówię o zmianie, która odwraca człowieka o sto osiemdziesiąt stopni. O zmianie, która uderza jak grom z jasnego nieba. Mówię o zmianie z gatunku tych wpływających na całe życie. Nadal ledwie mogę w to uwierzyć. Ale to prawda: tanie wczasy zorganizowane zmieniły moje życie całkowicie. No więc posłuchajcie mojej rady: jeśli zmiana nie leży w kręgu waszych bieżących zainteresowań, wystrzegajcie się lokalnych biur podróży.

NA POCZĄTKU

Wszystko zaczęło się, jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, od końca czegoś wielkiego: końca mojego i Sary. Dziesięć lat byliśmy razem. I nagle pewnego dnia ona po prostu spakowała swoje rzeczy i odeszła. Trudno ustalić, jak przeszliśmy od jednego stanu do drugiego, ale jakoś nam się to udało. Trzy tygodnie później, w ciepły i słoneczny sierpniowy poranek wpadła zabrać kilka rzeczy i powiadomić mnie, kiedy weźmie całą resztę.

- O tej samej porze za tydzień - powiedziała w przedpokoju. - Może tak być?

- Jasne - odparłem. Woląłem wpatrywać się z natężeniem we wzór na dywanie wokół jej stóp niż spojrzeć wprost na nią. - Czego tylko sobie życzysz, chociaż jestem pewien, że nie wpakujesz tego wszystkiego do swojej micry.

To miał być żart, a nie przytyk. (Aczkolwiek od czasu jej odejścia zdarzyło mi się rzucić wiele żartów, które okazały się przytykami, i wiele przytyków, które nawet z grubsza nie przypominały żartów, jak również kilka przytyków, których absolutnie nie dało się odróżnić od napaści słownej, takie były subtelne). W każdym razie z wyrazu jej twarzy wyczytałem, że żart na temat samochodu odebrała jako osobisty przytyk. Przez kilka chwil zastanawiałem się, czy mam wyjaśnić, że już się z niej wyleczyłem, a stosunki między nami wróciły do normalności, ale nie wyjaśniłem oczywiście, ponieważ w ten sposób pokazałbym, że jestem przewrażliwiony na punkcie jej uczuć. „Przewrażliwiony”, przynajmniej w jej obecności, wydawało się kapkę za bliskie „bezbronnemu”, co zdecydowanie nie wchodziło w grę wobec takiej wampirzycy jak Sara. Zamiast więc przedstawiać to żartobliwe

wyjaśnianie, stałem tam tylko jak krety i dalej uparcie gapiłem się w dywan.

- Brat Olivera ma furgonetkę - tłumaczyła, po raz pierwszy tego dnia wymieniając przy mnie słowo na „O”. - Zgodził się pomóc mi przewieźć resztę rzeczy do nowego mieszkania.

Oliver był kolegą Sary z pracy. Nigdy go nie lubiłem i jestem pewien, że on nigdy nie lubił mnie. Ja jednak, w przeciwieństwie do niego, miałem czym usprawiedliwić swoje uczucia, a mianowicie tym, że jemu ewidentnie zawsze podobała się Sara. Odkąd po raz pierwszy napomknęła o nim w rozmowie, gdy zaczął z nią pracować (Sara była starszą kuratorką w służbach socjalnych Brighton), wiedziałem, że Oliver oznacza złe wieści. Kiedy wracała do domu z pracy, jej pierwsze słowa zawsze brzmiały: „Oliver powiedział to...”, „Oliver powiedział tamto...”, a potem oczywiście zaczęło się, bo musiało się zacząć: „Oliver mówił mi w czasie lunchu... „Ja jednak nie mogłem nic powiedzieć, ponieważ to było rzekomo oczywiste, że Oliver nie jest nią zainteresowany, ponieważ ma dziewczynę. Wpadła raz nawet do nas na kolację, ale nigdy więcej już jej nie widziałem, ponieważ niedługo potem się rozstali, ponieważ im „nie szło”.

Olivera natomiast widywałem nieustannie, do upojenia. Sara służyła mu za kamizelkę do wyplakiwania. Wpadał na kolację co najmniej raz w tygodniu, a kiedy organizowaliśmy spotkanie z przyjaciółmi, Sara zapraszała również jego. Pewnego razu popełniłem błąd, zauważając, że skoro spędza z nim w pracy każdą sekundę, to najpewniej on ją widuje więcej niż ja. To jej się zupełnie nie spodobało. „On właśnie zakończył najważniejszy związek swojego życia” - powiedziała. - „Nie możesz okazać mu choćby cienia współczucia?”. Nie mogłem oczywiście, ponieważ nie lubiłem Olivera. Uważałem, że jest nieznośny i nadgorliwy, i trochę za bardzo zadowolony z siebie, ale nie powiedziałem żadnej z tych rzeczy. Powiedziałem natomiast, że postaram się ze wszystkich sił i dam mu drugą szansę.

- Nic się nie zmieniło z Oliverem - powiedziała teraz Sara.
- Nawet gdyby się zmieniło - odparłem - to już nie jest w zasadzie moja sprawa.

- Wiem. Chciałam tylko to wyjaśnić, nic więcej.

Jej „wiem” nie miało być chyba zgorzkniałe, tylko pocieszające. Nie atakowała mnie. Raczej stwierdzała najzwyczajniejszy smutny fakt. Niemniej jednak nie poczułem się pocieszony ani trochę.

- O której chcesz przyjechać? - zapytałem.

- Około dziesiątej?

- Dobra.

- Będziesz w domu?

- A chcesz, żebym był?

Nie odpowiedziała.

Westchnąłem ciężko.

- Nie martw się, nie będzie mnie. - Sara zdecydowanie odczuła ulgę. - Zostawię ci klucze w korytarzu.

Kolejna długa cisza obwieściła koniec interesów. To miało być nasze ostatnie spotkanie. Choć Sara przeprowadzała się niedaleko, niespełna dwadzieścia minut drogi ode mnie, zdołała rozdzielić swoje i moje życie tak skutecznie, że niewielkie były szanse, by mogły się zazębić. Zmieniła supermarkety, tak żebyśmy przypadkowo nie wpadli na siebie w dziale płatków śniadaniowych; nie uprawiała już wieczornych przechadzek po „naszym” parku, nasz miejscowy pub, The George, był teraz (przynajmniej dla Sary) strefą zakazaną, a jeśli chodzi o wspólnych znajomych, to wszyscy wiedzieli, co jest grane, więc nie groziło nam krępujące spotkanie na przyjęciu.

- W takim razie to już wszystko. - Zerknęła na drzwi wejściowe, a potem z powrotem na mnie, i mocno zacisnęła wargi. - Dbaj o siebie, Charlie.

- Nawzajem - odparłem, po czym wykonałem coś w rodzaju półuśmiechu, żeby zasygnalizować, że doceniam ten przebłysk serdeczności. Ona też się uśmiechnęła i w tym momencie zapisałem sobie w głowie jej obraz.

Brązowe włosy zawiązane w koński ogon. Jasne zielonoszare oczy. Młodzieńcze rysy twarzy. Małe srebrne kolczyki w kształcie koła. Prążkowany zakiet w kolorze mięty. Zielony podkoszulek. Obcisłe niebieskie dżinsy z szerokim czarnym paskiem ze srebrną sprzączką. Czarne pantofle na płaskiej podeszwie, wyglądające jak baletki. Strój letni.

Sara sięgnęła nagle w dół po reklamówkę z H&M, wypchaną po brzegi rzeczami zagrabionymi z niegdysiejszej naszej sypialni. Nie mówiąc już ani słowa, otworzyła drzwi, wyszła na korytarz i zamknęła drzwi za sobą. Choć nienawidzę siebie za to, po jej wyjściu długo stałem, wpatrując się w drzwi, i modliłem się pełen nadziei, że może usłyszę nagły stukot skrzynki na listy, oznajmiający, że zmieniła zdanie. Ale nie doczekałem się. Odeszła. Na dobre. I prawdopodobnie na zawsze.

Nie wiedząc, co dalej robić, wróciłem do salonu, padłem na kanapę i włączyłem telewizor. Kiedy skakałem mechanicznie po kanałach, zadzwonił telefon. Mimo woli znów pomyślałem: „To ona”. Zmieniła zamiar i stoi przed wejściem, dzwoniąc do mnie z komórki.

- Charlie, brachu - odezwał się męski głos na drugim końcu. - Co robisz w przyszłym tygodniu?

- Co? - wydukałem, usiłując stłumić rozgoryczenie. - O co ci znowu chodzi, Andy?

- Pytam cię, co robisz w tygodniu po niedzieli. O to mi chodzi.

Przeniosłem się myślami w przyszłość. Zobaczyłem jedynie, jak snują się bez celu po mieszkaniu, próbując jeszcze bardziej pogorszyć swój nastrój.

- Nic ważnego - odrzekłem w końcu. - A czemu pytasz?

- Ponieważ... - zawiesił głos dla zwiększenia efektu - ...jedziesz ze mną na wczasy.

- Wczasy?

- Tak.

- Z tobą?

- Tak.

Zamilkłem całkowicie. Cały Andy. I wiedziałem, że jeśli nie chcę, by namówił mnie na coś, na co nie chcę być namówiony, to muszę być twardy.

- Nie mogę.

- Bo?

- Bo... bo nie mogę.

Andy'ego ani żdziebko nie zbiły z tropu moje wątpliwej jakości próby negocjacyjne.

- Wiesz przecież, że robię to dla ciebie, prawda? - zaczął. - Właśnie sobie siedziałem w domu i myślałem o tobie i... i o wszystkim, co się dzieje, i nagle przyszło mi do głowy: Charlie potrzebuje wczasów. Pomyśl o tym. Ty, ja i miła słoneczna plaża. Możemy wyluzować na tydzień, obalić kilka piwek i zabawić się - będzie świetnie. I nie musisz nawet palcem kiwnąć, stary. Dzisiaj po południu poszedłem do biura podróży i wszystko za ciebie zarezerwowałem. Ty musisz tylko wypisać mi czek na głupie czterysta funciaków, a w zamian dam ci wczasy życia. - Przerwał, jakby czekał na burzę oklasków. - I co ty na to?

Propozycja starego druha z college'u wzbudziła we mnie mnóstwo wątpliwości, ale dotyczyły one nie tyle samego wyjazdu na krótkie wczasy, ile raczej wyjazdu na wczasy z nim. Znałem Andy'ego zbyt dobrze, by pomimo jego długiego wstępu natychmiast nie zorientować się, że w tych wakacjach mojemu przyjacielowi w ogóle nie chodzi o to, żeby mi pomóc. Chodziło o to, że chciał wyjechać na wczasy bez swojej narzeczonej, a mnie używał jako wymówki. Pewnie powiedział Lisie, że chce mnie zabrać, bym doszedł do siebie po odejściu Sary, i choć w tych słowach mogła kryć się odrobina prawdy, to jednak miałem duże podejrzenia co do rzeczywistych, bardziej interesownych pobudek jego działań. Wręcz czułem przez skórę, że Andy zamierza wykorzystać ten wyjazd jako tygodniową zaprawę przed swoim ostatecznym wieczorem kawalerskim, a to oznaczało, że nieuchronnie zawlecze mnie w mnóstwo miejsc, do których nie będę chciał pójść, przekona

mnie do robienia rzeczy, których nie będę chciał robić, i w ogóle zmusi mnie do zachowań absolutnie nie leżących w mojej naturze.

A jednak miał rację. Rzeczywiście potrzebowałem wczasów. Potrzebowałem wytchnienia od codziennej rutyny. Odejście Sary całkowicie mnie zdołowało. I poza opcją wyjazdu solo (co w obecnym stanie umysłu w zasadzie w ogóle nie mieściło się w kategorii opcji) w grę wchodził tylko Andy. Na szczęście dla siebie miałem jeszcze jedną kartę w rękawie - doskonały sposób, by przekonać go, że jeśli mnie nakłoni do wspólnego wyjazdu, równowaga sił nie zawsze będzie korzystna dla niego.

- A co z Tomem? - zapytałem.

Zapadła krótka, ale wymowna cisza.

- Co z Tomem? - odparł, udając obojętność.

- No jego chyba też zaprosisz?

- Oczywiście, że nie. Dlaczego miałbym zapraszać nawróconego chrześcijanina na wczasy? Rozumiesz, oni nie słyną jakoś szczególnie z zamięłowania do rozrywki.

- Ale to twój kumpel.

Andy westchnął.

- Uczciwie trzeba przyznać, brachu, że Tom nawet w college'u zawsze był bardziej twoim kumplem niż moim.

- No to ja bez niego nie jadę - odparłem. - Więc jeśli chcesz, żebyśmy pojechali, to dzwoń po niego, bo naprawdę będziesz miał pełne ręce roboty.

Nie oczekiwałem, że usłyszę jeszcze od Andy'ego cokolwiek na temat wyjazdu, ponieważ byłem absolutnie pewien, że Tom mu odmówi, zanim on zdoła skończyć pierwsze zdanie. Ale gdy miałem iść do łóżka, tuż przed północą, zadzwonił telefon.

- Lepiej się zacznij pakować - rzekł Andy - bo moherowy Tom jedzie na wakacje z nami.

- Akurat! - roześmiałem się. - Myślisz, że dam ci czek ot tak, i zanim się zorientuję, że Tom z nami nie jedzie, ty go zrealizujesz i nie będę już mógł

się wycofać? Nie doceniasz mnie, Andy, nie jestem taki głupi. Nie ma takiej możliwości, żeby Tom zgodził się z nami wyjechać. Powiem nawet, że jeśli wziąć pod uwagę rozrywki, które zapewne planujesz na tym wyjeździe, to chyba prędzej byś przekonał do tej wycieczki papieża.

- Zero dwadzieścia cztery... - zaczął Andy.

- Co robisz? - przerwałem mu.

- Zachęcam cię, byś do niego zadzwonił.

- Myślisz, że tego nie zrobię?

- Ależ nie krępuj się. A tak dla twojej wiadomości dodam, że z Tomem poszło mi łatwiej niż z tobą. Powiedziałem tylko: „Masz ochotę na wyjazd w przyszłym tygodniu?”, a on od razu odparł, że w sierpniu w jego biurze zawsze jest dość spokojnie i że są szanse, że nie byłoby dla niego problemem wziąć trochę wolnego.

- Chcesz mi powiedzieć, że się zgodził ot tak, bez wahania?

- Widać moja siła perswazji nieźle działa na bogobojnych.

Milczałem i dumałem nad sytuacją. To mi w ogóle nie pasowało do Toma. Musiało chodzić o coś jeszcze.

- Wiesz, że do niego zadzwonię, prawda? - ostrzegłem Andy'ego. - I przykładnie skopię ci dupę, jeśli mnie wkręcasz.

- Jak już mówiłem - odrzekł zuchwale - nie krępuj się.

A kiedy to zrobisz, przypomnij mu, że jedziemy na wakacje w celach... rozrywkowych.

W następny poniedziałek Andy zadzwonił do mnie do pracy, żeby powiedzieć, że zarezerwował wczasy. Zapytałem, dokąd jedziemy, ale odmówił odpowiedzi, rzekomo z tej przyczyny, że chciał nam zrobić niespodziankę. Na myśl o niespodziance przygotowanej przez Andy ego poczułem się nieswojo: należał on do osób, których niespodzianki bywały naprawdę niespodziane. Kiedyś na przykład, gdy byliśmy jeszcze w college'u, Andy oznajmił,

że wyskakuje po papier. Siedemnaście godzin później zadzwonił do mnie z Belgii i poprosił, żebym wysłał mu telegraficznie dostateczną ilość pieniędzy, tak by wystarczyło na lot powrotny. Taki to gość.

Ale pomimo różnych niepokojów czułem jednak tak wielką ulgę, że mam ustaloną datę uwolnienia się z czterech ścian mieszkania, iż w zasadzie nie obchodziło mnie, dokąd jedziemy. Wiedziałem tylko, że kiedy Sara wyprowadzi się ode mnie już na dobre, moje życie stanie się równie puste jak mój dom. Pomyśl, by posiedzieć sobie gdzieś na słońcu - choćby przez tydzień - wydawał się więc idealny w mojej specyficznej sytuacji. Mogłem uciec od codziennej rzeczywistości i jednocześnie naładować baterie. A czy Andy zarezerwował nam tydzień na Kanarach, czy w ośrodku wczasowym Butlin w Minehead, nie miało zupełnie znaczenia. Liczyło się tylko to, żeby być gdzie indziej.

W ciągu tamtego tygodnia Andy opracował plan działania. Tom (stacjonujący w Coventry) miał wsiąść w pociąg do Brighton w sobotni wieczór przed lotem i prznocować u mnie. Andy (który mieszkał ze swoją dziewczyną Lisą w Hove) również miał przyjechać do mnie w sobotni wieczór i też prznocować. Po spokojnym niedzielnym śniadanku udamy się do Gatwick i wsiądziemy w samolot, który przeniesie nas do naszego tajemniczego celu podróży. To fajnie mieć plan. Po raz pierwszy od dłuższego czasu czułem, że dochodzę do siebie.

Sobota

NAWRÓCONY

Tuż po piętnastej w sobotnie popołudnie stałem w swojej sypialni i gapiłem się w pustą walizkę. W kategoriach symbolicznych (zawsze użytecznych, jeśli szukasz nowych i świeżych sposobów na pogorszenie nastroju) trudno byłoby znaleźć przedmiot bardziej odpowiedni niż pusta walizka, ponieważ puste było moje serce, a i moje mieszkanie zrobiło się prawie całkiem puste. Sara i Oliver przyszedli i poszli, kiedy ja robiłem na mieście spóźnione zakupy na te całe wakacje. W czasie, który upłynął pomiędzy ich wejściem a wyjściem, zdolali wynieść wszystko, co Sara posiadała. Teraz - w związku z faktem, że kiedy kupiłem to mieszkanie dwanaście lat temu, na moje meble składała się szafa w rozsypce, śmierdząca stęchlizną komoda i kanapa, którą pozyskałem ze śmietnika, i w związku z drugim faktem, że kiedy Sara się wprowadziła dwa lata później, zawarliśmy umowę, że ona z moim błogosławieństwem będzie eliminować z mieszkania kolejne meble i zastępować je rzeczami, które działały dobrze, a wyglądały ładnie (i nie pochodziły ze śmietnika) - moje mieszkanie nieuchronnie opustoszało. Aha, zostawiła biurko w sypialni dla gości (zapewne z tego powodu, że odpadł przód jednej z szuflad), półkę na książki w salonie, jak również kilka innych rzeczy, ale te wszystkie rzeczy, tak jak ja, już nie działały albo, tak jak mnie, już ich nie potrzebowała.

Ale wróćmy do pakowania. Otóż nigdy nie lubiłem się pakować. Nigdy. A to głównie dlatego, że nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi. Jak człowiek ma zgadnąć, czego może potrzebować w każdej poszczególnej sytuacji, która może nastąpić, kiedy się przebywa w obcym kraju? Na przykład

mam T-shirt, kupiony za czasów college'u, z napisem „Death To The Pixies” na przodzie. Wtedy nosiłem go nieustannie, ale teraz nie wkładam go już tak często. To znaczy nadal zdarza mi się czasami, że budzę się w weekend i myślę sobie: „Dziś naprawdę chcę włożyć swój T-shirt Death To The Pixies”, i przetrząsam wszystkie swoje ciuchy w stosie do prasowania, póki go nie znajdę. I chociaż teraz już jest szary (podczas gdy kiedyś był czarny i również nie tak ciasny jak dziś), wystrzępiony przy szyi i z rozprutym szwem pod pachą, włożę go i będę nosił cały dzień. I będę szczęśliwy. I na koniec dnia, kiedy on już spełni swoją rolę, zdejmę go i wrzucę do kosza na brudy, a potem będzie powoli przechodził swoją drogę wiodącą stopniowo ku likwidacji (od stosu z ciemnym praniem na podłodze w kuchni, przez pralkę, suszarkę, po stos z prasowaniem w sypialni dla gości - gdzie pozostanie nieuprasowany aż do następnego razu, kiedy będę go potrzebował). Jeśli pomnożyć ten problem, który mam z ukochanym T-shirtem „Death To The Pixies”, przez parę ulubionych dżinsów, białą koszulę, w której moim zdaniem wyglądam dobrze, adidasy, w których dobrze się chodzi (ale na które niekoniecznie dobrze się patrzy) i rozmaite mieszanki innych ubrań i dodatków, do których czuję się w różnym stopniu przywiązany, to już łatwo wyobrazić sobie dramat, który wywołuje u mnie pakowanie się na wakacje.

Jak więc sobie z tym radziłem w przeszłości? Szybka odpowiedź brzmi: „Sara”. Ona zawsze się tym zajmowała. Niedobrze jej się robiło, kiedy widziała, jak stoję z wydłużoną twarzą, trzymając w jednej ręce T-shirt „Death To The Pixies”, w drugiej zaś wytarte w kroku wyblakłe lewisy. Wykopywała mnie wówczas z sypialni i porządkowała to sama. A co najzabawniejsze, mimo że nigdy nie miałem nic wspólnego z pakowaniem swojej walizki, gdy tylko docieraliśmy na wakacje, zawsze (niezawodnie) znajdowałem w niej absolutnie wszystko, czego potrzebowałem, na każdą okazję. Buty odpowiednio do takiego, a nie innego baru. Koszula właściwa do takiej, a nie

innej restauracji. Szorty w sam raz na taką, a nie inną plażę. Wszystko. A pewnego razu (wczasy w Turcji w piątym roku naszego związku), kiedy potrzebowałem T-shirta odpowiedniego do całodziennego błakania się po miejscowym targu, otworzyłem walizkę i proszę bardzo: „Death To The Pixies” w całej swojej wyblakłej chwale, starannie uprasowana i złożona, dokładnie przede mną. Bez wahania uchylilem przed nią kapelusza (kapelusz również spakowała). Nikt nie umiał pakować walizki tak jak Sara. Nikt. Naprawdę zupełnie nie pamiętam, jak sobie radziłem z pakowaniem, zanim Sara pojawiła się w moim życiu. Przypuszczam, że w tamtych czasach miałem o wiele mniej rzeczy, więc było dużo łatwiej po prostu wrzucić wszystko, co posiadałem, do jednej walizki i zamknąć wieko.

Kiedy popołudnie zaczęło mi się kończyć niepostrzeżenie, a walizka pozostała pusta, doszedłem do wniosku, że najlepiej zrobię, odkładając pakowanie na później. Udałem się więc do swojego teraz już bezkanapowego salonu, usiadłem na jednym z dwóch starych krzeseł z jadalni, zostawionych przez Sarę, i włączyłem telewizor. Na jednym z kanałów kablówki puszczały stary odcinek *Murder She Wrote*, ale chociaż fabuła mnie wciągnęła, wyłączyłem go po dziesięciu minutach, ponieważ nie byłem w stanie przyjąć swojej zwykłej niedbalej pozycji. Właśnie rozważałem, czy nie jest za późno, by pojechać do miasta i zamówić nową kanapę z Argos (może coś w czarnej skórce?), gdy zadzwonił telefon. To był Tom. Siedział na dworcu i chciał, żebym go odebrał. Odłożyłem słuchawkę, wziąłem kluczyki do samochodu, chwyciłem płaszcz, zamknąłem drzwi wejściowe i po raz pierwszy od dawna, pamiętam to dokładnie, poczułem się szczęśliwy. Przyjazd Toma oznaczał, że moje plany wakacyjne weszły w fazę realizacji. W moim życiu zaś oznaczało to wskazany teraz pęd. Nie byłem już nieruchomy. Pędziłem natomiast ku nieznanemu.

Na dworcu natychmiast dostrzegłem Toma pośród tłumu ostatnio przybyłych podróżnych. Choć byliśmy z grubsza rówieśnikami, on zawsze wyglądał na starszego o ładnych parę lat. To przez brak włosów. Zaczęły mu wypadać zaraz po dwudziestce i teraz, kiedy przekroczył trzydziestkę, ledwie zauważałem jego łysinę. Mężczyźni, którym włosy wypadają wcześniej, sprawiają wrażenie spokojniejszych niż reszta. Zupełnie jakby mieli całe dziesięciolecie, by poradzić sobie z faktem, że ich włosy bezpowrotnie odeszły do historii, i dzięki temu, zanim osiągną trzecią dekadę, staje się rzeczą oczywistą, że ewidentnie mają w nosie, co się dzieje na ich czaszce. Posiadanie włochatej głowy nie jest już łączone z ich męską tożsamością. Taka jest po prostu kolej rzeczy. A kiedy kobiety mówią, że uważają łysych za seksownych (a jest ich niemało), to właśnie o tej grupie mówią, a nie o tych późniejszych, tak przerażonych swoją łysiną, że jedyne, co potrafią zrobić, to wyglądać na zażenowanych.

- Jak ci się zdaje, na ile wyjeżdżamy? - zapytałem, wpatrując się w ogromną walizę Toma i niewiele mniejszy plecak, które pomagałem mu załadować do mojego samochodu. - Na siedem dni. Nie na siedem lat.

- I założę się, że jeszcze się nie spakowałeś - zaśmiał się Tom.

- Za dobrze mnie znasz. Co u ciebie, stary?

- Nieźle - odrzekł. - Naprawdę nieźle. A u ciebie?

- U mnie? - Milczałem chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią. Tom nie miał pojęcia, że Sara odeszła, ponieważ mu o tym nie powiedziałem, chociaż doszedłem do wniosku, że sytuacja stanie się zrozumiała sama przez się, kiedy dostrzeże brak mebli w moim mieszkaniu. - O wiele lepiej, odkąd cię widzę - zakończyłem.

W ciągu minionych kilku lat widziałem Toma nie więcej niż parę razy. Bardziej to wynikało z kolidujących ze sobą planów naszych zajęć niż z braku chęci. Jeśli o mnie chodzi, to nawet gdybym go nie widział przez całą

dekadę, i tak wraz z Andym pozostałby jednym z moich najbliższych przyjaciół na całym świecie.

W pewne sobotnie popołudnie sześć lat temu, kiedy obaj zdołaliśmy uporządkować wreszcie swoje rozkłady zajęć, wyznacziliśmy sobie weekend na spotkanie. Sara wybrała się do rodziców w Norfolk, a ja pojechałem M40 do Coventry, do Toma. Minęło trochę czasu, odkąd ucieliśmy sobie należytą pogawędkę przez telefon, i jeszcze więcej, odkąd widzieliśmy się osobiście, a więc ta podróż pod wieloma względami była zaległa od dawna. Naprawdę się cieszyłem z tego spotkania. Spędziliśmy razem popołudnie, chodząc po sklepach ze sprzętem audio, ponieważ Tom był zainteresowany jakimś nowym systemem, a wieczorem poszliśmy na drinka do przybytku, który zapewne był jego miejscowym pubem. W każdym razie zajmowaliśmy się nadrabianiem zaległości nad kilkoma pintami bittera przy buzującym ogniu, kiedy Tom nagle posłał mi to dziwnie uroczyste spojrzenie i oznajmił, że ma dla mnie ważne wieści.

- Nawróciłem się na chrześcijaństwo - rzekł posępnie. - Pomyślałem, że powinieneś wiedzieć.

Upił swojego bittera i spojrzał na mnie wyczekująco, jakbym teraz miał poinformować go o swojej reakcji. A jeśli mam być szczery, to nie wiedziałem, co powiedzieć. Mimowolnie pomyślałem, że byłoby łatwiej, gdyby mi obwieścił, iż jest gejem, bo wtedy po prostu bym go uściskał serdecznie i podziękował, że mi się zwierzył. Okazałbym mu, jak bardzo akceptuję tę nową „stronę” jego osobowości, tworząc na poczekaniu listę mężczyzn, których rozważałabym jako pociągających dla mnie, gdybym miał stosowne skłonności, i ubawiłbym się, szukając wspólnych punktów w naszych „typach”. Ale oczywiście Tom nie był gejem. Był chrześcijaninem, co przyznać muszę, pomimo ogromnych moich wysiłków, odebrałem jako rozczarowujące.

Nawróconych na chrześcijaństwo zawsze uznawałem za nieco więcej niż chodzącą komunał. Niezbyt mnie obchodziło, co tam organizują w zaciszu

swoich kościołów, ale bardzo mnie obchodziło, kiedy to wszystko wychodziło na zewnątrz. Nie podobali mi się, gdy oglądałem ich w wiadomościach i widziałem, jak próbowali wpływać na prawa z gruntu świeckiego narodu. Nie podobało mi się, gdy wręczali mi ulotki obwieszczające, że Królestwo Boże jest blisko. A już szczególnie nie podobało mi się to, jak pukali do moich drzwi, żeby opchnąć jakąś swoją literaturę. Krótko mówiąc, gdybym miał wskazać jakąś grupę ludzi, z którymi najchętniej nie miałbym żadnego absolutnie kontaktu, byłiby to nawróceni na chrześcijaństwo. A teraz, ku mojej wielkiej konsternacji, Tom stał się jednym z nich.

W dużej mierze wyznanie Toma zaskoczyło mnie z tego istotnego powodu, że w ciemno wyłączyłbym go z kręgu potencjalnych nawróconych chrześcijan. W czasach studenckich był zdecydowanym królem przygodnego seksu i chociaż ostatnio nie śledziłem jego prywatnego życia, byłem pewien, że niewiele się zmieniło. W dalszej części wieczoru Tom opowiadał mi, jak to się wszystko stało. Kilka miesięcy wcześniej wyszedł z grupą kolegów na miasto i wdał się w pogawędkę z kobietą siedzącą z przyjaciółmi przy sąsiednim stoliku. Wyznał mi, że większość tego co nastąpiło później, stanowiła mgliste wspomnienie alkoholowego i seksualnego napięcia, ale następną rzecz, którą pamiętał, to przebudzenie rano w łóżku owej kobiety. I chociaż tego typu zdarzenia nie były w jego życiu rzadkością, to jednak ta przygoda znacznie różniła się od poprzednich, albowiem Tom nie pamiętał imienia kobiety ani też nigdy tego imienia nie poznał. Poczucie winy towarzyszące temu doświadczeniu nie odstępowało go przez długi czas. Powiedział mi, że zdał sobie sprawę, iż od czasu śmierci ojca, a miał wówczas dziewiętnaście lat, czuł ogromną pustkę w swoim życiu i rozpaczliwie starał się ją wypełnić. Minęło kilka tygodni i nagle przypadkowa rozmowa z koleżanką w pracy poskutkowała przyjęciem zaproszenia na mszę wielkanocną odprawianą w jej kościele. Po raz pierwszy w swoim życiu Tom znalazł to, czego szukał.

Byłem zdumiony. Sądziłem, że Tom tylko przechodzi fazę dziwaczności, z której ostatecznie wyjdzie. (Fazy dziwaczności, które dotknęły różnych przyjaciół z college'u i współpracowników w ostatnich latach, obejmowały zainteresowanie wojującym weganizmem, druidyzmem, hinduizmem, agorafobia, włamaniami i samobójstwem.) Kiedy więc zapytał: „Myślisz, że mam coś z dekle?” moja odpowiedź, muszę przyznać, brzmiała: „Tak”.

Później za każdym razem kiedy widziałem Toma, po trosze spodziewałem się, że zacznie fatalnie się ubierać, albo czekałem z zapartym tchem, aż zacznie wyciągać teksty o Bogu i Jezusie w trakcie gadki o domniemanym transferze w Chelsea. On jednak nie robił żadnych takich rzeczy. Był natomiast dokładnie taki sam jak zawsze, tylko wydawał się mniej... no... niespokojny... chyba. Zdecydowanie mniej niespokojny niż ja. Albo niż Andy. Albo niż którykolwiek ze znanych mi rówieśników. Sprawiał wrażenie, jakby wiedział, dokąd zmierza i po co. Jakby wszystko miało być zawsze dla niego w porządku. I nie zaczął tryskać wersetami z Biblii, śpiewać hymnów ani dziwaczyć. Po prostu był mniej wzburzony.

Kilka miesięcy później Tom i Anna (kobieta, która zabrała go na mszę wielkanocną) zeszli się. Rok później się zaręczyli, a rok po ich ślubie pojawił się na świecie Callum, ich pierwsze dziecko, po nim zaś Katie szesnaście miesięcy później. I chociaż ja przez wszystkie te lata jakoś wciąż myślałem o nim jako o ofierze swego rodzaju indoktrynacyjnej zмовy, z upływem czasu stawało się to dla mnie coraz mniej istotne i w końcu znów zacząłem myśleć o nim jak dawniej, że to po prostu mój przyjaciel Tom.

KAŻDEGO DNIA

Kiedy dotarliśmy do mojego mieszkania, wpuściłem Toma przed sobą i zaproponowałem mu kawę. Zapytał, czy może usiąść, a ja powiedziałem: „Tak, oczywiście, czuj się jak u siebie w domu”, co chyba było nie na miejscu, ponieważ on raczej chciał wyrazić myśl: „Stary, dlaczego już nie masz kanapy?”. Uznałem jednak, że wciąż jeszcze nie nadszedł właściwy moment na wyjaśnienie sprawy Sary, zniknąłem więc, by przygotować kawę. Nie poszedł za mną do kuchni, usiadł natomiast na jednym z niewygodnych krzeseł, by na mnie poczekać.

- Jak leci? - zapytałem, podając mu kawę po powrocie do salonu. Była to powtórka mojego powitania na dworcu, ale miałem nadzieję, że tym razem uzyskam nieco szersze odpowiedzi, które może rzucią trochę światła na kwestię, dlaczego zgodził się jechać na wczasy.

- Dobrze, dzięki - odparł Tom.

- A Anna i dzieciaki?

- Anna jest wspaniała... a dzieciaki... jak zawsze wywołują takie dziwne połączenie całkowitego zachwytu i wbijania zębów w ścianę ze zdenerwowania. Katie ma teraz trzy lata, a Callum już parę miesięcy temu skończył cztery i właśnie we wrześniu idzie do szkoły, co mnie przeraża jak diabli. No bo wiesz, kiedy dzieci idą do szkoły, to już w zasadzie wymykają ci się z rąk.

- Tom przerwał i rozejrzał się znacząco po pokoju. - A więc tak właśnie wygląda to, co trendy mieszkańcy Brighton nazywają minimalistycznym stylem życia?

- Podoba ci się? - spytałem. - To dzieło mojego architekta wnętrz. Jest bardzo dobra. Polecam ją każdemu, chociaż obawiam się, że umowa obejmuje mieszkanie z nią przez dziesięć lat.

Tom westchnął.

- Odeszła nieodwołalnie?

Kiwnąłem głową.

- Kiedy to się stało?

- Jakiś czas temu, ale rzeczy zabrała dopiero dzisiaj rano.

Ze smutkiem pokręcił głową.

- Przykro mi. Myślałem, że Sara jest dla ciebie naprawdę dobra.

- Też tak sądziłem.

- Domyślałem się, że nie ma szans, byście rozwiąziali problemy?

Bez entuzjazmu wzruszyłem ramionami.

- Raczej nie. To nie wyglądało na wspólną decyzję.

- Och. - Milczał chwilę, po czym zapytał: - Ale nic ci nie jest?

- Mnie? Oczywiście trochę jestem zdołowany, ale to nic takiego, czego nie można by wyleczyć tygodniem spędzonym na słońcu.

Tom znowu kiwnął głową i westchnął, jakby definitywnie kończył tę kwestię, a potem podjął temat mieszkania, co doprowadziło do rozmów o hipotekach, awansach zawodowych, starzeniu się i tyciu, starych przyjaciółkach, którzy zdawali się zapaść pod ziemię, i policjantach młodszych z każdą minutą. Nie rozmawialiśmy tylko o tym, o czym ja chciałem porozmawiać najbardziej. A więc w końcu zamiast czekać, aż on zacznie mówić, sam to po prostu zrobiłem.

- A więc, stary... - zacząłem ostrożnie. - Nie żebym się nie cieszył, że tu jesteś, ale dlaczego się zgodziłeś na ten wypad z Andym?

- Zawsze mogę pojechać do domu, jeśli nie chcesz, bym cię krępował - odparł żartobliwie.

- Oczywiście, że chcę, żebyś pojechał. Nie w tym rzecz. Po prostu... kiedy Andy wyszedł z tą propozycją, byłem pewien, że w to nie wejdiesz. I tyle.

- Ponieważ?

Wzruszyłem ramionami z zakłopotaniem.

- Ponieważ... no wiesz...

Tom się roześmiał.

- Panie, panowie - rzekł z teatralną emfazą - oto przed wami w całej okazałości słynny stereotyp nawróconego chrześcijanina.

- No ale daj spokój - powiedziałem, próbując wygrzebać się z tego bloczka, w które sam wlałem - na pewno wiesz, co mam na myśli. Tydzień w tym jakimkolwiek miejscu, które zaklepał nam Andy... no to nie licuje z Biblią, prawda? To znaczy ja się zrobiłem bardzo nieufny już w tej sekundzie, kiedy Andy zadzwonił, a przecież moje standardy moralne są, delikatnie mówiąc, raczej dość swobodne. Tak się tylko zastanawiam, jak on cię do tego namówił?

- Nie namawiał - odparł Tom. - Chciałem jechać. Tydzień wcześniej myślałem sobie, że powinienem wziąć trochę wolnego, więc kiedy Andy zadzwonił, uznałem: „Widocznie było mi to pisane”.

- Mówisz więc, że telefon od Andy'ego to był znak od Boga?

Tom się uśmiechnął.

- Wiem tylko, że dzięki wam, chłopaki, mam wolny od dzieciaków, wąłkoński tydzień na słońcu... a tego właśnie mi teraz trzeba... - Przerwał i rozejrzał się po pustym salonie. - I coś mi się zdaje, że tobie również tego trzeba.

- I tu się nie mylisz - przyznałem uprzejmie. - No to fajnie, że jesteś na pokładzie, ponieważ absolutnie wykluczone, żebym wyjechał na ten tydzień tylko z Andym.

- Ja też bym nie pojechał - odrzekł. - Chociaż zgaduję, że to nie on wpadł na pomysł, żeby mnie zaprosić.

- Tu akurat nie do końca zgadłeś - odparłem, próbując przemilczeć prawdę. - Ty i Andy jesteście kumplami, on tylko nie szaleje za tą całą religią.

- Może. Ale nie nazwałbym nas kumplami. No wiesz, nawet w college'u Andy był bardziej twoim przyjacielem niż moim. - Tom się uśmiechnął. - Nic się nie zmienił?

- A czy on mógłby się w ogóle zmienić?

- Nawet nie złągodniał ani trochę z wiekiem?

- Myślę, że starzenie się wręcz pogarsza sprawę - odparłem. - Teraz mamy mniej niż w młodości okazji do wyluzowania. Więc Andy przypomina wielką kulę uwiecznionej energii, czekającej na sposobność, żeby się uwolnić. Jeśli dzwoni, by pójść na drinka, to nie może się skończyć na jednym, to będzie sześć albo siedem, a potem zaciągnie cię do klubu. Jeśli masz ochotę w jakimś towarzystwie pooglądać kilka dvd, to wszystkie te filmy pójdą w zapomnienie, a spotkanie w twoim domu zamieni się w żywiołową imprezę. Poza tym jest w doskonałym stanie, ale ja mam wrażenie, że zawsze szuka kolejnej okazji do wybryków.

- Nadal się zajmuje malowaniem i tapetowaniem?

- Tak.

- Ciekawe, czy ludzie, którzy mu płacą za malowanie domów, zdają sobie sprawę, że on był prymusem z matematyki stosowanej?

- Myślę, że takich rzeczy nie pamięta nawet Andy. Ale mam także i dobre wieści, a mianowicie w końcu się pobiorą z Lisą.

Tom podniósł brwi w zdumieniu.

- To oni nadal są razem?

- Lisa należy do osób o anielskiej cierpliwości. No wiesz, czasami patrzę na Andy'ego i mimo woli czuję, że całe jego życie jest takie jakieś niepewne... w zasadzie mniejsza o to. Co ja wygaduję? Każdy z nas ma takie niepewne życie. Jakby trzymało się tylko na taśmie klejącej.

- Chyba masz rację - rzekł Tom. - Ale w przypadku Andy'ego to się zawsze wydaje bardziej oczywiste. Tyle że on zawsze taki trochę był, prawda? Jeszcze w college'u.

- Ale w tym właśnie rzecz. Nie jesteśmy w college'u, i to już od bardzo dawna. Wszyscy poszliśmy dalej.

- Tylko nie Andy.
- Tak, tylko nie Andy.
- Nieważne - rzekł Tom w końcu. - A co z tobą?
- A co ze mną?
- Wiem, że pewnie nie chcesz o tym mówić. Ale jak ty sobie radzisz?

Chodzi mi o to, że skoro Sara odeszła po dziesięciu wspólnych latach, musisz naprawdę za nią tęsknić.

- Codziennie - odparłem. - Tęsknię za nią każdego dnia.

MLEKO, DWA BODDINGTONY I PÓŁ PUSZKI FASOLKI

Kwadrans po ósmej zadzwonił dzwonek u drzwi i wiedziałem, że to Andy. Kiedy więc zszedłem na dół, by mu otworzyć, zdumiałem się nieco, widząc wraz z nim jego dziewczynę, Lisę. Nie sprawiała wrażenia osoby, która podrzuca swojego chłopaka i potem natychmiast wychodzi, lecz kogoś, kto wchodzi, zapewne wypija herbatę i w ogóle węszy dookoła, a może chce też pogawędzić. Choć może się to wydać dziecinadą, ale od jakiegoś czasu byłem w nastroju „dziewczynom wstęp wzbroniony” (wszystkie są niezrównoważone/nie wiadomo czego chcą/wszystkie są takie same - niepotrzebne skreślić). Oczywiście dla kobiet też było miejsce na świecie, ale moim zdaniem w tym dokładnie momencie ich miejsce nie znajdowało się w moim mieszkaniu, z moimi przyjaciółmi, żeby psuły nasze spotkanie przedwakacyjne.

Niewątpliwie Andy dobrze się spisał, zdobywając taką kobietę jak Lisa, a jeszcze lepiej, utrzymując ją przy sobie. Chociaż należał do mężczyzn stosunkowo atrakcyjnych (nieco mniej atrakcyjnych niż Tom, a nieco bardziej atrakcyjnych niż ja), to niezaprzeczalnie z nich dwojga bardziej atrakcyjna, na swój własny spokojny sposób, była Lisa. Jej długie brązowe włosy były tak ciemne, że w pewnym świetle wydawały się czarne, i stanowiły doskonałe obramowanie delikatnych rysów twarzy. W przeciwieństwie do niej Andy miał jasnobrązowe włosy ze śladami siwizny na skroniach. Jego oblicze było ciemne i wyraziste, jakby całe życie ciężko pracował w kopalni, a brwi tak gęste, że rzucały cień na całą twarz. Ogólne wrażenie poprawiały jednak oczy. Miały powalającą odcień zieleni zmieszanej z szarością.

Andy poznał Lisę w barze w Brighton pewnego wieczoru siedem lat temu, kiedy wyszliśmy obaj na drinka. Była Kanadyjką i od roku pracowała dla firmy zajmującej się marketingiem branży spożywczej, ale dopiero niedawno udało jej się przedłużyć wizę. Kiedy zeszli się z Andym, żartowałem, że Lisa leci tylko na brytyjski paszport. Z jakiego innego powodu ktoś tak atrakcyjny miałby żyć z kimś tak beznadziejnym jak Andy? Prawdę mówiąc, byłem doskonale świadom, dlaczego ktoś taki jak Lisa miałby żyć z kimś takim jak Andy. On miał mnóstwo uroku. Całe kopy. I nie jakiś tandetny, wazeliniański, tylko dobrej jakości, i to przez ten urok dziewczyny tak na niego leciały, a chłopaki chcieli się z nim kumplować.

Ja poznałem Andy'ego przez Pippę, dziewczynę, z którą zacząłem się spotykać na pierwszym roku college'u. Pewnego wieczoru, kiedy wyszliśmy z Pippą napić się czegoś w Brighton, dołączyła do nas jej przyjaciółka Lara, i to ona przyprowadziła Andy'ego. Z pubu cała nasza banda poszła do domu Lary na Coombe Road, gdzie Andy i ja zaczęliśmy ze sobą gadać. To była przyjaźń od pierwszego gadania... kilka punktów poniżej miłości od pierwszego wejrzenia. Andy powiedział mi o imprezie w Kempton, którą tylko głupek by sobie odpuścił. Wprawdzie wiedziałem, że Pippie będzie przykro, jeśli pójdę na imprezę bez niej, ale Andy przedstawił tak przekonujący argument („Będą dziewczyny, morze gorzały i naprawdę dobra muza”) i tak uparcie odmawiał przyjęcia odpowiedzi odmownej, że w końcu łatwiej było mi się zgodzić. I chociaż na skutek moich poczynań następnego dnia Pippa mnie rzuciła, koniec naszego związku doprowadził mnie do późniejszego poderwania Holly, fantastycznej studentki trzeciego roku projektowania mody, zapoznanej na tamtej imprezie.

Minusem przyjaźni z Andym było głównie to, że czasami stawał się on uciążliwy niczym pryszcz na dupie. Jeśli w college'u miałem do napisania esej na jutro, musiałem dosłownie chować się przed Andym, ponieważ

wiedziałem, że gdy mnie znajdzie, skończę w barze albo w klubie, albo na imprezie, a potem obudzę się następnego ranka z potężnym kacem i nadal nie napisanym esejem. I to ja bym musiał zmierzyć się z konsekwencjami wieczornego szaleństwa. To ja musiałbym wypłatywać nas z rozmaitych kłopotów, w które Andy nas wplątał. To zawsze ja musiałem po nim sprzątać. Myślę, że u źródeł problemu leżał wówczas fakt, że Andy nie chciał dorosnąć i robił wszystko, co się dało, by opóźnić nieuniknione wejście w dorosłe życie. Kiedy już opuścił college, nie chciał robić kariery (wybrał zatem ucieczkę w malowanie i tapetowanie). Nie chciał obowiązków z hipoteką (wolał natomiast płacić czynsz anielsko cierplivej Lisie).

Fakt, że w końcu uległ sugestii Lisy, by się zaręczyli, nie tyle dowodził jakiegokolwiek domniemanej zmiany jego poglądów w kwestii małżeństwa, co potwierdzał fakt, iż nawet on zaczynał sobie zdawać sprawę, że nie może być wiecznym dwudziestolatkiem. To dlatego właśnie podejrzewałem, że w tym naszym wyjeździe bardziej chodzi o niego niż - jak to starał się szeroko reklamować - o mnie. Wobec jego własnego ślubu odległego już niespełna o rok, widziałem, że te wczasy stanowią dla niego okazję, by znowu być młodym i głupim. I miałem silne, acz niemiłe przeczucie, że on stanie na głowie, by się tam zabawić.

- Wszystko dobrze? - zapytałem, z werwą witając Andyego i Lisę, chcąc jakoś zatuszować początkowe zaskoczenie.

- A pewnie - odparł Andy. - Wpuścisz nas, czy raczej niekoniecznie?

Nagle dostrzegłem, że stoję w progu, jakbym nie miał zamiaru wpuścić żadnego z nich do środka, i szybko poprowadziłem ich na górę. W drzwiach do mojego mieszkania stanąłem nagle i złożyłem coś w rodzaju uniwersalnego, zmęczonego życiem dementi:

- Sara zabrała swoje rzeczy. Tak, trudno oglądać telewizję, kiedy krzesło z jadalnego jest twoją jedyną wygodą. Tak, kupię jakieś meble, kiedy się wreszcie za to zabiorę. Nie, nie jestem zainteresowany żadnymi meblami,

których chcecie się pozbyć, ale doceniam wasze dobre chęci.

Andy się roześmiał i poklepał mnie po ramieniu, a Lisa wzniosła oczy do nieba, pocałowała mnie w policzek i weszła za narzeczonym do mieszkania.

- Heja, Bullock! - krzyknął Andy do Toma. - Nadal walczysz w Bożym szwadronie?

- Nie zwracaj na niego uwagi, Tom. - Lisa dźgnęła Andy'ego mocno w zebra. - Mój chłopak jest prosiakiem i doskonale o tym wie.

Tom wydawał się bardziej ubawiony niż zmartwiony uwagą Andy'ego, a kiedy uściskał Lisę, ona rzuciła coś o tym, jak długo go nie widziała. (Dwa lata, dla ścisłości, odkąd Tom, Anne i dzieciaki przyjechali do mnie i do Sary). Kiedy Lisa wypuściła go ze swojego uścisku, odwrócił się do Andy'ego i stali tak obaj, wpatrując się w siebie przez krępująco długi czas, a potem wybuchnęli śmiechem.

- Cieszę się, że cię znowu widzę - wyszczerzył się Tom.

- Nawzajem - odrzekł Andy. - Też się cieszę.

Kiedy oni dwaj zajęci byli rozmową, ja zapytałem Lizę, czy ma ochotę na drinka. Był to najdelikatniejszy sposób, by dowiedzieć się, jak długo zamierza zostać.

- O której wychodzicie, chłopaki? - zapytała, rozglądając się po moim pustym salonie.

- Nie ma pośpiechu - skłamałem. Wątpiłem, czy moja szczerą odpowiedź „Zaraz po tobie”, została by doceniona.

- W takim razie zostaną na herbatę - odparła - ale możesz sobie odpuścić te zimne poty, Charlie, ja wpadłam tylko dlatego, że musiałam podwieźć Andy'ego. Pewnie on wolałby wyskoczyć sobie szybko z samochodu, którym ja bym odjechała bez zatrzymywania. - Pochyliła się i z czułością zwichrzyła mu włosy. - Prawda, kochanie? Krępuję cię, co?

- Ogromnie - odparł Andy, nie odrywając oczu od telewizora. - Ja się napiję kawy, skarbie, skoro już jesteś na nogach.

- Zaczekaj - odrzekła - to Charlie... - przerwała i westchnęła, co zapewne robiła aż nazbyt często, żyjąc z Andym. Spojrzała na Toma. - Skoro desygnowano mnie na wykonawcę ciepłych napojów na wieczór, to może też ci coś zrobić do picia?

- Nie, dziękuję - odparł Tom nieufnie.

- Ależ spokojnie - zapewniła Lisa - nie mam nic przeciwko.

- No to dobrze, też poproszę kawę, jeśli można. Białą, bez cukru. Dzięki.

- Dobra, Charlie - powiedziała Lisa tonem, który nie zachęcał do żadnej dyskusji - chodź, pomożesz mi w kuchni.

Kiedy stałem przy kranie i napełniałem czajnik, Lisa buszowała po rozmaitych słoikach i puszkach, mieszkających na mikrofalówce, w poszukiwaniu kawy i herbaty.

- No więc jak się trzymasz? - zapytała, kiedy już namierzyła puszkę z herbatą w saszetkach, wyłowila jedną i położyła w gotowości na blacie.

- Świetnie.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę.

Lisa otworzyła lodówkę i zajrzała do środka.

- Mleko, dwa boddingtony i pół puszki fasolki - podsumowała żałośnie. Zamknęła drzwi i postawiła na blacie przede mną otwarty karton mleka. - Ani trochę się nie trzymasz, Charlie. W każdym razie tak mówi twoja lodówka.

- No to lodówka jest w błędzie.

- I Andy też tak mówi. Mówi, że wciąż mocno przeżywasz... no, no wiesz.

Wziąłem z blatu brudną łyżeczkę i przez kilka sekund pottrzymałem ją pod kranem.

- Widziałś ją w ogóle ostatnio? - zapytałem, unikając kontaktu wzrokowego. - Wiem, że nadal się widujecie.

- Rozmawiałam z nią przez telefon na początku tygodnia - odparła Lisa po kilku chwilach. - Nic specjalnego. Taka ogólnikowa rozmowa. Próbowałyśmy

ustalić datę, żeby się porządnie spotkać na mieście.

- Jak się czuje?
- W ogólnym rozrachunku czuje się chyba dobrze.
- Pytała o mnie?
- Nie, Charlie - westchnęła Lisa. - Proszę.

Wzruszyłem ramionami i wpatrzyłem się w czajnik, bulgoczący przede mną.

- Mam dla niej jakąś pocztę. - Wskazałem głową na stos listów wciśniętych między puszki na mikrofalówce. - To głównie śmieci. Powinienem je wyłożyć, żeby wzięła razem z meblami. Nie wiem, czy rozpaczliwie potrzebuje kolejnej karty kredytowej, ale jeśli ją zobaczysz...

Lisa odrzuciła tę propozycję ze skrępowanym uśmiechem.

- Świetnie - odparłem. - W takim razie podrzucę je z powrotem na pocztę.

Kiedy woda się w końcu zagotowała, a czajnik się wyłączył, sięgnąłem do szafki na ścianie, wyciągnąłem z niej pierwszy lepszy kubek i podałem go Lisie. Dopiero gdy trzymała go w rękę, dotarło do mnie, że widnieje na nim napis: „Najlepszy kochanek świata”. Lisa się tylko roześmiała i odstawiła go na blat, a ja stałem, skręcając się z zakłopotania.

Za każdym razem kiedy Lisa przychodziła do mnie, robiła dużo szumu wokół kwestii, że jest straszliwie grymaśna co do sposobu przygotowywania herbaty, i w związku z tym zazwyczaj robiła ją sama. Dzisiaj było identycznie i z jakiegoś powodu zacząłem się uważnie przyglądać jej procesowi parzenia herbaty. Wydawał się niczym nie różnić od mojego.

- Muszę cię prosić o przysługę - powiedziała Lisa, mieszając mleko w herbacie.

- Jaką?

Spojrzała na mnie w milczeniu.

- To dotyczy Andy'ego. Chcę, żebyś dopilnował, żeby mnie nie zdradził.

Jak niby miałem zareagować na taką prośbę? Instynktownie chciałem ją wyśmiać, ale jakiś dziwny wyraz w oczach Lisy powiedział mi, że to nie jest sprawa do śmiechu.

- Nie jestem głupia, Charlie - ciągnęła Lisa. - Nie wierzę ani przez sekundę, że Andy wpadł na ten pomysł z wyjazdem ze względu na ciebie.

- No w zasadzie...

- Nie musisz temu zaprzeczać. I tak zdobędziesz punkty za lojalność względem przyjaciela, jeśli na tym ci zależy.

- Słuchaj - zacząłem - Andyemu można wiele przypisać, ale nie jest aż takim idiotą.

- Może nie - powiedziała Lisa. - Ale kiedyś by sobie nie odmówił, gdyby miał okazję, prawda? Słuchaj, Charlie, mam w Montrealu trzech braci. Wiem, co robią faceci na wyjazdach.

- Nie zapominaj jednak, że on wyjeżdża z inwalidą emocjonalnym i narwroconym chrześcijaninem - odparłem. - Musiałby być nie lada szczęściarzem, żeby się zbliżyć do jakiejś dziewczyny ze mną i Tomem na holu.

Nie wydawała się przekonana.

- Proszę cię tylko, żebyś przynajmniej spróbował powstrzymać go przed zrobieniem czegokolwiek, czego mógłby żałować. - Lisa przerwała i napiła się swojej herbaty. - Wiesz, że on chce cię poprosić na świadka - podjęła.

- Nie wiedziałem. W ogóle o tym nie wspominał. A co z jego młodszym bratem?

Lisa pokręciła głową.

- Ty jesteś jego pierwszym i jedynym kandydatem.

- Naprawdę bardzo miło mi to słyszeć i... no... doceniam, że do mnie przychodzisz, ale wiesz... prawdopodobnie nie jestem najlepszym...

- Jesteś jego przyjacielem - przerwała. - Nic innego się nie liczy, prawda? Na pewno chcesz dla niego jak najlepiej? Więc mówię ci, że ja, jeśli nie będzie mi wierny, odejdę od niego. I nie zmienię zdania. Nigdy.

- Powiedziałas mu to?
- Nie użyłam tylu słów.
- Może powinnaś to przeliterować.
- Powiedziałam mu, że nie chcę, by jechał na te wczasy, a on i tak jedzie.

Wiem, jaki on jest, Charlie. I wiem też, jakie są dziewczęta na wyjazdach. I to mnie przeraża. To wszystko wygląda tak, jakby jakiś kryzys wieku średniego dopadł go o dziesięć lat za wcześnie. Postawi na swoim, a potem poczuje się, jakby odhaczył to z listy rzeczy do zrobienia przed ślubem, ale gdybym próbowała go powstrzymać, tylko by mnie znienawidził. Wiesz równie dobrze jak ja, że nie zawsze można ufać jego osądowi... przynajmniej jeśli chodzi o pewne pokusy.

- Dobra, spróbuję - skapitulowałem.
- Obiecujesz?
- Nie muszę. Jestem pewien, że on i tak nic nie zrobi.
- Być może masz rację. Ale przynajmniej poczuję się lepiej, jeśli będę wiedziała, że go pilnujesz.

Odstawiwszy swoją herbatę, Lisa podeszła do mnie, objęła ramionami i uścisnęła mocno. Natychmiast się zjeżyłem. Dziewczyna Andy'ego mnie obejmuje, jesteśmy w kuchni poza zasięgiem wzroku reszty towarzystwa i chociaż nic się nie dzieje, nie podoba mi się, że ta sytuacja mogłaby zostać trochę błędnie zinterpretowana. I dokładnie w tej chwili rozpoznałem u Lisy tę samą samotność, która prześladowała mnie w czasie ostatnich dni z Sarą. Nie mogłem nic poradzić. Objąłem ją.

- On cię kocha, wiesz - wyszeptalem jej do ucha, kiedy do mnie przyłgnęła.
- Miło, że tak mówisz - odrzekła cicho. - Ale moim zdaniem to nie jest prawda.

ON NAPRAWDĘ MUSI MIEĆ JAKIS PRZEDWCZESNY KRYZYS WIEKU ŚREDNIEGO

- No dobra - rzekł Tom, kiedy Andy wrócił z baru, niosąc trzy piny hoega-ardena. - Wiem, że dobrze się bawisz, trzymając przed nami w sekrecie miejsce naszego wypoczynku, ale mamy dość. Gdzie jutro jedziemy?

Minęła już dwudziesta pierwsza, a my siedzieliśmy we trójkę w moim miejscowym pubie, The George. Ten lokal to nic specjalnego. Po prostu jeden z kolejnych jasnych i przewiewnych, wyremontowanych pubów z drewnianą podłogą, skórzanymi kanapami, menu skłaniającym się ku kuchni śródziemnomorskiej i barem oferującym największy wybór butelkowanego wina i importowanych piw. O jego atrakcyjności decydowała klientela. Za mało serwowano tu głośnej muzyki, żeby przyciągnąć nadmiernie młodych, ale też było zbyt trendy, żeby przyciągnąć nadmiernie starych, George stanowił więc miejsce, w którym trzydziestopięcioletek mógł jeszcze czuć się swobodnie.

- Maestro, tusz - powiedział Andy, stawiając piwa na stoliku. - Przygotujcie się na wstrząs i zdumienie, bo oto po raz kolejny wujek Andy spełnia wasze oczekiwania, albowiem już jutro, drodzy przyjaciele, lecimy... na Krecie!

Patrzyłem na niego z przerażeniem.

- Wiem - Andy zapewne błędnie dopatrył się w mojej twarzy zachwyty.

- Genialne, prawda?

- Chyba pamiętasz, że już kiedyś byliśmy na Krecie? - zapytał Tom, ledwie skrywając niedowierzanie.

- No oczywiście - odparł Andy ostrożnie.

- Więc pamiętasz, co się tam wydarzyło?

- Oczywiście - odpowiedział. - Dlatego właśnie nie tylko lecimy znowu na Krete, ale nawet jedziemy do tej samej miejscowości.

- Do Malii? - wypaliłem zbulwersowany i pełen niedowierzania. - Do Malii? Chcesz mi powiedzieć, że ze wszystkich miejsc na całym świecie musiałeś wybrać to jedno jedyne, do którego na pewno nie chcę jechać?

- Klin klinem - rzucił Andy twardo. - Zażyj truciznę i zamień ją w odtrutkę.

- Andy, przyjacielu - powiedziałem z całym spokojem, jaki zdołałem z siebie wykrzesać - poza oczywistymi względami, których nie będę roztrząsać w tej chwili, wiesz równie dobrze jak ja, że nie możemy spędzić tygodnia w Malii. Malia to nieoficjalna stolica klubowa dla ludzi w wieku od osiemnastu do trzydziestu lat. I na wypadek gdybyś nie zauważył, spieszę ci donieść, że żaden z nas w tym przedziale wiekowym się nie mieści.

- Właśnie dlatego - odparł Andy - musiałem skłamać odnośnie do naszego wieku. Gdyby więc ktoś pytał, to ty masz trzydzieści, Tom dwadzieścia dziewięć, a ja dwadzieścia osiem lat.

Spojrzałem na Toma, by się upewnić, że nie tylko w moim odczuciu są to najgorsze ze złych wieści. Gorszych usłyszeć nie mogliśmy. Ale Tom wydawał się bardziej ubawiony niż wstrząśnięty całą sytuacją.

- Myślisz, że to śmieszne?

- Nie - odrzekł Tom, chichocząc pod nosem i patrząc na Andy'ego. - Myślę tylko, że taki właśnie jest finał, jeśli pozwala się McCormackowi rezerwować dla siebie wczasy.

- Tom ma rację - powiedział Andy spokojnie. - Tak właśnie się to kończy, kiedy pozwalasz mi, żebym zarezerwował ci wczasy. Ale dzięki mnie coś się dzieje, wszystko może się zdarzyć. Pomyśl o tym, Charlie. Jak miałeś dwadzieścia pięć lat, przeżyłeś w Malii najcudowniejsze wakacje swojego życia. Tak więc najlepszy sposób, żeby wyleczyć się z Sary, to wrócić tam i poznać kogoś innego, prawda?

GRA W KOSTKĘ LODU

To wszystko wydarzyło się dwa lata po tym, jak Tom, Andy i ja skończyliśmy studia na Uniwersytecie w Sussex i mieszkaliśmy w jednym domu w dzielnicy Bevendean w Brighton. W owym czasie Tom wrócił na uniwersytet i robił kurs podyplomowy, Andy był na zasiłku, a ja podjąłem swoją pierwszą pracę na niższym szczeblu zarządzania w dziale komunalnym Economic Development.

Aż do tamtej chwili nigdy nie byłem na wakacjach z nimi obydwoma naraz. Na pierwszym roku przez miesiąc objechałem pociągiem Europę z Tomem, ponieważ nie należał on do entuzjastów smażenia się na słońcu. Na drugim roku spędziłem tydzień na Kos z Andym, ponieważ nie należał on do entuzjastów muzeów i pomników. I chociaż sam pomysł wyjazdu na wakacje całej trójki istniał gdzieś jako taki, to wydawało się, że nigdy nie wejdzie on w fazę realizacji.

I oto pewnego letniego wieczoru Andy rzucił propozycję. Ja od razu zgłosiłem swój akces, ale byłem pewien, że Tom tego nie zrobi. Myliłem się jednak.

- Mnie się ten pomysł podoba - powiedział. - Tydzień na słońcu da mi szansę nadgonić lekturę tych wszystkich podręczników inżynierii, które mam przeczytać do września... no i wypić kilka piw. - Kiedy więc zostało to już uzgodnione, stworzyliśmy listę naszych wymagań względem wakacji. O ile pamiętam, owa lista wyglądała mniej więcej tak:

1. Dziewczeta.
2. Miejsca spotkań z dziewczętami.
3. Tani alkohol.

Andy wziął na siebie obowiązek zarezerwowania wczasów, ponieważ był najmniej zajęty z nas, i już następnego dnia przy obiedzie wyciągnął listę z nazwami trzech miejscowości, wybranych przezeń z tysiąca innych przy pomocy dziewczyny pracującej w Thomasie Cooku. Były to:

1. Faliraki, Rodos.
2. San Antonio, Ibiza.
3. Malia, Kreta.

Czy to z powodu dziewczyny w biurze podróży, czy ze swojej desperackiej potrzeby wyjazdu na wakacje, Andy naprawdę rozeznał się w temacie. Szczegółowo zaprezentował nam nie tylko plusy i minusy każdej miejscowości, ale też każdego hotelu oraz budynku mieszkalnego. Odrzuciwszy Ibizę, podejrzewając, że dziewczęta, które tam jeżdżą, mogą być trochę zbyt trendy dla takich facetów jak my, zawęziliśmy wybór do Faliraki i Malii. Rozważaliśmy tę kwestię najlepiej, jak tylko potrafiliśmy. Tom zauważył, że pakiet oferujący lot i hotel w Faliraki jest cokolwiek tańszy niż w Malii. Andy jednak sprzeciwił się, twierdząc, iż dziewczyny na stronie Malii w wakacyjnej broszurce wydają się nieco bardziej atrakcyjne. Poddaliśmy to pod głosowanie i chociaż Tom wcześniej bronił Faliraki, zdecydowaliśmy jednogłośnie, że celem naszej podróży będzie Malia.

No i mieliśmy już te swoje najlepsze dotychczasowe wakacje, a po dwóch dniach dostrzegłem jeszcze na dodatek Sarę i jej przyjaciółki, wylegujące się na leżakach nad basenem hotelowym. Była absolutnie oszałamiająca. Wstrząsająco. I doskonale zdawałem sobie sprawę, że żaden z moich wypróbowanych i sprawdzonych tandetnych tekstów bajeranckich nie zadziała w jej wypadku za nic w świecie. Taka dziewczyna jak Sara wymagała specjalnego podejścia. Jednorazowego, dzięki któremu zostałbym zauważony, a nie wyszedłbym przy tym na faceta, od którego uciekłyby w te pędy. I tak

zaczęłam swoją kampanię... uśmiechów. Właśnie tak. Nic innego. Uśmiechałem się, przechodząc obok jej stolika, gdy z koleżankami jadła lunch przy basenie. Uśmiechałem się, przechodząc obok niej w recepcji hotelowej. A gdybyśmy wyszli na drinka wieczorem i nasze grupki by się spotkały na ulicy, też bym się uśmiechnął.

Zawsze też posyłałem jej ten sam rodzaj uśmiechu. Krótki, przyjazny i niczego nie sugerujący, jakbyśmy byli kolegami z pracy albo dalekimi znajomymi. Po uśmiechu serwowałem szybki kontakt wzrokowy, a potem zerkałem gdzie indziej. Początkowo mnie nie zauważała, ale z czasem jej koleżanki dostrzegły, co robię, więc i ona zaczęła to dostrzegać. Wkrótce moja kampania przyniosła taki efekt, że kiedy podnosiłem wzrok, by się do niej uśmiechnąć, ona już była gotowa ten uśmiech odwzajemnić. I wtedy wiedziałem, że osiągnąłem dokładnie upragniony cel: trafiłem w samiutki środek jej świadomości.

Oczywiście obecność w jej świadomości nie była ostatecznym celem mojej kampanii. Potrzebowałem okazji, by pchnąć sprawę dalej. I oto okazja pojawiła się w postaci nocnej imprezy wyjazdowej, przygotowanej przez organizatora wczasów i umieszczonej w programie pod nazwą „The Club Fun Big Night Out” - gigantyczny rajd po pubach z udziałem całej naszej czterdziestki z hotelu.

W połowie tej nocy, przełknąwszy kilka kieliszków wódki smakowej i jaskrawych drinków galaretkowych w liczbie znacznie większej niż zalecana na pusty żołądek, zostaliśmy zagonieni przez przewodnika do baru o nazwie Flashdance. Tu przez swój megafon poinformował on wszystkich, że kiedy w barze wypijemy duszkiem darmowe drinki galaretkowe o smaku truskawkowym, czeka nas kilka rund gry w kostkę lodu.

Zasady były równie proste co odrażające dla trzeźwych. Dwie drużyny musiały stanąć w szeregu, w porządku chłopak/dziewczyna. Dwie osoby na przedzie dostawały szklanki od piwa, wypełnione po brzegi kostkami lodu oraz polecenie, by jak najwięcej kostek przekazać w jak najkrótszym czasie

następnym osobom, nie używając przy tym rąk. W praktyce ta tak zwana gra stanowiła po prostu wielki pretekst do ogólnego całowania, z którego wiele co bardziej atrakcyjnych dziewcząt, uczestniczących w rajdzie po pubach, natychmiast się wycofało. Sara też do nich należała. I kiedy właśnie sam zamierzałem także wyłączyć się z tej konkurencji, podeszła do mnie ukradkiem jakaś straszliwa Walijka i sugestywnie wyszczerzyła się w moim kierunku. Zdesperowany spojrzałem na Sarę i stwierdziłem, że ona już na mnie patrzy. Uśmiechnęła się. Ale uśmiechem innym niż te, które wymienialiśmy dotychczas. Bez słowa podeszła do mojego szeregu i stanęła na początku. A ja bez słowa wymknąłem się Walijce i - ku wielkiemu niezadowoleniu konusa w okularach - wcisnąłem się tuż za Sarę.

Gdy już wszyscy byli gotowi do gry, przewodnik wręczył szklanki wypełnione kostkami lodu, wrócił na podium i wściekle dmuchnął w zawieszony na szyi gwizdek. Powstał zgłęb i tumult. Cały bar wrzeszczał, krzyczał i wiatował. I kiedy facet stojący na początku drugiego szeregu walczył już dzielnie ze swoją sąsiadką, Sara dopiero zaczynała. Przechylając szklankę ku nabłyszczonym wargom, powoli wciągnęła kostkę lodu do ust, a potem odwróciła do mnie twarz z lekko drwiącym uśmiechem. Przyłgnąłem ustami do jej warg i zamknąłem oczy, a kostka przesunęła się zimnym ślizgiem na mój język. Przez chwilę zastanawiałem się, czy aby nie interpretuję błędnie sytuacji, ale nagle jej język wdarł się szybko w moje usta tuż za kostką i zrozumiałem, że już z nikim innym nie będę dzielił mrożonej wody.

Niedziela

BLUES NA PARKINGU DŁUGOTERMINOWYM

- Tam, przy tym zielonym range roverze! - krzyknął Andy.

- Daj spokój z range roverem - powiedział Tom. - Jedź do tego srebrnego minivana po drugiej stronie.

- Pieprzyć to. - Wcisnąłem hamulce. - Zaparkuję gdziekolwiek. Bo w tym tempie naprawdę nie zdążymy na samolot.

Było już późne popołudnie w niedzielę, która jeszcze niedawno wydawała się niesamowicie długa. Obwieściwszy nam w George'u, że spędzimy wczasy w Malii, Andy pogorszył jeszcze bardziej sytuację, podpuszczając mnie, bym mu dotrzymał kroku w drinkach przez resztę wieczoru. Kiedy wyszliśmy z pubu, zaciągnął mnie do monopolowego i kupił potężny zapas alkoholu do obalenia w domu. Za każdym razem gdy zdradzałem choćby cię chęci przerwania picia, po prostu ciskał we mnie takie gromy, że musiałem pić dalej. Co prawda ostatecznie nieźle się bawiliśmy (od dawna nie śmiałem się tak mocno, nie śpiewałem tak głośno i nie przeklinałem tak krzykliwie), ale mimowolnie pragnąłem, by Andy okiełznał ździebko swoją osobowość.

Około trzeciej nad ranem Tom oznajmił, że idzie do łóżka, i chociaż ja również chętnie bym to uczynił, Andy więził mnie przez kolejną godzinę, aż wymiękłem i zasnąłem na dywanie obok niego. Ponieważ nikt już nie dotrzymywał mu towarzystwa, Andy zrobił jedyną rzecz, jaka mu rzekomo pozostała: otworzył kilka kolejnych piw, wygrzebał z półki na korytarzu mnóstwo starych taśm z *Fast Show* i siedział sam przez kolejne trzy godziny, aż w końcu padł wyczerpany.

Dzięki zabawie do późnej nocy żaden z nas nawet nie drgnął aż do godzin zdecydowanie popołudniowych. A kiedy się w końcu obudziliśmy, Andy uparł się, że mamy się trzymać planu, który w punkcie pierwszym przewidywał śniadanie w Stomboli, kawiarni w Bevendean, gdzie regularnie bywaliśmy za czasów studenckich. Naprawdę pokrzepiająco podziałał na nas widok starej knajpy z jej tapetą imitującą boazerię i wesołych, łatwych do czyszczenia obrusów w kratkę na białym tle. A jeszcze bardziej ucieszyło nas to, że właściciel The George nadal stoi na posterunku. Jedyny problem z naszym nostalgicznym późnym śniadaniem polegał na tym, że trwało ono znacznie dłużej niż pół godziny, które na nie w planach przeznaczaliśmy. Nie byłoby jeszcze tak źle, gdybym miał już spakowaną walizkę, ale oczywiście nie miałem. Kiedy więc wróciliśmy do mieszkania, nie było wyboru - musiałem wrzucić do walizki zawartość mojej szafy, komody i stosu ciuchów do prasowania, a potem na chybił trafił wyrzucać poszczególne sztuki, póki nie zdołałem domknąć wieka. W efekcie zostało mi akurat tyle czasu, by pędem przelecieć po mieszkaniu, upewniając się, że wszystko jest powyłączane i pozabezpieczane, po czym w końcu wcisnęliśmy wszystkie swoje bagaże do mojego samochodu i skierowaliśmy się do najbliższej stacji benzynowej. Z pełnym bakiem pędziłem, jak to mówią, na złamanie karku w kierunku A23, zapewniając sobie tym samym pokaźną liczbę punktów karnych na koncie, o ile nie całkowitą utratę prawa jazdy.

- Niepotrzebnie się przejmujesz - powiedział Andy, kiedy wysiedliśmy z samochodu i zaczęliśmy wyładowywać bagaże na asfalt. - Zapewniam cię, że fotoradar nie zadziałał.

- Oczywiście, że zadziałał - odparłem. - Widziałem błysk.

- Mylisz się. Tom, powiedz mu, że się myli, dobra?

- Żartujesz - rzekł na to Tom. - Prawo jazdy ma z głowy jak w banku.

Wciąż spierając się z nimi, zamknąłem samochód, po czym udaliśmy się na przystanek autobusu lotniskowego. Po cieplejszych pierwszych dniach

sierpnia pogoda zaczęła się powoli psuć i kiedy spojrzałem w górę, zobaczyłem, że słońce toczy beznadziejną batalię z rozsianymi po niebie chmurami. Nie zważając na umiarkowane nasłonecznienie, wszyscy trzej przywdzialiśmy bez słowa okulary przeciwsłoneczne.

Już zaczynałem się obawiać, że może rzeczywiście nie zdążymy na samolot, gdy przyjechał autobus. I nawet kiedy do niego wsiedliśmy, załadowaliśmy bagaże i zajęliśmy miejsca, moje serce nadal waliło jak oszalałe. Na myśl o tym, że mógłbym zostać w Anglii choćby jeden dzień dłużej, oblewał mnie zimny pot.

Kiedy wreszcie zbliżyliśmy się do budynku portu lotniczego, stało się jasne, że wszyscy ludzie z całego świata właśnie jadą na wakacje. Taksówkarze, członkowie rodzin, przyjaciele i kochankowie, wszyscy zaparkowali w przeznaczony dla autobusów strefie krótkiego postoju. Dokładnie przed nami stała biała przedłużana limuzyna, obwieszczająca obecność studentów dysponujących nadmiernymi zasobami finansowymi. I oto banda wytwornych gośków wylała się z jej wnętrza na chodnik. Jeden z nich wyciągnął aparat, a pozostali zgromadzili się przed limuzyną, pozując do zdjęcia. Wszyscy wyglądali świeżo i tryskali energią, jakby właśnie mieli rozpocząć nowy etap swojego życia. I mimowolnie dokonałem porównania pomiędzy nimi a sobą dwudziestopięcioletnim, przypominając sobie własną młodość i nieustanny optymizm. Z pozoru nawet byliśmy podobni, w głębi duszy jednak nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego. Na tym polega różnica tych dziesięciu lat, pomyślałem, patrząc na roześmianą i żartującą grupę studentów. Jesteśmy jak ogień i woda.

BEZPAŃSCY

Stojąc w wejściu do hali odlotów za Andym i Tomem, a przed elektronicznymi drzwiami wyczekującymi na nas po drugiej stronie, uczepiłem się myśli, że zapomniałem czegoś bardzo ważnego. Penetrowałem swój mózg, próbując ustalić, czym może być owa zapomniana rzecz, ale trudno było się skoncentrować pod gradem komunikatów z megafonów - loty opóźnione, rozpoczęcie odprawy, zaostrzone środki bezpieczeństwa - wszystko to mnie rozpraszało. Dwa razy sprawdziłem paszport oraz bilety, ale tkwiły bezpiecznie w tylnej kieszeni spodni, a nawet otworzyłem walizkę i sprawdziłem, że mam T-shirt „Death To The Pixies”. Kiedy zamknąłem walizkę, przypomniałem sobie, o czym albo raczej o kim zapomniałem - o Sarze. To zawsze ona sprawdzała po dwa razy, czy mamy wszystko, co trzeba. To dlatego tu na lotnisku czułem się tak dziwnie. Bez siatki asekuracyjnej w postaci jej obecności, skąd miałem brać pewność, że nie zostawiłem niczego ważnego?

Zanim dotarłem do stanowiska odprawy, zostało tylko pięć minut do jej zamknięcia, ale kolejka wciąż liczyła jakieś dwadzieścia, trzydzieści osób. Tom podsłuchał coś od ludzi przed nami, że personel lotniska przeproszał za opóźnienie w rozpoczęciu odpraw dzisiejszego popołudnia. Mogliśmy więc w końcu odetchnąć z ulgą. Zostaliśmy ulaskawieni.

Kolejka przed nami składała się z ludzi najrozmaitszych typów. Staruszkowie z wózkami bagażowymi zapakowanymi po brzegi. Trzypokoleniowe rodziny, których członkowie mówili chyba wszyscy naraz. Zadbane młode

pary rozpoczynają ce najwyraźniej swoje pierwsze wspólne wakacje. Odpicowani młodzieńcy z opalenizną z salonu i pasemkami, wydymający wargi i pretensjonalni do granic możliwości. Niechlujna młodzież w wieku studenckim, flirtująca ze sobą w przedbiegach do wakacyjnej gry wstępnej. Grupki dziewczyn, które wyglądały, jakby właśnie wyszły z nocnego klubu. Zatroskani rodzice pomagający przy bagażu swoim rozgorączkowanym potomkom wyjeżdżającym na pierwsze samodzielne wakacje. Prymitywni z wyglądu chłopcy w bejsbolówkach, którzy zaśmiewali się i żartowali z siebie nawzajem. I wreszcie my: trzej stosunkowo dobrze ubrani, ale średnio piękni trzydziestoparoletni faceci w różnych stadiach łysienia. Założę się, że rzucaliśmy się w oczy z daleka w tej kolejce, bo byliśmy jacyś tacy niekompletni, jakby nam czegoś brakowało - jak zbłąkane psy porzucone przez właścicieli. Dorośli mężczyźni bez swoich połowic.

Stopniowo zmniejszała się kolejka przed nami i gromada chłopaków około dwudziestki, którzy próbowali się wepchnąć przed nas, ale Andy osadził ich na miejscu. Kobieta przy stanowisku odprawy podała bilety powrotne, karty pokładowe i paszporty Andy'emu, zakładając, podobnie jak wszyscy, że jest on naszym przywódcą.

- Idę po gazety - oznajmił przywódca. - Ktoś coś chce?

- Pójdę z tobą - powiedział Tom. - Może dostanę przewodnik po Krecie.

- A po co? - zapytał Andy. - Przecież będziemy tylko jeść, pić i leżeć na plaży. Do tego chyba nie potrzebujesz przewodnika, prawda?

- Jeśli myślisz, że spędzę cały tydzień, gapiąc się w słońce, to grubo się mylisz - powiedział Tom bezbarwnym głosem. Odwrócił się do mnie i mrugnął okiem. - Pojedziesz ze mną na parę wycieczek, prawda, stary?

- Pojadę wszędzie i z każdym - odparłem, próbując zachować spokój.

Kiedy Andy i Tom poszli do kiosku, ja stałem i przyglądałem się grupie ludzi, którzy najwyraźniej właśnie wrócili z wakacji i zgubili się w drodze do hali przylotów. Niektórzy mieli na głowach słomkowe kapelusze ze straganów, jakby wciąż kąpali się w promieniach słońca, zostawionego hen daleko. Wyglądali na odpężonych i wolnych od trosk, w jawnym kontraście do koleśki w jaskrawych żółtych kamizelkach, którzy zbierali porzucone wózki, a wyglądali na nieszczęśliwych i umęczonych. Widok tych odświeżonych na wakacjach ludzi wywołał mój uśmiech, ponieważ oni mieli to - swój pogodny stan ducha - czego właśnie sam pragnąłem. Może za siedem dni ja również nie będę się czuł tak skłócony ze światem. Może wrócę na Gatwick w stroju nieodpowiednim na nieistniejące brytyjskie lato. Może wrócę jakoś odmieniony. Inny.

W pubie poprzedniego wieczoru Andy obiecał mi, że te wakacje zmienią moje życie. Obiecywał śmiech i nowe doświadczenia. Nowe historie do opowiadania i nowe kobiety do wysłuchiwania tych historii. Chociaż w pewnym momencie przyłapałem się na odruchowej refleksji: „Oj Andy, masz chyba zbyt duże oczekiwania od tanich wakacji w pakiecie z oferty last minute”, ale potem, kiedy chłodną nocą szliśmy do domu przez Brighton, pomyślałem sobie: „Może on jednak ma rację. Wszyscy mają oczekiwania względem wakacji. Chcemy, żeby nas odnowiły, rozerwały i znalazły nam nowe miłości. A więc dlaczego te wakacje miałyby być inne?”

Kiedy moi przyjaciele wrócili z kiosku, ruszyliśmy do kontroli paszportowej. Teraz od hali odlotów dzieliła nas tylko kontrola bezpieczeństwa. Przechodząc przez wykrywacz metali, Andy uruchomił alarm, podobnie Tom - obaj zapomnieli opróżnić kieszenie z monet - więc kiedy ja rozpocząłem marsz przez bramkę, byłem przekonany, że również ten alarm uruchomię, chociaż kieszenie miałem puste. Z niemałą ulgą znalazłem się po drugiej stronie bez żadnego elektronicznego piknięcia czy błysku. Przeszedłem.

Byłem bezpieczny. Nie mogłem już wrócić, a gdybym nawet chciał, to byłyby z tym duże problemy. Teraz stałem w królestwie tańszych perfum i wód po goleniu, wielopaków fajek i litrowych flaszek gorzały. To już nie była Anglia. To był raj kupujących.

- Czy ktoś ma ochotę na przechadzkę po sklepach? - zapytałem, kiedy Andy namierzył rząd foteli w hali, żeby wykorzystać go jako bazę, gdy będziemy czekać na wywołanie naszego lotu.

- Nie, dziękuję - odparł Andy. - Poczytam sobie gazetę.

Obejrzałem się na Toma.

- Ja też sobie podaruję, stary. Nie mogę się doczekać, żeby sprawdzić kilka rzeczy w przewodniku.

Niezniechęcony brakiem konsumpcyjnych potrzeb moich przyjaciół, sam obszedłem co ważniejsze sklepy w hali odlotów. I chociaż w zasadzie niczego akurat nie potrzebowałem, i tak zdołałem wrócić z mojego obchodu z kilkoma paczkami pastylek owocowych, dwiema butelkami wody mineralnej i trzema książkami z Waterstones.

- Ile trwa lot? - zapytał Andy, podnosząc wzrok znad gazety, kiedy siedłem obok niego.

- Cztery i pół godziny - odparłem. - Próbujesz obliczyć, czy zdążymy dotrzeć do hotelu, a potem jeszcze wyjść i się urżnąć, tak?

- Mędrzec zawsze wie, ile czasu mu zostało na picie.

- Nigdy nie słyszałeś o odmierzaniu sobie tempa? Ja wciąż się jeszcze czuję trochę ciężko po ostatniej nocy.

- Lepiej by było, gdybym pojechał na wakacje z tamtym towarzystwem - skarcił mnie Andy, wskazując na grupę dziewcząt, prezentujących niezliczoną ilość pasemek, spandeksu, złotych pierścieni, tatuaży i nagiego ciała, o wiele większą niż średnia przypadająca na jakąkolwiek grupę ludzi. - Myślisz, że one zamierzają pójść do łóżek, kiedy tylko dotrą na Krete?

- Są młode - odparłem. - Nauczają się.

- Nie sędę - rzekł Andy. - Może są młode, ale zapewniam cię, że niczego się nie nauczą. Popatrz na mnie, kończę trzydzieści sześć lat i z dumą mogę powiedzieć, że jeszcze nigdy w życiu niczego się nie nauczyłem.

LUZDZIE DO ŻEGNANIA

Właśnie rozprawialiśmy o dziwnym zjawisku, że gdy człowiek wyjeżdża na wakacje, zawsze umiera ktoś sławny, kiedy Andy'emu przerwał płynący z megafonu komunikat, w którym wskazano bramkę dla podróżnych lecących do Heraklionu. W naszym kącie hali odlotów nastąpiło gwałtowne ożywienie, po czym ludzie marszem ruszyli do bramki.

- A więc już czas - rzekł Tom, składając gazetę. - Lepiej szybko zadzwonię do Anny.

- To może ja też zadzwonię do Lisy - dodał Andy, wyciągając telefon.

- Dobra - powiedziałem, wstając. - Zobaczmy się przy wejściu.

Tom i Andy mieli z kim się żegnać, ale ja nie miałem nikogo i przez krótką chwilę czułem się, jakbym najbardziej na świecie pragnął mieć kogoś, kto chciałby odebrać telefon ode mnie. Kogoś, komu byłoby smutno, że mnie już tu nie ma. Zastanawiałem się, czy zadzwonić do Sary, i kiedy znalazłem się w kolejce do samolotu, wyciągnąłem nawet telefon i zacząłem szukać w książce adresowej jej numeru. Ale potem wyobraziłem sobie, jak ona odbiera ten telefon. Wyobraziłem sobie, że słyszę rozczarowanie w jej głosie. Wyobraziłem sobie swoją reakcję. I wiedziałem, że nie chcę, by to uczucie było ostatnią rzeczą, którą będę miał w głowie na pokładzie samolotu. Wyłączyłem więc telefon, zanim zdążyłem wyrzucić jakąkolwiek szkodę, i wsunąłem go do torby podręcznej, obok książek i wody w butelkach.

Pomimo wyłączonego telefonu Sara jednak pozostała w moich myślach.

Była tam, kiedy podawaliśmy swoje karty pokładowe i kiedy maszerowaliśmy do autobusu. Kiedy przecinaliśmy płytę lotniska i wchodziliśmy po trapie do samolotu. Kiedy słuchaliśmy poleceń, żeby wyłączyć wszystkie telefony komórkowe i urządzenia elektroniczne. I była tam, kiedy wbijano nam do głowy, co robić w sytuacji zagrożenia, i wskazywano wyjścia awaryjne. Była nawet wtedy, gdy przygotowywaliśmy się do startu i kołowaliśmy po pasie. Ale gdy kabina zaczęła się trząść, a ryk silników wypełnił nasze uszy, jej obecność zaczęła w końcu przygasać, tak że zanim wzbiliśmy się w powietrze i przebiliśmy się przez chmury, zniknęła całkowicie.

BO KIEDY JEDZIESZ NA WAKACJE, TO TAKIE RZECZY SIĘ ZDARZAJĄ

Zgodnie ze słowami naszego pilota mieliśmy wylądować na lotnisku w Heraklionie o dwudziestej trzeciej piętnaście czasu miejscowego. Lot minął niemal spokojnie. Przy początkowym wybuchu energii wszyscy trzej staliśmy się całkiem rozmowni, czerpiąc wielką przyjemność z penetrowania zasobów żenujących anegdot i wspomnień z czasów studenckich, ale po jakimś czasie w samolocie zapanowała dziwnie jednorodna cisza i z wyjątkiem niekiedy krzyczącego dziecka, większość pasażerów jadła, spała, czytała albo oglądała film *Miss Agent 2*, stary odcinek *Tylko głupcy i konie* oraz film dokumentalny o zegarach. Ja usiłowałem rozerwać się czytaniem jednej ze swoich trzech książek, zatytułowanej *Dotknięcie pustki* autorstwa Joe Simsona. Absolutnie pasjonująca relacja dwóch przyjaciół, który wspięli się na szczyt Siula Grande w Andach, o wysokości 6344 m n.p.m., a w drodze powrotnej wplątali się w kłopoty. Kilka lat temu oglądałem z Sarą film dokumentalny zrobiony na podstawie tej książki. Po seansie Sara powiedziała do mnie, że gdybym to ja był z Andym na tej górze, Andy bez wahania odciąłby linę, wiedząc, że skazuje mnie na śmierć. Zapewniłem ją, że się myli. Andy nigdy w życiu nie odciąłby liny. To zupełnie nie w jego stylu. Ale kiedy przeczytałem kilka pierwszych rozdziałów książki, przyszło mi do głowy, że nigdy nie analizowałem tej sytuacji w drugą stronę. Gdyby życie Andyego było w moich rękach, to czy odciąłbym linę? Nie zdołałem jednak dojść do żadnego wniosku, nawet po kilkugodzinnych wewnętrznych rozważaniach. W końcu zrezygnowałem z książki, a zająłem się oglądaniem *Miss Agent 2* bez słuchawek.

Z elektronicznym „ding” wyłączył się znak zapięcia pasów bezpieczeństwa, pogrążając cały samolot w przypiływie szalonej krzątaniny. Pasażerowie gorączkowo odpinali pasy, rozładowywali schowki na bagaże i tłoczyli się w przejściach, chcąc opuścić pokład w pierwszej kolejności.

- Po co ten wielki pośpiech? - zapytał Andy odrobinę za głośno. - Przecież nie dotrą do hotelu ani trochę szybciej. I tak muszą czekać na całą resztę.

- Pewnie tak - odparłem, ale prawdę mówiąc, tak jak i oni nie mogłem się już doczekać opuszczenia samolotu. Tak jak oni chciałem od razu zacząć wakacje. Byłem na wczasach, mój czas należał tylko do mnie. Mogłem pójść, gdzie chciałem, i co ważniejsze - mogłem być, kim chciałem. Nie mogłem czekać. A kiedy nadeszła nasza kolej, by w wąskim przejściu jeden za drugim skierować się do drzwi, najchętniej ruszyłbym biegiem. Stewardessy żegnały się z nami, ale ja byłem zbyt podekscytowany, żeby im odpowiedzieć, pochłonięty egzotyczną podniętą wyjścia prosto z klimatyzowanego, chłodnego wnętrza samolotu w gęsty zaduch śródziemnomorskiej nocy. Ciepło było prawdziwe. Niemal dotykalne. W tym kraju przydarzą mi się dobre rzeczy. Czuję to przez skórę.

Kiedy tylko przeszliśmy kontrolę paszportową, Andy, Tom i ja włączyliśmy swoje komórki i wpatrywaliśmy się w nie wyczekująco. Ale o ile Tom i Andy, pomimo braku wiadomości, cieszyli się jak dzieci, porównując nazwy i loga greckich operatorów komórkowych, do których zostali przydzieleni, ja tylko patrzyłem na swój aparat z niedowierzaniem. Całkowicie bez swojej wiedzy, kiedy byliśmy w powietrzu, otrzymałem SMS-a od Sary:

*Sara: Charlie, muszę z tobą porozmawiać o czymś ważnym.
Zadzwoń do mnie, proszę, w wolnej chwili. S.*

- Co jest, stary? - zapytał Tom, najwyraźniej odczytując niepokój na mojej twarzy.

- Nic - potrząsnąłem głową, jakbym budził się ze snu. Szybko wyszedłem z treści wiadomości. - Wszystko w porządku. Tylko nie odebrałem połączenia.

Andy podszedł do mnie i potargał mi włosy, jakbym był pięcioletkiem.

- Teraz jesteśmy na wakacjach, brachu. Głowa do góry. Jak pójdziemy po odbiór bagażu, my z Tomem weźmiemy walizy, a ty możesz przyprowadzić wózek.

Chociaż miałem już zdecydowanie po dziurki w nosie organizacji Andyego, nie miałem siły zaprotestować. Przed nami czekały przynajmniej dwa loty do rozładowania, trochę więc potrwało, zanim nasza karuzela ruszyła. A kiedy w końcu to nastąpiło, ku wielkiemu zdenerwowaniu Andyego sporo pasażerów naszego lotu zdążyło odebrać swoje torby, podczas gdy żadna z naszych w ogóle się nie pokazała. Ja jednak borykałem się z własnymi problemami. SMS od Sary wywołał popłoch w moim świecie. Byłem ciekaw, co ma mi do powiedzenia, ale zarazem się tego bałem. Patrzyłem na swój telefon i w duchu przeklinałem postęp technologiczny. Jeszcze dziesięć lat temu nie byłaby w stanie wysłać mi przez fale eteru zdalnie sterowanego pocisku. Jeszcze dziesięć lat temu byłbym błogo nieświadomy jej pragnienia nawiązania kontaktu. Ale teraz było teraz, a nie wtedy. I pomimo moich najlepszych chęci wiadomość została odebrana. Jasno i wyraźnie.

Już sięgałem po telefon, by go wyłączyć, gdy poczułem klepięcie w ramię. Przede mną stała dziewczyna w słomkowym kowbojskim kapeluszu. Miała kręcone czarne włosy, nieskazitelną mahoniową skórę i wyglądała absolutnie niesamowicie.

- Leciałeś samolotem z Gatwick, prawda? - zapytała dziewczyna w kowbojskim kapeluszu wyrazistym południowo-londyńskim akcentem.

- Tak - odparłem ostrożnie, oglądając się na grupę dwudziestoparolatek, które starały się udawać, że w ogóle na nas nie patrzą.

- Tak myślałam - powiedziała dziewczyna w kowbojskim kapeluszu. - W którym mieście będziesz?

- W Malii.

- Wiedziałaś! - krzyknęła. - Ja i moje przyjaciółki też. Byłeś już tam?

- Raz, dawno temu. A ty?

- Dla nas to trzeci rok z rzędu - odparła.

- Musi ci się tam podobać.

- Jest cudownie. Zapewniam cię, że będziesz się tam bawił jak nigdy.

- Dobrze wiedzieć.

Zamilkła na chwilę.

- Lubisz dubbing?

- Tak- odpowiedziałem, głównie dlatego że przynajmniej w jej oczach była to odpowiedź właściwa.

- A w Londynie... skąd jesteś?

- Znikąd. Jestem z Brighton.

- Znam Brighton - odpowiedziała. - Mnóstwo razy tam klubowałam. Założę się, że regularnie bywasz w takich miejscach jak Purple Paradise czy Computer Love?

- Tak, znam je - blefowałam.

- Wspaniale - powiedziała dziewczyna w kowbojskim kapeluszu. - Pewnie nie znasz w Malii baru Pandemonium, co? To na głównej ulicy. Nie możesz tam nie trafić. To taki z neonem w kształcie królika.

- Pewnie dałbym radę go znaleźć - odrzekłam.

- Tak sobie pomyślałam, że może byś chciał spotkać się tam ze mną i moimi koleżankami jutro koło północy, jeśli chcesz do nas dołączyć.

- Z wielką chęcią - powiedziałem spokojnie. - Północ, jutro, Pandemonium.

- Zgadza się - uśmiechnęła się. - Lepiej przyjdź.

- Miło było cię poznać - powiedziałem, starając się ze wszystkich sił ukryć zmieszanie.

- Nawzajem - odparła. Po chwili dodała: - Aha, i przyprowadź swoich kumpli. Mojej przyjaciółce Liz bardzo się podoba ten z ogoloną głową... Tom. A mojej przyjaciółce Luce ten w czerwonej koszulce - Andy. To jak, zobaczymy się jutro?

- Tak - odrzekłem. - Jutro wieczorem.

Patrząc, jak odchodzi, ledwie mogłem oddychać, kiedy rozważałem, co się właśnie stało. Wyglądało na to, że oszałamiająco piękna dziewczyna właśnie mnie zaprosiła do knajpy. Obróciłem się, żeby odnaleźć Andy'ego i Toma i przekazać im dobre wieści, ale oni stali tuż za mną z wyrazem czystego niedowierzania na twarzach.

- Kto to był? - zapytał Andy bez ogródek.

- Nie wiem - odparłem. - Nie podała mi swojego imienia.

- Była widowiskowa - ciągnął Andy. - Czego chciała?

- Chyba chciała mnie zaprosić...

- Żartujesz!

- Nie, zaprosiła mnie, żebym dołączył do niej i do jej przyjaciółek w jakimś barze w Malii jutro około północy.

- To dopiero zadziwiające - powiedział Tom i poklepał mnie po plecach. - Dobra robota, stary.

- Widzisz? - dodał Andy. - Bez obrazy, Charlie, ale w Brighton dziewczyny, które wyglądają tak jak ona, normalnie nie podchodzą do facetów, którzy wyglądają tak jak ty, i nie mówią: „Spotkaj się ze mną w barze o północy”, prawda? Takie rzeczy zdarzają się tylko tu, gdzie teraz jesteśmy, na wakacjach.

- To jakieś zbyt dziwne - mówiłem, nadal trochę ogłuszony. - Powiedziała nawet, że jednej z jej koleżanek podoba się Tom.

- No kapitalnie - roześmiał się Tom. - Zawsze to miło wiedzieć, że jeszcze się ktoś za tobą obejrzy.

- Zaczekaj tylko, aż się dowiedzą, że jesteś żonatym nawróconym chrześcijaninem - kpił Andy. - No - ciągnął, zwracając się do mnie - a której ja się spodobałem?

Otworzyłem już usta, żeby odpowiedzieć, ale zrezygnowałem na wspomnienie obietnicy, którą złożyłem Lisie.

- Przykro mi, stary - odparłem - o tobie w ogóle nie wspomniała.

- Ani słowem?

- Ani jednym.

- To dlatego, że jeszcze nie poczuły pełnej mocy mojej osobowości - rzucił Andy filozoficznie. - Zaczekajcie do jutrzejszej nocy, kiedy poznają mnie we własnej osobie. Gwarantuję wam, przyjaciele, że wszystkie dziewczęta w Malii obleżą mnie niczym wysypka.

BARMAN STEVE

Z bagażem spiętrzonym niebezpiecznie wysoko na jednym wózku przeszliśmy przez kontrolę celną. Łatwo było się zorientować, gdzie mamy pójść w następnej kolejności, ponieważ pod płócienną markizą ustawioną przy głównym wyjściu czekały niecierpliwie dziesiątki odzianych w jasne marynarki przedstawicieli biur podróży z clipboardami i długopisami w gotowości. Nam przypadła pochodząca z Glasgow drobniutka dziewczyna o wdzięcznym imieniu Debbie. Nawet nie mrugnęła okiem, gdy podaliśmy jej swoje nazwiska, i od razu wskazała autokar, który miał nas przetransportować do hotelu.

- Przyszłoby ci do głowy, że tak łatwo odjąć sobie pięć czy sześć lat? - zapytał Andy, kiedy znaleźliśmy się poza zasięgiem jej słuchu. - Teraz już nic nas nie zatrzyma.

Minęło dobre pół godziny, zanim do naszego autobusu dotarli wszyscy przydzieleni do niego podróżni. Ale gdy mieliśmy już komplet pasażerów, kierowca chyba postanowił za wszelką cenę nadrobić stracony czas i prowadził z brawurą dowodzącą znikomego poszanowania zarówno dla własnego, jak i w ogóle czyjegokolwiek bezpieczeństwa. Pomimo widma nieuchronnej zagłady, monotonny warkot silnika diesla w połączeniu z ciemnościami na zewnątrz, a także zwykłym zmęczeniem sprawiły, że zasnąłem i obudziłem się dopiero w chwili, gdy kierowca krzyknął na przedzie po angielsku z ciężkim akcentem:

- Apollo Apartments! Raz-raz!

Nasza trójka pospiesznie pozbierała dobytek i wysiadła z autokaru. Wprost z klimatyzowanego chłodu wpadliśmy w kreteński skwar i już po kilku sekundach ociekaliśmy potem.

- Nie ma jak w domu - westchnął Tom, patrząc na stojący przed nami przybytek. Apollo był betonowym budynkiem pomalowanym na liliowo, piętrowym, z ogródkiem kawiarnianym wychodzącym na ulicę.

Właśnie miałem zapytać Toma, czy wszystkie hotele muszą obowiązkowo mieć w swojej nazwie jakieś odniesienie do mitologii greckiej, gdy za moimi plecami odezwał się męski głos z silnym walijskim akcentem:

- A więc przywieźliście ze sobą pogodę?

Odwrociłem się i zobaczyłem niskiego, niechlujnego mężczyznę w średnim wieku, o nadmiernie czerwonej twarzy. Na głowie miał słomkowy kapełusz z szerokim rondem, unieruchomiony węzłem pod brodą, a poza tym nosił jaskraworóżowy T-shirt i szorty ze wzorem flagi państwowej.

- Myślicie pewno: „Co za kretyn?” - powiedział, uwzględnivszy naszą naturalną brytyjską powściągliwość, jak i fakt, że wpatrywaliśmy się weń tępo.

- W porządku, chłopaki, nie jestem jakimś przypadkowym świrem. Jestem barman Steve... ale wy, chłopaki, możecie do mnie mówić po prostu „panie barman”, jeśli chcecie.

Z grzeczności skwitowaliśmy to śmiechem, a potem patrzyliśmy, jak Pan Barman Steve przedstawia się następnym gościom (sześciuosobowej grupie młodzieńców około dwudziestki i kilku dwudziestoparoletnim dziewczynom). Wraz z innymi przybyszami podążyliśmy za Barmanem Steve'em do hotelowego holu. W środku znajdowała się niewielka pusta recepcja i stojąca obok wielka jaskrawopomarańczowa tablica z logo naszego biura podróży u szczytu. Poniżej przypięto całą kolekcję ulotek, zapraszających na mnóstwo przyjęć, barbecue i nocnych rajdów po barach. Kiedy Barman Steve zabrał grupę chłopaków i dziewcząt do ich pokoiów, nasza trójka pozostała w holu z bagażem, pogrążona przez chwilę w rozmyślaniach.

- Jestem wykończony - rzekł w końcu Tom. - W domu jest druga nad ramię w poniedziałek. Normalnie już dawno leżałbym w łóżku obok mojej Anne.

- Normalnie już bym leżał w łóżku sam - odparłem - co o dziwo wcale nie wydaje się taką odstręczającą perspektywą.

Andy westchnął.

- Co z wami, panowie? Zrzędziecie jak stare baby. Jesteśmy na wakacjach. Jutro nie ma roboty. Jeśli chcecie spać do późna, nie ma sprawy. Jeśli chcecie wstać wcześniej i pogapić się przez okno, też nie ma sprawy. O to właśnie chodzi na wczasach - masz szansę robić, co chcesz i kiedy chcesz.

- Ale jest druga... - Tom przerwał, bo wrócił Barman Steve.

- No dobra, chłopaki - rzekł wesoło. - Wykonam teraz oprowadzanko z przewodnikiem, pasuje?- Wszyscy kiwnęliśmy głowami. - Tam oto - wskazał gigantyczny szerokoekranowy telewizor, w którym leciał stary film z Robertem Wagnerem -znajduje się pięćdziesięciocalowy pierwszorzędny zestaw telewizji satelitarnej. Ma wszystko. Wszystkie filmy. Całą muzykę. Wszystkie kanały... cały sport.

Wszyscy spojrzeliśmy na telewizor. Steve miał rację. Był idiotycznie wielki. Aż śmieszny. Pewnie było go widać z kosmosu. Ale film na ekranie prezentował się kiepsko. Kolory wydawały się zbyt jaskrawe, a obraz miał delikatny, irytujący poblask.

- Której drużynie kibicujecie? - zapytał Steve.

- Arsenalowi - odrzekł Tom. - Ale nie chodzę na mecze.

- Man City - rzucił Andy. - Chociaż od kilku lat nie byłem na rozgrywkach.

Steve spojrzął na mnie wyczekująco.

- Żadnej - odparłem słabo.

- Ja osobiście jestem za Spursami - podjął szybko Steve, przechodząc do porządku dziennego nad moim brakiem futbolowego poddaństwa. - Chociaż nie mają najlepszego sezonu, prawda? - Roześmiał się. - W każdym razie w tym tygodniu będzie mnóstwo meczów, więc nie przegapicie żadnej akcji.

- Przerwał i przez chwilę wyglądał jak przerośnięty amorek.

- Mam nadzieję, że was nie urażę, chłopaki, ale powiedzcie mi, dlaczego wybraliście akurat Malię na urlop?

Tom wskazał Andy'ego.

- To był jego pomysł.

- Pytam tylko, bo... zwykle nie przyjmujemy tu za wielu ludzi w waszym wieku.

- Co masz na myśli? - zapytał Andy chytrze. - Ja mam dwadzieścia osiem lat.

Barman Steve zachichotał z zapalem.

- Skoro tak mówisz, chłopie.

- Daj z tym spokój, Andy - powiedział Tom. - On wie, że jesteśmy po trzydziestce, bo pasujemy tu jak kwiatek do kozucha. Kwiatek przejechany przez zółg. Nie zauważyłeś już po drodze w autokarze, że nie było tam ani jednej osoby około dwudziestu pięciu lat? Mogą sobie mówić, że to wczasy dla grupy wiekowej od osiemnastu do trzydziestu, ale na takie imprezy nie jeździ nikt powyżej dwudziestu pięciu lat.

- To prawda - powiedział Barman Steve. - W porównaniu z dziewięćdziesięcioma dziewięcioma procentami chłopaków i lasek w Malii jesteście starociami.

- Nawet jeśli jesteśmy odrobinę dojrzałi - odparł Andy - to nie ma znaczenia. Charlie wyrwał panienkę na lotnisku, nawet nie kiwnąwszy palcem.

- Pewnie po prostu nie przyszło jej do głowy, że ludziom w naszym wieku zamarzył się wyjazd do Malii - rzekł Tom.

- Pamiętasz, jak chodziliśmy na podryw na uniwerku i widywaliśmy bandy obleśnych staruchów zerkających na nasze dziewczyny? - zapytałem Andy'ego z westchnieniem. Andy kiwnął głową. - Cóż, mam straszliwe poczucie, że teraz my jesteśmy takimi obleśnymi staruchami.

- Jeśli o mnie chodzi, to już nie będę zawracał wam głowy, dobra? - powiedział zakłopotany Barman Steve. - Założę się, że chcecie iść do swoich pokoi i trochę się odświeżyć.

Wszyscy podążyliśmy za nim z powrotem do recepcji, przez zwieńczone łukiem przejście i schodami na górę.

- Proszę bardzo - rzekł, otwierając drzwi do apartamentu numer sześć. -
Tędy.

Weszliśmy do pomieszczenia, które w pierwszej chwili wydało mi się kuchnią, ale kiedy zobaczyłem mały stół, doszedłem do wniosku, że jest to również jadalnia. Tuż za stołem stała wielka i niewygodna z wyglądu rozkładana kanapa, najwyraźniej dla trzeciego lokatora. Przydawała ona pomieszczeniu dodatkową funkcję sypialni. Wymieniliśmy zatroskane spojrzenia. Główna sypialnia była o wiele lepsza. Stały w niej dwa jednoosobowe łóżka, szafa i toaletka i już niewiele więcej mogłoby się zmieścić, ale przynajmniej było tu czysto. Jedyne zmartwienie stanowiła temperatura panująca w pokoju.

- Jak ludzie śpią w takich warunkach? - zapytałem Barmana Steve'a. -
Tu jest jak w piecu.

- Nie śpią - odparł. - Dopiero jak zapłacą za włączenie klimatyzacji.

- Zapłacimy - oznajmiłem, bez konsultacji z kolegami.

- Mądra decyzja - Steve mrugnął do mnie okiem. - Dam wam zaraz pilota do sprzętu i klucze.

Reszta apartamentu również nie budziła naszego zachwytu. Była telewizja, ale miała tylko trzy kanały. Była bardzo skromna wykafelkowana łazienka z prysznicem, ale Steve ostrzegł, że naprawdę gorąca woda leci z niego dopiero po piętnastej. W końcu otworzył drzwi na balkon.

- Tu wam szczęście dopisało, chłopaki. Macie widok na morze. Oczywiście, teraz tego nie zobaczycie.

Spojrzałem na linię horyzontu, i hen daleko, gdzie granat zdawał się spotykać z czernią, rozpoznałem światła przepływających statków.

- On ma rację, wicie - odparłem - Mamy widok na morze. - Spojrzałem w dół. - I widok na hotelowy basen.

- Dobra, zostawiam was samych - powiedział Steve. - Bar będzie otwarty dzisiaj w nocy do ostatniego gościa, jeśli chcecie się trochę napić.

YASSOU

Ostatecznie zesłaliśmy do baru dopiero za dobrą godzinę, znacznie wydłużoną z powodu szeregu sporów. Problem polegał na tym, że nikt nie chciał spać na kanapie i nie umieliśmy uzgodnić sprawiedliwego sposobu rozwiązania tej kwestii. Tom zaproponował grafik, lecz Andy'emu ten pomysł zupełnie się nie spodobał, ja sugerowałem ciągnięcie zapalek, ale Tom się sprzeciwił, twierdząc, że on i tak zawsze wyciąga krótszą. Andy zaproponował siłowanie na rękę, ale ja od lat nie ćwiczyłem, więc odrzuciłem tę koncepcję. W końcu Tom oznajmił, iż na ochotnika weźmie kanapę, jeśli to ma sprawić, że natychmiast przestaniemy się kłócić. Andy tylko się roześmiał i mruknął coś o przejawach miłości bliźniego. Z ulgą w sercu, że nie będziemy musieli spać w kuchni, obiecaliśmy z Andym wynagrodzić Tomowi jego poświęcenie, zwalniając go z obowiązku stawiania kolejek podczas całego pobytu.

- Co pijecie? - zapytałem przyjaciół. Bar był prawie pusty, jeśli nie liczyć grupy chłopaków w jednym kącie i dziewcząt, które przyjechały z nami autobusem, w drugim kącie. Może od spożywania tu alkoholu odstręczał ludzi gust odzieżowy barmana Steve'a albo też album z największymi przebojami Billy'ego Joela, lecącymi z głośników.

- Ja pintę piwa - rzekł Andy.

- Jesteśmy w Europie - zwróciłem mu uwagę. - Tu zamawia się litr albo pół litra.

Andy westchnął i usiadł na jednym z wysokich stołków przy barze.

- No to wezmę litr.

- Ja też - dodał Tom.

- Wiedziałem, że zejdziecie - powiedział Steve radośnie. - Aha, i przepraszam, że wyciągnąłem tę sprawę wieku. A tak na dobre powitanie i żeby pokazać wam, że w Barze Apollo wszyscy są mile widziani, nawet dinozaury, mam dla was coś specjalnego.

Zaintrygowani patrzyliśmy, jak Steve podchodzi do wielkiej chłodziarki i wyciąga plastikową butelkę wypełnioną przezrystym płynem. Przyniósł ją do baru, ustawił przed nami kieliszki do wódki i polał.

- To ouzo, prawda? - zapytał Andy.

- Blisko - odrzekł Steve. - Rakija.

Przesunął kieliszki na naszą stronę baru i nalał też sobie.

- Yassou - powiedział, podnosząc kieliszek, a potem na jego znak wszyscy wychyliliśmy swoje.

Mała eksplozja w głębi mojego gardła trwała chwilę. I kiedy płomień lały się w dół do moich płuc, w górę do nozdrzy i łaskotały od spodu moje gałki oczne, robiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby nie kaszleć i nie parskać jak uczeń, który spróbował pierwszego w życiu papierosa.

- Przyzwyczajcie się - pocieszył nas Steve. - Właściwie musicie, bo tu wszędzie ją podają.

Wciąż chichocząc, zaczął nam nalewać piwa, a tymczasem Tom i Andy wypytywali go, które knajpy w Malii trzeba zaliczyć.

Czując się wyłączonej z rozmowy, oznajmiłem przyjaciółom, że idę się odsikać, i udałem się do holu, gdzie natychmiast usiadłem na jednej z wielkich kanap w pobliżu stołu bilardowego na żetony. Prawdę mówiąc, w ogóle nie chciało mi się do toalety, po prostu zapragnąłem pobyć przez chwilę sam. Co prawda cieszyłem się z towarzystwa przyjaciół, ale perspektywa przebywania z nimi codziennie od rana do nocy przez cały nadchodzący

tydzień już zaczynała mnie przytłaczać. Od czasów college'u, kiedy nie rozstawaliśmy się ani na chwilę, wiele się zmieniło. Postarzałem się. Stałem się bardziej opryskliwy. Mniej skłonny znosić czyjeś wygłupy. Miałem trzydzieści pięć lat i zupełnie straciłem tolerancję niezbędną do życia z kimkolwiek innym niż ukochana kobieta. Niestety, gdzieś w trakcie dziesięciu wspólnie przeżytych lat, ukochana kobieta jakoś straciła tolerancję niezbędną do życia ze mną.

Sięgnąłem do kieszeni, wyjąłem telefon i odczytałem ponownie SMS-a od Sary, każde słowo żłobiąc głęboko w pamięci. Potem westchnąłem ciężko, wcisnąłem „kasuj” i Sara zniknęła.

Dzień pierwszy: Poniedziałek

JASZCZURCZE DOZNANIA

Obudziłem się, dygocząc. Zerknąłem przez mroczny pokój na migoczące światełko na klimatyzatorze, wskazujące, że klimatyzacja (dzięki Andy'emu) jest nastawiona na maksimum. Krzywiąc się, spojrzałem na przyjaciela i przyglądałem się chwilę, jak chrapie, nieświadom arktycznego chłodu w powietrzu. Z westchnieniem wziąłem swój T-shirt z podłogi i przy okazji zerknąłem na zegarek. Było tuż po dziesiątej.

Wysunąłem się z łóżka i ubrałem do końca, zastanawiając się, jak długo Andy śpi. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby się okazało, że niewiele godzin. Tak jakoś wyszło, że wszyscy trzej pozostaliśmy w hotelowym barze, rozmawiając ze Steve'em, niemal do czwartej nad ranem. Znowu Tom trafił do łóżka pierwszy, a ja pół godziny po nim. Ale z wyrazu determinacji na twarzy Andy'ego, kiedy nadawał mi miano miernoty i dopijał moje piwo, wiedziałem, iż gotów jest doczekać świtu, ponieważ chce dowieść pewnych racji, a mianowicie, że jeśli chodzi o brak umiaru, to on jest gigantem pośród karłów. Przesyłanie tego komunikatu mnie było próżnym wysiłkiem: ja już to wiedziałem i byłem bardziej niż zadowolony ze swojego całkowicie zmienionego statusu.

Niezręcznie się poczułem, wstając jako pierwszy - niemal zniewieściale. W trakcie naszych niegdysiejszych wakacji w Mali codziennie odbywała się niewypowiedziana walka pomiędzy Andym a mną o upragniony tytuł Ostatniego Powstańca. Chociaż zdołałem go pokonać wielokrotnie, a raz nawet zaliczyłem niewiarygodnie ociężałą osiemnastą trzydzieści, to jednak Andy zwyciężał częściej. Ja tylko nadawałem tempo. I proszę, minęło dziesięć

lat i oto ja jestem na nogach, Andy zaś, a nawet Tom śpią kamiennym snem. Naprawdę czułem się jak miernota.

Głównym powodem, dla którego się obudziłem, nie był jednak wcale chłód, tylko masa spraw kłębiących się w mojej głowie. Wszystko, począwszy od spotkania z dziewczyną w kowbojskim kapeluszu, przez spożycie alkoholu w ciągu kilku ostatnich nocy, aż do prawdziwego poczucia ekscytacji na myśl, że jestem na wakacjach, zdołało mnie obudzić i zmusić do myślenia. Ale na samym szczycie listy, dokładnie na pozycji pierwszej znajdowała się Sara i jej SMS.

Czego chciała? Powinienem odpowiedzieć? Wiedziała, że pojechałem na wakacje? Wiedziała, kiedy wracam? Dlaczego po prostu do mnie nie zadzwoniła? I czy ma złe wieści? Czy też dobre? Chce, żebym wrócił? Czy ja chcę, żeby ona wróciła? Czy z Oliverem jej się nie wiezie? Czy chodzi o pieniądze? A może rachunki? Albo o zmianę kart adresowych? Za dużo było pytań, a za mało odpowiedzi. I chociaż wiedziałem, że aby zapewnić mojemu umysłowi święty spokój, muszę tylko wziąć telefon i wybrać jej numer, miałem też świadomość, że wystarczy niewielka zmiana punktu widzenia, aby najprostsze sprawy na świecie stały się najtrudniejszymi.

Jedyna rzecz, której oczekiwałem od tego pierwszego dnia moich wakacji, to żeby w żaden sposób nie skaziła go Sara, w jakiegokolwiek postaci. Dzisiejszy dzień był na to zbyt wyjątkowy. Zbyt obiecujący.

Wziąłem ze stolika nocnego okulary przeciwsłoneczne i podszedłem do drzwi balkonowych, odsunąłem zasłony, otworzyłem zamek i wyszedłem na taras. W jednej chwili zostałem przeniesiony ze środka najsurowszej w świecie zimy do rekordowych temperatur, od których ludzie padają trupem, porażeni udarem ciepłym. Słońce wydawało się milion razy jaśniejsze i bardziej intensywne niż wszystko, czego w życiu doświadczyłem. To na pewno tylko kwestia mojej wyobraźni, ale przez kilka chwil przysięgłbym, że czuję swąd włosów na ramionach, smażących się na słońcu.

Na meble balkonowe składały się dwa białe plastikowe krzesła, okrągły stolik, suszarka do ubrań i wiadro, do którego sączyła się woda z rury podłączonej do klimatyzacji. Usiadłem na jednym z krzeseł i ostrożnie tak manewrowałem sobą, by móc wyjrzeć przez poręcz balkonu i mieć lepszy widok na basen poniżej. Chociaż sam basen był pusty, leżaki wokół niego - musiało ich tam stać rzędem chyba ze czterdzieści - były zajęte albo przez odziane w bikini dziewczęta wszelkich kształtów i rozmiarów, albo przez wielkie plażowe ręczniki z barwnymi napisami.

Zbyt osłabiony, by rzucać cokolwiek więcej niż pobieżne spojrzenie na dziewczyny na dole, maksymalnie odchyliłem oparcie krzesła, zamknąłem oczy i wygrzewałem się niczym jaszczurka. Moje spragnione słońca ciało wracało do życia. Czułem się, jakby mnie opiekano, a po kilku minutach to wrażenie zmieniło się z przyjemnego, ale mrowiącego, na piekące i nieміłe, jakbym lada chwila miał buchnąć żywym płomieniem. Ale nic mnie nie obchodziło. To było to. Było mi ciepło. Byłem wolny. Byłem na wakacjach.

I W TYM RZECZ

Ostatecznie kilka następnych godzin spędziłem na balkonie, podejmując rozmaite zajęcia, które obejmowały przeczytanie paru kolejnych rozdziałów *Dotknięcia pustki*, wpatrywanie się bez celu w niebo i zastanawianie się, co mógłbym włożyć, by wyglądać *cool* na mojej „randce” z dziewczyną w kowbojskim kapeluszu. Mógłbym tak jeszcze przez kilka godzin, gdyby Tom o zażawionych oczach, odziany tylko w T-shirt i bokserki, nie wsadził swojej głowy w szparę drzwi balkonowych i nie poinformował mnie, że jest głodny.

- Co robimy na śniadanie, stary? - zapytał. - Umieram z głodu!

- Czekam na ciebie i na Andy'ego - odpowiedziałem.

Tom cofnął głowę do pokoju.

- Andy śpi jak zabity - oznajmił, pojawiając się ponownie. - Umrę z głodu, zanim się obudzi. O której on poszedł do łóżka? O świcie?

Wzruszyłem ramionami.

- Może damy mu jeszcze dziesięć minut, a potem wyjdziemy czegoś poszukać?

- No dobra - Tom dołączył do mnie na balkonie. Usiadł ostrożnie na gorącym plastikowym krześle. - Jak długo jesteś na nogach? - zapytał, osłaniając oczy przed słońcem.

- Kilka godzin - odparłem. - Nie mogłem spać.

- I siedzisz tutaj przez ten cały czas? To jak obsmażanie na ruszcie.

- Po chwili robi się fajnie - zapewniłem go. - A nawet jeśli się spiekę, to dla takiego spragnionego słońca Brytola jak ja nie ma nic lepszego, niż się opiec jak grzanka.

Tom roześmiał się i odchylił na krześle.

- A więc kiedy po raz ostatni wyjeżdżałeś na wakacje?

- W sierpniu zeszłego roku. Pojechaliśmy z Sarą na Maltę. Było miło. Mieliśmy fantastyczny hotel.

- Czy aby Malta nie słynie czasem z dużych zasobów emeryckich? - zapytał Tom. - Wiem, że przez ostatnich dziesięć lat moi dziadkowie jeździli tam regularnie latem. Spotykali się z całym tabunem swoich tamtejszych znajomych i przez cały czas zwiedzali te same miejsca, w których byli już miliony razy.

- Trochę tak jest - przyznałem. - Kiedy po raz pierwszy rezerwowaliśmy wakacje, dziewczyna w biurze podróży próbowała nam to odradzić. Była bardzo miła, ale widać było w jej oczach, że chce po prostu powiedzieć: „Słuchajcie, nie spodoba wam się tam. Tam będzie mnóstwo brytyjskich emerytów ssących miętówki”. Ale to wcale tak nie wyglądało. Atmosferę określiłbym wręcz jako luzacką. Nam się podobało. Jedliśmy wspaniałe potrawy. Spaliśmy codziennie do późna. A popołudniami po prostu leżeliśmy na plaży i czytaliśmy. Nie poszliśmy do żadnego nocnego klubu, nie upiliśmy się ani razu, nie zasiedzieliśmy się do rana. Było fantastycznie.

- Opis niezły. Kiedy jeszcze nie mieliśmy dzieci, zrobiliśmy sobie miesięczną wycieczkę po Toskanii. Podróż była tego warta choćby ze względu na jedzenie, nie wspominając o widokach i pogodzie.

- Myśmy mieli jechać do Toskanii tego lata - powiedziałem przygnębiony. - Jacyś przyjaciele rodziców Sary mają tam willę i chcieli nam ją tanio wynająć. Też byłoby wspaniale. - Przerwałem i ulżyłem sobie lekkim westchnięciem. - Nie umiem ci powiedzieć, jak inne jest życie bez niej, Tom. To tak jakbym miał dużo wolnego czasu i nikogo, kto by chciał go wykorzystać. Kiedy mieszkaliśmy razem, zawsze odnosiłem wrażenie, że mam za mało czasu dla siebie. Jeśli wyjeżdżała na weekend do rodziców, szalałem, próbując znaleźć czas na te wszystkie rzeczy, które przegapiłem. Chodziłem do

kina i zaliczałem głupie filmy akcji. Oglądałem w kółko *South Parki*, jadłem posiłki na wynos, aż miałem ich po dziurki w nosie. A potem godzinę przed jej spodziewanym powrotem latałem jak z pieprzem i sprzątałem całe mieszkanie. Zanim wróciła, wszystko było nieskalane.

- Ale tak jest dobrze, prawda? - powiedział Tom. - Teraz możesz robić to wszystko bez przerwy.

- Właśnie o to chodzi - odparłem. - Teraz mam ten cały czas i nie chcę już robić żadnej z tamtych rzeczy. Przesiaduję za to beczynnienie w nadziei, że Sara zaraz wróci do domu i stanie w drzwiach.

Czując nagle zakłopotanie, postanowiłem zmienić temat, ale zanim zdążyłem to zrobić, drzwi patio się przesunęły i wyrżał zza nich Andy, marszcząc się oślepiiony słońcem i ubrany tylko w bokserki.

- Teraz to jest gorąco - rzekł, wsuwając rękę do gaci i drapiąc się po przyrodzeniu. - Jak długo tu siedzicie?

- Pół godziny - odrzekł Tom.

- Chwilę - odparłem, starając się mówić spokojnie.

- Zróbmy śniadanie - zarządził Andy stanowczo. - Umieram z głodu.

- Czekał na ciebie - wyjaśnił Tom. - O której poszedłeś spać?

- Wpół do piątej... może szóstej... nie pamiętam dokładnie. - Przerwał. - No to idę pod prysznic.

- Nie możesz tego zrobić po śniadaniu? - zapytałem.

- Nie - odparł. - Po śniadaniu pójdziemy prosto na plażę.

- Skoro wybierasz się na plażę, to po co zawracasz sobie głowę prysznicem?

- Chyba żartujesz? Teraz, kiedy jesteśmy na wakacjach, nie mogę przepuszczać żadnej okazji. A jeśli wpadniemy na twoją dziewczynę w kowbojskim kapeluszu i jej koleżanki? O nie, od tej chwili nie schodzę z dyżuru. To zaś oznacza pozostawanie przez całą dobę w pełnym rynsztunku.

POPROSZEŃ TO CO ONI

Nie ma większego odzieżowego wyzwania dla Brytyjczyka płci męskiej niż decyzja, jaki strój jest odpowiedni na pobyt na plaży. Życie w kraju, w którym słońce należy do zjawisk rzadkich, tak skutecznie podkopuje naszą pewność siebie, że kiedy dochodzi do zdjęcia warstw odzienia w miejscu publicznym, nie mamy pojęcia, co robić. Zaprowadźcie nas na gradobicie w dalekim Aberdeen, a odpowiednio się przystroimy w ciągu kilku minut. Posadźcie nas na słońcu na Krecie, a będziemy przetrząsać swoje walizki całymi godzinami. Andy na przykład zinterpretował wyrażenie „strój na plażę” jako „strój na rozgrywki piątek piłkarskich w parku” (białe reeboki, granatowe piłkarskie szorty adidasa oraz biały angielski T-shirt). Tom zrozumiał to jako „wdziej to, co byś włożył, gdybyś miał rozegrać partię golfa, a następnie zaliczyć intensywną wycieczkę po wrzosowiskach Yorkshire” (polo w kolorze pastelowego błękitu, beżowe szorty khaki i ciężkie wszechterenowe sandały). Ja natomiast odebrałem to jako „ubrać się jak trzydziestopięciolatek, który rozpaczliwie się chwyta ostatnich resztek młodości” (T-shirt z fotomontażem przedstawiającym Bruce'a Lee na deskorolce, obcięte szorty w panterkę i klapki Birkenstock). Patrząc na nasze odbicie i nasze tak różne interpretacje tematu, byłem pewien, że wiele można o nas powiedzieć, ale na pewno nie to, że wybieramy się na plażę.

Zebrawszy swoje najpotrzebniejsze rzeczy (książki, gazety, krem), udaliśmy się na dół. W lobby kłębiło się kilku chłopczków odzianych w złotą biżuterię, szorty i adidas. Sądząc ze złażącej skóry na plecach, byli weteranami

letniego desantu Malii, a nie świeżymi rekrutami, takimi jak my. Zanim opuściliśmy hotel, pomyślałem, że mądrze byłoby zapytać Greczynkę w recepcji o drogę na plażę. Roześmiała się.

- Za drzwiami w prawo i drogą do morza. Nie możecie nie trafić - powiedziała.

Wyszedszy na stężone światło słoneczne, natychmiast zsunąłem okulary przeciwsłoneczne na czubek nosa i rozejrzałem się dookoła. Kiedy przybyliśmy w nocy, nie zwróciłem należytej uwagi na otoczenie. W pełnym blasku dziennego światła ogarnąłem całość. Nasz ośrodek stał najwyraźniej przy jednej z głównych ulic miejscowości, gdzie każdy fronton należał do hotelu, baru, firmy wynajmującej samochody lub imperium żywności na wynos. Na chodnikach tłoczyły się rozmaite grupki młodych Brytyjczyków, którzy gawędzili ze sobą, popijali wodę lub po prostu zachowywali się pretensjonalnie. Od czasu do czasu przejeżdżał tędy wynajęty samochód lub ciężarówka załadowana wodą butelkowaną, ale głównym źródłem skażenia hałasem (oprócz albumów miksowanych przez klubowych DJ-ów, a puszcanych nieustannie z głośników umieszczonych w każdym sklepie) był ryk przysadzistych quadów, których dosiadali chłopczkowie w rodzaju tych z naszego hotelu.

- Od skuterów do quadów - powiedział Tom, kiedy dwaj goście jadący na jednym pojeździe pokazali swoim przyjaciółom dwa palce. - Pamiętacie, jak wynajęliśmy skutery, kiedy tu byliśmy ostatnim razem?

- Jeszcze mam blizny, po tym jak zleciałem ze swojego, ścigając się z wami - zaśmiał się Tom.

- Może powinniśmy sobie teraz wynająć po takim, żeby się trochę pośmiać? - Andy zerknął zazdrośnie na quada zaparkowanego przed naszym hotelem.

Nie miałem najmniejszej ochoty pozwalać Andy'emu, żeby mnie namówił na wynajęcie quada w celu powtórnego doświadczania młodości. Czasy, w których brałem udział w bezsensownie lekkomyślnych przedsięwzięciach,

dla mnie minęły już dawno. Teraz nie mieszkałem już z dziewczyną, która mogłaby o mnie zadbać w razie potrzeby, więc musiałem być ostrożny. Podążając drogą w stronę plaży z generalnym celem znalezienia jakiegoś w miarę miłego i taniego miejsca na śniadanie, graliśmy w bingo w wersji dla miejscowości wypoczynkowych. Sklepy odzieżowe sprzedające T-shirty z perełkami w rodzaju „Idę z głupkiem”? Odhaczamy. „Oryginalne” greckie restauracje reklamujące „Angielskie pieczone obiady ze wszystkimi dodatkami”? Odhaczamy. Sklepy spożywcze sprzedające egzemplarze „The Sun”, „Star” i „Daily Mirror”? Odhaczamy. Bary o śmiesznie tradycyjnych nazwach pubów w rodzaju Royal Oak? Odhaczamy i bingo! Każdy komunał, na każdym kroku, i wszystkie powtarzały się w kółko przez calusieńką drogę. Przypominało to reprodukcję Blackpool, tyle że z lepszą pogodą. Imitacja Skegness bez Morza Północnego. Mała Anglia w pełnym słońcu.

Zjedliśmy śniadanie w barze pod wdzięczną nazwą Stars and Bars, w klimacie amerykańskim, ale z brytyjskim odchyleniem. Cały ogródek, w którym usiedliśmy, był pusty, ale właściciele baru usiłowali to zrównoważyć, wprowadzając atmosferę odlotowości za pomocą trzech wielkich telewizorów umieszczonych nad naszymi głowami, pokazujących różne kanały MTV. Ich usiłowania niweczył nieco fakt, że wszystkie trzy odbiorniki miały wyłączony dźwięk.

Trochę rozproszeni przez bezgłośny obraz MTV, ledwie spojrzeliśmy na menu, zanim nasz kelner przyszedł przyjąć zamówienie. Andy i ja zamówiliśmy lagera (ponieważ był zimny i duży), a potem angielskie śniadanie o nazwie „Killer” (bekon, jajka, kielbaski, pomidory, grzyby, smażone ziemniaki, tosty, herbata, dżem). Chociaż Andy i ja mówiliśmy do kelnera po angielsku, z jakiegoś powodu Tom skomplikował cały proces, wyciągając swój *Rough Guide* i solennie pomrukując kilka zdań po grecku. Z początku

przypuszczaliśmy, że wymowa Toma jest tak fatalna, że kelner nie zdołał zrozumieć ani słowa, ale okazało się, że Kevin w ogóle nie jest Grekiem. W rzeczywistości pochodził z Bloxwich nieopodal Wolverhampton i spędzał wakacje na Krecie, pomagając wujowi w barze, żeby zarobić trochę pieniędzy na studia. Andy i ja z trudem powstrzymaliśmy się przez parsknięciem śmiechem, kiedy Tom westchnął i wybełkotał:

- Poproszę to co oni.

SUSIE

Po późnym śniadaniu odważyliśmy się pójść do sklepu spożywczego po wodę i kilka wczorajszych angielskich tabloidów, po czym podjęliśmy na powrót swoją drogę na plażę. Co pewien czas w rozmaitych miejscach wzdłuż trasy jeden z nas wskazywał jakiś punkt orientacyjny, który pamiętaliśmy z ostatniej wizyty. Tom wskazał Kato, mały nocny klub, z którego wyrzucono pewnego razu Andyego za to, że zasnął na parkiecie. Teraz Kato nazywał się Eden. Andy z kolei wskazał otwarty teren, na którym ongiś graliśmy w minigolfa każdego popołudnia. Teraz stał tu apartamentowiec. I w końcu ja dostrzegłem Ming Mouse, kantońską restaurację jesz-ile-chcesz. Obecnie U Luigiiego - pizza na wynos.

- Przemianowali nawet plażę - powiedział Andy, kiedy dotarliśmy wreszcie do celu.

Podniosłem wzrok na wyglądającą urzędowo tablicę nad głową Andyego. „Do Plaży Laguna”.

- Jak się nazywała wcześniej? - zapytałem, próbując sobie to przypomnieć.

Andy wzruszył ramionami.

- Pewnie po prostu „plaża” - rzekł Tom. - Wtedy tak właśnie wyglądały wyszukane nazwy.

Plaża Laguna doskonale pasowała do ogólnego obrazu Malii, który zdążyłem już sobie ukształtować na podstawie tego, co widziałem do tej pory. Nie tyle była plażą w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, co nocnym klubem pod gołym niebem. Dwa potężne głośniki umieszczone dokładnie przy wejściu, żeby zapewnić maksymalne nagłośnienie, tłoczyły dyskotekowe rytmy w rodzaju, którego przez całe życie starałem się unikać.

Z rezygnacją ruszyliśmy przez plażę w poszukiwaniu kawałka piasku bez zaparkowanego na nim leżaka. Po trzydziestu metrach zostaliśmy jednak przechwyceni przez wysokiego zbrązowiałego gościa o nagiej kłacie i w czarnych, zachodzących na boki okularach przeciwsłonecznych, obstrzępionych szortach oraz z saszetką przy pasie.

- Pięć euro od łebka - powiedział po angielsku z ciężkim akcentem.
- Musimy płacić? - zapytał Tom z niedowierzaniem.
- Za to dostajecie bilet, leżak i parasolkę.
- Nie, dziękujemy, brachu - odparłem. Pomysł płacenia za leżenie na plaży po prostu wydawał się zły po każdym względem.
- Chodź, chodź - powiedział pewnym tonem. - Pokażę ci kogoś, kto wyjaśni.

Spojrzałem na Andy'ego, a on wzruszył ramionami, potem Tom spojrział na mnie i też wzruszył ramionami, a ponieważ jesteśmy Anglikami i nie lubimy obrażać ludzi, jeśli nie zachodzi taka konieczność, podążyliśmy za nim przez piasek do trzech pustych leżaków. Mężczyzna pomachał do ślicznej blondynki w staniku od bikini i wystrzępionych szortach dżinsowych, a ona podbiegła z całym pośpiechem ratownika w akcji. Kiedy dotarła do nas, zbrązowiały facet mrugnął bezczelnie do mnie i zniknął, zostawiając dziewczynie prezentację.

- Cześć - powiedziała. - Jestem Susie.
- Miło cię poznać, Susie - Andy uściśnął jej dłoń. - Czyżbym słyszał akcent z Newcastle?

Susie kiwnęła głową.

- Właśnie skończyłam studia i pomyślałam sobie, że przyjadę tu na lato. Jestem tu w ciągu dnia, a potem, wieczorem, pracuję w Edenie. - Uśmiechnęła się. - A wy, chłopaki, na jak długo?

- Na tydzień - odrzekł Andy. Mrugnął okiem do Susie. - Ale możemy zostać dłużej, jeśli dobrze to rozegrasz.

Nawet ja widziałem, że Susie nas zwyczajnie podrywa, żeby złagodzić cios, kiedy poprosi o pieniądze na naszą tak zwaną kartę plażową, ale Andy zagubił się w świecie fantazji, gdzie wyobrażał sobie, że ta dziewczyna naprawdę ma na niego chrapkę. Byłem niemal pewien, że jego zalotny sposób bycia to bardziej kwestia przyzwyczajenia niż świadomego zamiaru. Ale na szczęście zanim zabrał się za udowadnianie mi, że się myłę, do rzeczy zabrała się Susie.

Za zabójczą kwotę pięciu euro od lebaka mieliśmy otrzymać kartę, która uprawni nas do trzech leżaków i parasolki na tydzień, dziesięcioprocentowej zniżki na posiłki w Spetzi's Chicken Grill i darmowego koktajlu (wybranego przez barmana) w barze plażowym Cool Breeze. Wszyscy na to przystaliśmy bez walki. To było naprawdę żałosne. Fakt, że ta bardzo atrakcyjna dziewczyna w ogóle z nami rozmawiała, zdawał się czynić zbytecznymi nasze zdolności poznawcze.

Susie podziękowała nam za pieniądze, zapewniła, że zobaczy się z nami później i tanecznym krokiem oddaliła się z powrotem przez plażę w miejsce, gdzie wysoki zbrązowiały Grek stał z kilkoma innymi wysokimi zbrązowiałymi Grekami. Pozbawieni wigoru zajęliśmy leżaki (od lewej: Andy, ja, Tom) i oddaliśmy się widokom.

Dosłownie setka dziewcząt opalała się tu na leżakach. Dziewcząt wszelkich kształtów, rozmiarów, ras, kolorów i - prawdopodobnie - wyznań. Niektóre były opalone idealnie. Inne spieczone na raka. Zupełnie jakby kontenerowiec załadowany wyłącznie kobietami osiadł na mieliźnie i ostrożnie wyrzucił swój cenny ładunek dokładnie przed nami.

- Nawet nie widać morza - narzekał Tom, wyciągając swój przewodnik z plecaka i zaczynając lekturę.

Też miał rację. Z miejsca, w którym się znajdowaliśmy, właściwie nie dało się zobaczyć morza, ponieważ dookoła nas spoczywało za dużo ciała. Ale przed nami rozciągało się morze - morze ciała, długich nóg, kuszących ud,

wytatuowanych pleców, ujędrnionych talii, pośladków zerkających spod stringów, fragmentów piersi, a nawet (tak!) od czasu do czasu całych piersi z sutkami. I chociaż technicznie powinien to być cudowny widok do oglądania, ja mimowolnie poczułem się onieśmielony. Zupełnie jakby każda jedna spośród otaczających nas istot była w pełni świadoma potęgi i wartości kobiecej postaci. I w bezprecedensowy sposób zateśkniałem za kobietami ubranymi, choćby dlatego, że na chwilę odraczały poczucie, że nigdy przy żadnej z nich nie będę miał szansy.

Wszyscy trzej trzymaliśmy się siebie, spokojnie czytając na plaży przez ponad godzinę, kiedy nagle grupa prymitywów w wieku ledwie upoważniającym do zakupu alkoholu w Anglii, zaczęła przed nami popisy siłowe, w celu zaimponowania grupie dziewcząt siedzących naprzeciwko nas.

- To jak szkolna wycieczka z piekła - powiedział Tom, zatraskując przewodnik.

- Wiem, co masz na myśli - odparłem, zerkając na nich znad okularów przeciwsłonecznych, kiedy jeden z prymitywów zrzucił szorty i wypiął do kumpli gołe pośladki. - Tak na nich patrzę i myślę „Gdzie jest wasz opiekun? Gdzie kierownik tej wycieczki? Na pewno w końcu ktoś tu przyjdzie zapędzić ich z powrotem do tego poprawczaka, z którego uciekli”.

- Ale to nie te prymitywy mnie irytują - odparł Tom, zapalając się do tematu. - Widziałeś tamto towarzystwo? - Dyskretnie wskazał grupę gości, niewiele ponad dwudziestkę, szczególnie wyróżniających się mięśniami klatki piersiowej, tatuażami i doskonałą opalenizną. Flirtowali z dziewczętami, które ze swoimi doskonałymi włosami, ciałami i nieskazitelną skórą wydawały się być ich niewieściami odpowiednikami.

- Ten koleś tam ma na brzuchu kaloryfer - powiedziałem, zezując w kierunku grupy. - Do tej pory widziałem kaloryfer tylko na okładkach magazynów fitnessowych.

- Ale wiesz, co jest gorsze? - dodał Tom. - Rozejrzyj się i powiedz, co twoim zdaniem wyróżnia nas z tłumu?

Rozejrzałem się, jak kazał, ale moim zdaniem tyle rzeczy wyróżniało nas z tłumu, że trudno było wybrać jedną.

- Masz na myśli to, że tylko my na tej plaży wyglądamy jak nauczyciele geografii na wakacjach?

- Ciepło, ciepło - odparł Tom. - Dokładnie mam na myśli to, że tylko my mamy na sobie T-shirty.

Rozejrzałem się. Tom miał słuszość. Większość dziewcząt była w bikini, a faceci tylko w gatkach.

- Myślisz, że powinniśmy się rozdziać, żeby się trochę wtopić?

- Możesz, jeśli chcesz - odrzekł Tom. - Ale ja zdecydowanie nie ściągam koszulki. Myślałem, że nie jestem w złym stanie, dopóki nie zobaczyłem tamtej grupki. Ale ta banda cielesnych faszystów pewnie wezwie na nas policję. - Tom przerwał i przybrał wysoki ton rodem z Monthy Pytona. - Halo? Czy to policja? Chciałbym zgłosić, że trzech niezgrabnych trzydziesto- i czterdziestoletków leży na plaży i obniża walory wizualne miejsca.

Tom i ja wybuchnęliśmy śmiechem, a potem zapadliśmy w krępujące milczenie.

- Ale łatwo tak wyglądać, kiedy masz dwadzieścia jeden lat - powiedziałem po chwili. - Nie musisz wcale ćwiczyć, możesz jeść, co chcesz i wszystko spalasz, opierdalając się przez cały dzień. - Przerwałem, kiedy przebiegła obok nas inna grupa facetów, ścigana przez stadko chichoczących dziewcząt. - Wiesz co? Kusi mnie w zasadzie, żeby zedrzeć z siebie koszulkę i wrzasnąć „Baw się, ile wlezie, bo za dziesięć lat będziesz tak wyglądał!”.

- No to co cię powstrzymuje? - zapytał Andy, włączając się dopiero teraz do rozmowy.

- Świadomość, że i tak nic bym nie zmienił. Oni i tak już się bawią, ile wlezie. W taki czy inny sposób wreszcie i tak się dowiedzą, że impreza kiedyś się kończy.

Andy właśnie wrócił z wyprawy do sklepu spożywczego przy wejściu na plażę i przyniósł rozmaite niezbędne rzeczy, takie jak woda, chipsy i kanapki,

kiedy zatrzymał się i rzekł tonem pełnym czci:

- To jest dopiero dzieło sztuki.

Usiedliśmy z Tomem i podążyliśmy za jego wzrokiem. Blondynka bez stanika kroczyła obok naszych leżaków ku prysznicom plażowym.

- Może ona i jest dziełem sztuki - odparłem, kiedy dziewczyna stanęła pod natryskiem i odkreśliła wodę - ale doskonale o tym wie.

- Nie szkodzi - powiedział Andy, bezwstydnie wstając, by mieć lepszy widok. - Gdybym ja był dziewczyną i miał takie ciało, większość życia chodziłbym zupełnie nago. I to przez cały czas. Paradowałbym sobie, zatrzymując ruch na ulicach, patrzyłbym, jak faceci rozbijają samochody, a motocykliści wpadają na latarnie. Spowodowałbym chaos. - Roześmiał się i w końcu usiadł. - Światu niezwykle się przyfarcilo, że nie urodziłem się kobietą.

Kiedy Andy wrócił do swojej gazety, a Tom do przewodnika, ja rozsiadłem się na leżaku i nagle zacząłem myśleć o Sarze. W czasie ostatnich naszych wakacji w którymś momencie stwierdziłem, że wpatruję się w nią, pochłoniętą jakąś książką, którą kupiła na lotnisku. I pamiętam, jak sobie myślałem, że jest moja. Ta piękna kobieta leżąca obok należała do mnie i do nikogo więcej. I w przeciwieństwie do dziewcząt, które grały, rzucały sobie frisbee w wodzie, i do dziewcząt, które opalały się na leżakach, i nawet do dziewczyny pod prysznicem, której przyglądałem się wraz z moimi przyjaciółmi, Sara nie wiedziała, jaka jest piękna. Lubilem myśleć, że dla niej takie rzeczy nie mają znaczenia. I przynajmniej w moich oczach to czyniło ją jeszcze piękniejszą. Kiedy ta refleksja zaczęła blednąć, rozmyślnie spróbowałem przestać myśleć o Sarze, ponieważ nie byłem pewien, ile mogę znieść. Zamknąłem więc oczy i rozkoszowałem się kojącym uczuciem ciepła słońca na powiekach. I chociaż moja głowa wciąż była pełna myśli, serce pozostało równie złamane i puste jak zawsze.

Reszta dnia przemknęła bez silnych wrażeń. Leżeliśmy na swoich leżakach, wpatrywaliśmy się w niebo i oglądaliśmy przechodzące dziewczęta. I kiedy już przeżyliśmy pierwszy dzień na słońcu, poczułem, że chyba zdołam się odprężyć. Mogłem sobie bez trudu wyobrazić, jak będzie przebiegać nasza dzienna rutyna, i uznałem, że jeśli chodzi o dzienną część naszych wakacji, nie będziemy musieli borykać się z niespodziankami. Część nocna jednakże to zupełnie co innego. I świetnie zdawałem sobie sprawę, że niczym doktor Jekyll i mister Hyde, dzienny Andy i nocny Andy to całkowicie różne stworzenia.

Opuszczając plażę pod koniec popołudnia, skierowaliśmy z powrotem do apartamentu i ułożyliśmy plan na wieczór: czas wolny do dwudziestej pierwszej, potem drink w hotelowym barze, a następnie posiłek w najbliższej w miarę znośnej knajpie. Potem główna atrakcja: bary i kluby Malii aż do godzin porannych. Tom zadzwonił do żony i dzieci, po czym wybrał się na spacer. Andy tymczasem poszedł do łóżka i natychmiast zasnął. A ja wróciłem na balkon i do lektury *Dotknąć pustki*. Chwilę przed planowanym wyjściem wróciłem z tarasu, wziąłem pierwszy (lekko ciepły) prysznic tego dnia i przygotowałem się do wyjścia. Dziesięć po dziewiątej wszyscy trzej staliśmy w kuchni (znanej też jako sypialnia Toma) wystrojeni jak szczury na otwarcie kanału (ja: T-shirt i dżinsy; Tom: tradycyjne polo i luźne spodnie z grubego płótna; Andy: T-shirt i obcinane spodnie w panterkę).

Fajnie było tak sobie trwonić czas na przygotowania do wielkiej wyjściowej nocy. Jakby trud, który włożyłem w osiągnięcie w miarę znośnego efektu wizualnego, miał się zwrócić w pełnych podziwu spojrzaniach. Ostatecznie celem moich wysiłków na wieczór była dziewczyna w kowbojskim kapełuszu. Pomimo pewnych początkowych zastrzeżeń, zaczynałem wierzyć, że coś może się rzeczywiście między nami wydarzyć. Do tego stopnia, że już sobie wyobrażałem jej imię na długiej, miałem nadzieję, liście kobiet, o których zawsze będę mówił „te po Sarze”.

HEJA, CHŁOPAKI

Było tuż po jedenastej. Andy, Tom oraz ja siedzieliśmy w tawernie przy plaży. Nazywała się Taki's Place i spożywaliśmy w niej swój pierwszy naprawdę grecki posiłek na tych czasach: drobiowe sunaki, pita, frytki, tzatziki, a także litr carlsberga. Kiedy czekaliśmy na dostarczenie rachunku, patrzyliśmy, jak nieprzerwany strumień hulaków bez koszul piszczy obok nas na swoich quadach, nawołując się z całej mocy płuc, a jednocześnie próbując najechać na wszystko, co próbuje wejść im w drogę. Przypominało to zlot hell's angels w wersji junior.

Opuściwszy Taki's, ruszyliśmy ku głównemu deptakowi - jak to określił barman Steve - dziesiątki kawiarni, barów, klubów i restauracji z zarcciem na wynos, stanowiących centrum życia nocnego Malii. Jak na ulicach wokół Wembley w dniu finału mistrzostw, z każdym krokiem dołączały do nas całe rzesze imprezowiczów, których cel był zbieżny z naszym. Młodzi faceci i młode dziewczyny, wszyscy spragnieni imprezy, tak jak w każdą sobotnią noc w ojczyźnie. Minęliśmy mniejsze bary i restauracje, próbujące nas skusić ofertami taniego piwa, meczów futbolowych w telewizji i pirackich filmów, które jeszcze w ogóle nie weszły do kin, ale żaden z nich nie mógł się równać z urokiem naszego celu. Kiedy dotarliśmy do skrzyżowania w centrum miasteczka, w końcu mogliśmy zobaczyć naszą ziemię obiecaną w całej jej neonowej chwale i usłyszeć ją w całym jej splendorze stereofonicznego disco.

Przejście na drugą stronę do głównego deptaka przypominało podróżowanie przez punkt kontrolny pomiędzy dwoma różnymi krajami: w jednym obowiązywało prawo i porządek, w drugim panowała niepodzielnie anarchia.

Jeszcze zanim dotarliśmy na drugą stronę, zobaczyliśmy dziewczynę rzygającą na chodnik, podczas gdy przyjaciółki przytrzymały jej włosy z dala od pola rażenia. Dwóch sanitariuszy zajmowało się facetem bez koszuli, opartym o szybę smażalni kurczaków na wynos, a banda koleśki ze spodniami wokół kostek pokazywała gołe tyłki chichoczącym dziewczętom.

- Mam straszliwe poczucie, że dzisiejszy wieczór będzie kiepski. - Tom pokręcił głową w rozpacz, kiedy przechodziliśmy nad kałużą wymiocin.

- Jakże bardzo się mylisz, mój ciężkoduszny przyjacielu - sprzeciwił się Andy. - Mam przecucie, że dzisiejszy wieczór będzie... - przerwał nagle, kiedy atrakcyjna ciemnowłosa dziewczyna spojrzała mu w oczy z zabójczym uśmiechem i na naszych oczach złapała go na wędkę.

- Heja, chłopaki - rzuciła, stając nam na drodze. Mówiła z akcentem północnoangielskim. - Jestem Tasha. Skąd przyjechaliście?

- Ja jestem Andy - odrzekł Andy. - I przyjechałem z Hove.

- Ja jestem Tom - powiedział Tom niewyraźnie. - I przyjechałem... eee... z Coventry.

- Ja jestem Charlie - dodałem nerwowo, zastanawiając się, czy wszystkie te dane personalne zostaną wykorzystane przeciwko nam. - I przyjechałem z Brighton.

- Byłam w Hove - powiedziała dziewczyna, ignorując Toma i mnie, a skupiając uwagę na Andym. - Mam tam ciocię. Ja pochodzę z Chorley w Lancashire. Znać Chorley?

- Tak - odparł Andy. - Też mam tam rodzinę.

- To cudownie. - Bez wahania wyciągnęła rękę i wymieniła z nim uścisk dłoni. Nie dowierzając własnym oczom, spojrzałem na Toma, żeby się upewnić, że ta cała wymiana zdań jemu też wydaje się dziwaczna. Zwrotną pocztą posłał mi zdumione spojrzenie, które mówiło: „To przecież niemożliwe, żeby podryw w Malii był aż taki łatwy”.

- Na długo przyjechaliście? - zapytała dziewczyna, nie puszczać ręki Andy'ego.

- Mniej więcej na tydzień - odparł Andy spokojnie. - Może na dłużej, jeśli szczęście ci dopisze.

Nie mogłem w to uwierzyć. Andy na naszych oczach powtórnie wykorzystywał tekst, który zastosował na Stacey z Newcastle.

- A więc to wasza pierwsza noc na mieście? - zapytała Tasha.

- Wczoraj późno przyjechaliśmy - wyjaśnił Andy. - Ja bym jeszcze gdzieś wyszedł, ale ci dwaj nie byli w stanie.

- No ale przynajmniej jesteście tu teraz - powiedziała Tasha śmiało. - A ponieważ to wasz pierwszy wieczór na mieście, powinniście go zacząć w wielkim stylu... w Eclipse, gdzie przez całą noc mamy promocję dwa drinki w cenie jednego. - Nie dając nam czasu na reakcję, Tasha zaczęła ciągnąć Andy'ego w kierunku ciemnego, pustego, obwieszzonego neonami wielkiego baru. Widziałem oczywistą rozterkę na twarzy Andy'ego. Z jednej strony flirtował z jedną z najbardziej atrakcyjnych dziewcząt, jakie do tej pory widział, a z drugiej strony ona rozmawiała z nim tylko po to, by zaciągnąć go oraz jego ciężko zarobione pieniądze do pustego baru. Chociaż był wyraźnie urażony, że Tasha tak otwarcie wykorzystuje swoją (i jego) seksualność, jednocześnie absolutnie wyraźnie widać było, że jakaś jego część ma to w nosie.

Andy spojrział żałośnie na Toma i na mnie, jakby bez naszej pomocy nie był w stanie się uwolnić od kusicielki.

- Myślę, że będziemy musieli twój bar dzisiaj pominąć, Tasho - powiedziałem, wyrwijając jej rękę przyjaciela. - Idziemy do Pandemonium. Może innym razem, co?

- On ma rację - potwierdził Andy głosem, w którym zarejestrowałem prawdziwe rozczarowanie. - Może innym razem, co?

W Tashy jakby ktoś wcisnął guziczek. W mgnieniu oka zamieniła się z seksownego kociaka w królową śniegu. Po flircie nie pozostał ślad. Uśmiech

zamienił się w grymas. A na twarzy Andy'ego natychmiast odmalowało się rozczarowanie. Gdybyśmy go nie zmusili do natychmiastowego odejścia, na pewno popędziłby za Tashą i błagał ją o wybaczenie. Prawdę mówiąc, jeszcze kiedy byliśmy daleko poza jej zasięgiem, nie mógł się powstrzymać i odwracał się, by popatrzeć, jak Tasha zastępuje drogę grupie chłopaków idących w przeciwnym kierunku, stosując tę samą technikę, którą tak umiejętnie zastosowała na nim kilka chwil wcześniej.

Sytuacja tak idealnie nadawała się na broń przeciwko Andy'emu, że nie mieliśmy z Tomem serca jej wykorzystać - to byłoby zbyt proste. Wzięliśmy więc pod uwagę kruchość jego ego i podjęliśmy decyzję, że szybko bez komentarza przejdziemy nad tym do porządku dziennego. Przyszło nam to z trudem, ponieważ przy trzech kolejnych barach zostaliśmy zatrzymani przez dwie odziane w stanik od bikini dziewczyny z południowego Londynu, proponujące nam wejściową wódkę na koszt baru go-go, niemal przeniesieni do baru Galaxy przez trzy szkockie dziewczyny w różowych mieniących się kapeluszach, oferujące nam trzy drinki w cenie jednego, i niemal zwabieni do klubu H₂O przez przepiękną dziewczynę z Birmingham z ogromnymi sztucznymi rzęsami i ofertą darmowych koktajli owocowych.

- To jest naprawdę obelżywe - powiedział Tom, kiedy się uwolniliśmy z uchwytu dziewczyny o sztucznych rzęsach. - Te dziewczyny myślą, że tylko dlatego, że mają wspaniałe ciała i są olśniewająco piękne, zmuszą nas, byśmy tańczyli, jak one nam zagrają.

- No i słusznie - rzekł Andy- Jedyny powód, dla którego nie stoję w tym pierwszym barze, pijąc dwa piwa w cenie jednego, to wy, chłopaki. Gdybym był sam, dałbym się zapędzić jak... - przerwał i pokazał coś po drugiej stronie ulicy. Dotarliśmy na miejsce. Wreszcie znaleźliśmy swój cel: Pandemonium. Kolejny oświetlony neonami bar, może niezupełnie pusty, ale też nie do końca pełen. Ale to nie miało znaczenia.

Miała znaczenie natomiast moja głęboka wiara, że właśnie tu mój los wreszcie się zacznie odmieniać. Tu uwolnię się od widma swojej byłej narzeczonej. Tu spotkam dziewczynę w kowbojskim kapeluszu.

- Jesteś gotów, Charlie? - zapytał Andy.

Zerknąłem na zegarek. Za pięć dwunasta.

- Jak nigdy - odpowiedziałem, po czym wzięłem głęboki oddech, spojrzałem na boki i przeszedłem na drugą stronę na randkę z przeznaczeniem.

MOŻE BYĆ BUDWEISER?

Nawet ze swojego krótkiego doświadczenia, ograniczonego na razie do dep-taka, wiedziałem, że większość barów Malii w budowaniu nastroju stawia na głośną łomoczącą muzykę. W wypadku Pandemonium różnica polegała na tym, że tutejsza muzyka grała odrobinę głośniejszej, tak jakby dodatkowe decy-bele miały wyróżnić tę knajpę spośród innych. Dopiero kiedy dotarliśmy do baru i barman wskazał nam kanapy, odkryliśmy, że Pandemonium ma jesz-cze jednego asa w rękawie: kelnerki w strojach króliczków.

- Teraz to możemy mówić o wakacjach - ryknął Andy, kiedy olśniewająca dziewczyna z różowymi puchatymi uszami, w szortach, kabaretkach i bu-tach na wysokim obcasie minęła nasz stolik, niosąc tacę z kieliszkami tequ-ili. - Co ty na to, świętoszku? - Tom nie odpowiedział. - Dziewczęta w stro-jach króliczków - powiedział Andy, tym razem szturchając Toma łokciem. - Pasuje czy nie?

- Hm - odparł Tom obojętnym tonem. Odwrócił odrobinę głowę i obrzu-cił kelnerkę pobieżnym spojrzeniem, pokręcił głową i odwrócił wzrok, jakby zajmował go jakiś ważniejszy widok. Dopiero kiedy podążyliśmy z Andym za jego wzrokiem, zdaliśmy sobie sprawę, że ważniejszy widok zajmujący na-szego przyjaciela to najciekawsze fragmenty meczu angielskiej reprezentacji na miniaturowym ekranie telewizora nad barem.

- Lubię sport, podobnie jak siedzący tu obok kolega, ale jak możesz oglądać krykieta, kiedy takie kobiety... - tu Andy wskazał kolejną kelnerkę, przemykającą obok naszego stolika - stoją niespełna metr od ciebie?

- Pomijając fakt, że jestem szczęśliwym mężem i ojcem dwójki dzieci - rzekł Tom - nie przeczę, że nieźle sobie radzimy.

Jedna z kelnerek-króliczków podeszła do naszego stolika.

- Witam, panowie - powiedziała z akcentem z Liverpoolu, pochylając się nad nami, by przekrzyknąć muzykę. - Co mogę wam zaoferować?

- Wszystko, co byś chciała, skarbie. - Andy spojrział na nią pożądliwie.

- Wystarczą trzy piwa - odparłem szybko, dając jej pretekst do zignorowania Andy'ego.

- Budweiser? - zapytała, uśmiechając się do mnie.

- Tak - odparłem z aprobatą. - Idealnie.

Odwrociła się i oddaliła w stronę baru, żeby zrealizować zamówienie.

- Dlaczego nasze dziewczyny tak nie wyglądają? - zastanawiał się Andy, odwracając głowę, by lepiej widzieć nogi kelnerki.

- Ponieważ wszystkie nasze dziewczyny, które tak wyglądają, są tutaj - odpowiedziałem. - Przyjeżdżają tu na wakacje i zostają, bo nie mogą znieść myśli o kolejnym ponurym lecie w Anglii.

- Ale myślisz, że w przepisach jest warunek, że musisz być ładną cizią, żeby dostać pozwolenie na pobyt? W zasadzie każda dziewczyna, która z nami rozmawiała, odkąd tu przyjechaliśmy, była olśniewająca.

- Nie wiem - wzruszyłem ramionami - ale to pewnie zawsze się przydaje, prawda?

Obaj zamilkliśmy, patrząc, jak nasza kelnerka wędruje przez teraz już zatłoczony bar z gracją bez mała baletnicy.

- Proszę bardzo, chłopaki. - Postawiła butelki na stoliku i położyła rachunek. Andy porwał go natychmiast, po czym, zapewne opętany przez ducha Hugh Hefnera, wręczył jej banknot o wysokim nominale i powiedział, by zatrzymała resztę.

- Co? - zaprotestował, kiedy oddaliła się poza zasięg naszego głosu.
- Co „co”? - odpowiedziałem.
- No więc dałem tej dziewczynie napiwek, wielka rzecz!
- Nie, Andy, dałeś tej dziewczynie gigantyczny napiwek, ponieważ ma na sobie strój króliczka. Odkąd tu wylądowaliśmy, zachowujesz się jak pies w czasie rui.

Andy przewrócił oczyma z rozpaczą.

- Chociaż raz w życiu, Charlie, mógłbyś pobyć przez chwilę facetem. To może być całkiem zabawne, jeśli wiesz, jak to zrobić.

- Co to ma niby znaczyć?

- To mianowicie, żebyś przestał być takim zadufanym w sobie eunuchem i cipą, bo zacznasz mnie dołować - odparł Andy.

- Ja ciebie dołuję?! - powtórzyłem. - Myślałem, że przyjechaliśmy tu ze względu na mnie.

- Owszem. Ale jak to się mówi, nikogo nie uszczęśliwisz na siłę... - Przerwał i rozejrzał się po pomieszczeniu. - Powiem tylko, że zamiast jęczeć, że chce ci się pić, może byś sięgnął po szklanke?

- I owszem, sięgnę - odparłem, pragnąc, by dziewczyna w kowbojskim kapeluszu w tym właśnie momencie weszła do baru - ale nie zapominaj, że ty masz dziewczynę.

Andy niemal zadławił się swoim piwem.

- Wciążasz w to Lisę?

Pożałowałem, że nie ugryzłem się w język. Pożałowałem, że Lisa poprosiła mnie, bym pilnował Andy'ego. I pożałowałem poniekąd, że ta noc się dopiero zaczyna, bo poczułem się straszliwie zmęczony.

- Nieważne - odparłem, zdając sobie sprawę, że nie mam ani sił, ani chęci do sporów. - Nie powinienem był tak mówić. I całkowicie się mylę.

- Nie sposób zaprzeczyć - Andy wyglądał na mocno wściekłego. - Przyjechałem tu, żeby się dobrze bawić, i trzymajmy od tego Lisę... - Andy przerwał, bo wydarzyły się jednocześnie dwie rzeczy: po pierwsze, facet za barem

ściszył muzykę tak bardzo, że przez kilka chwil słyszeliśmy gwar rozmów w knajpie, a po drugiej, przy wejściu wybuchł wielki zgielk.

- Co się dzieje? - zapytał Tom, kiedy knajpę nagle zalała wielka fala imprezowiczów w okularach do pływania, z fajkami do nurkowania i w tanich białych T-shirtach.

- Nareszcie - Andy zatarł ręce z radości - rozrywka.

- O czym on mówi? - zapytał Tom.

- Spójrz na T-shirty - odparłem, wskazując kilku gości stojących przy barze.

- Club Fun Big Night Out - odczytał Tom slogan z koszulek. - Chcicie mi powiedzieć, że po tylu latach najstarszy na świecie organizowany rajd po barach jeszcze funkcjonuje?

- To chyba powód do dumy, co? - zapytał Andy. - A mówią, że młodzież nie ma szacunku dla tradycji.

Organizatorzy Club Fun Big Night Out ostatecznie zarekwirowali połowę knajpy, w pobliżu miejsca, w którym siedzieliśmy. Młodzieniec w niebieskiej wersji białego T-shirta chyba prowadził spotkanie i po krótkiej chwili włączył mikrofon. Puknął w niego kilka razy, upewniając się, czy działa, a potem wskoczył na podium po lewej od nas i ryknął z silnym akcentem z Yorkshire:

- Witam na legendarnym Club Fun Big Night Out! GOTO-WI NA IMPRE-ZE?!

Tłum wydał mało entuzjastyczny okrzyk, który nie zadowolił wodzireja. Przyłożył więc mikrofon do ust.

- Co za dziadostwo! - skarcił publiczność. - Musicie robić więcej hałasu. A teraz na trzy: raz... dwa... trzy! Witam na legendarnym GO-TO-WI NA IM-PRE-ZE! - Tłum odkrzyknął, ale wodzirej nadal nie był zadowolony. - Jeszcze raz! - huczał w mikrofon. - Dalej! Dajcie z siebie wszystko! Club Fun Big Night Out!! GO-TO-WI NA IM-PRE-ZE?!

Najwyraźniej zmotywowany koniecznością uciszenia tego kretyna, tłum krzyczał, wrzeszczał i piał z całych sił, niczym publiczność teleturnieju.

- No już lepiej! A teraz zaczniemy od jednej z moich ulubionych zabaw na imprezach i jestem pewien, że to też jedna z waszych... no wiecie, co to jest... gra w kostkę lodu!!!

Szczeńka mi opadła.

- Ale kapitalnie! - powiedział Andy, śmiejąc się nieopanowanie. - Stary, powinniśmy iść i dołączyć do nich przez wzgląd na dawne czasy.

- Nie ma mowy - odparłem. - I nie powinienem też... - przerwałem, kiedy zdałem sobie sprawę, że tylna kieszeń moich dżinsów wibruje. Sięgnąłem po telefon i zerknąłem na wyświetlacz. Widniał na nim numer, którego nie znałem.

- Kto to? - zapytał Andy.

Wzruszyłem ramionami, zastanawiając się, czy może Sara kupiła nowy telefon.

- Tu jest za głośno - powiedziałem Andyemu. - Odbiorę na zewnątrz.

- Wracaj szybko - odrzekł.

Tom popijał swoje piwo, wciąż zaabsorbowany krykietem, a ja szepnąłem mu do ucha:

- Uważaj na Andy'ego i pilnuj, żeby nie wpakował się w żadne kłopoty, dobra?

- Tak - odrzekł Tom ze wzrokiem wbitym w ekran telewizora. - Przypilnuję.

Odszedłem kawałek, ale wróciłem.

- Aha, i uważaj na dziewczynę w kowbojskim kapeluszu i jej koleżanki.

- Będę uważał na wszystkich - rzekł Tom, kiedy jeden z angielskich zawodników został wyeliminowany. - Idź oddzwonić i zaufaj mi, zanim wrócisz, absolutnie nic tu się nie zmieni.

W TYM WŁAŚNIE PROBLEM

Na deptaku było teraz tyle ludzi, że przypominał Trafalgar Square w sylwestra. Bandy młodzieńców ryczały kibolskie pieśni, grupki dziewcząt śpiewały piosenki Kylie Minogue, młodzi goście w autach nawalali muzyką ze swoich samochodowych odtwarzaczy CD, a całe to przedstawienie oglądało kilku policjantów o kamiennych obliczach. Żeby uciec przed hałasem, wskoczyłem w boczną uliczkę obok Pandemonium i oddzwoniłem.

- Halo? - zacząłem.

- Charlie? - powiedział damski głos. - To ja, Lisa.

Skojarzyłem dopiero po kilku chwilach.

- Lisa? - odrzekłem w końcu. - Co się stało? Jak się czujesz? Nic ci nie jest?

- Dobrze się czuję, naprawdę.

- Ależ mnie przestraszyłaś. Myślałem, że coś się stało.

- Przepraszam. - W jej głosie rzeczywiście brzmiała skrucha. - Wiedziałam, że nie powinnam do ciebie tak dzwonić. To był zły pomysł. Lepiej wróć do swoich zajęć, cokolwiek robięś.

- Nie, nie, nie - zawołałem. - Wszystko ok. Cieszę się, że zadzwoniłaś. - Zamilkłem na chwilę. - Pewnie chodzi o Andy'ego?

- To aż takie oczywiste?

- Ewidentnie.

- Jestem taka żalosna.

- Nie, nieprawda. Martwisz się i szukasz choćby odrobiny wsparcia. Lepiej, żebyś dzwoniła do mnie i dowiedziała się, co się dzieje, niż żebyś siedziała w domu i wariowała z niepokoju.

- No więc co u niego? - zapytała. - Miałam nadzieję, że zadzwoni do mnie wieczorem, ale nie doczekałam się nawet SMS-a, że wszystko u was w porządku.

- Pozwól, że przedstawię ci skrót wiadomości, żebyś była na bieżąco - odrzekłam. - Lot minął spokojnie, pokój mamy fajny, pogodę oszałamiającą i większość dnia spędziliśmy, wysiadując na plaży.

- I to wszystko?

- Tak, to... - Grupa młodzieńców przechodząca na końcu ulicy zadęła w trąbki, przerywając mi w pół słowa.

- Gdzie teraz jesteś? - zapytała Lisa. - Te odgłosy przypominają mecz piłki nożnej.

- Myślę, że na meczu piłki nożnej byłyby mniejsze tłumy niż tutaj. Jestem przed barem o nazwie Pandemonium. Kiedy wychodziłem zadzwonić do ciebie, Andy gapił się w przestrzeń, a Tom na krykieta.

Lisa się roześmiała.

- Więc chcesz mi powiedzieć, że nie mam się czym martwić?

- Tak. Mówię ci, że absolutnie nie masz się czym martwić.

- I gdybyś miał mi coś do powiedzenia, to byś mi powiedział, prawda?

- Słowo honoru, Liso, że oprócz opowieści o nieumiarkowanym spożyciu alkoholu, nie będę miał ci o czym mówić. A o tym nie chcesz słuchać, prawda?

- Nie. - Jej głos był teraz spokojniejszy i swobodniejszy. - Bardzo cię przepraszam, Charlie. Jesteś kochany, naprawdę.

- Uwierz mi, nie ma o czym mówić.

- Dzięki, Charlie. Puszczę cię już, ale obiecaj mi tylko jeszcze jedno. Obiecaj, że nie powiesz Andy'emu, że dzwoniłam.

- Oczywiście - odparłem.

Przez dłuższą chwilę milczała.

- Dobra - powiedziała w końcu niepewnym głosem. Wydawała się młoda i samotna. - No to dobrej zabawy.

- To mamy zapewnione - odrzekłem. - I możesz do mnie dzwonić, kiedy tylko chcesz. Wiesz zresztą.

Pożegnaliśmy się, rozłączyłem się i wróciłem na główną ulicę. Przez kilka chwil stałem na chodniku, potrącany przez przechodniów, i myślałem o Lisie. Nie mogłem wyjść z podziwu, jak bardzo kochała Andyego. Kochała go tak mocno, że nie mogła nawet znieść myśli, że go straci, i pomimo jego licznych wad jej miłość trwała. I pomyślałem sobie, że to właśnie musi być miłość - kiedy człowiek wytrzymuje przeciwieństwa, wie, kiedy powinien ustąpić, a kiedy nie. Andy nie miał pojęcia, kim jest dla niego Lisa. Nie wiedział, że to dzięki niej ich miłość istnieje. Uznawał ją za pewnik i tak będzie zawsze, ponieważ w przeciwieństwie do mnie nigdy nie miał w swoim życiu takiej Sary, która by mu powiedziała, jak ciężkie może być życie.

Wciąż analizując tę rozmowę, wróciłem do Pandemonium i przedzierałem się przez zatłoczoną okolicę baru do miejsca, w którym zostawiłem swoich przyjaciół. Kilka metrów od celu stwierdziłem, że została ich tylko połowa.

- Gdzie Andy?

Tom oderwał oczy od krykieta i spojrzał na mnie.

- Powiedział coś, że idzie... - przerwał nagle i odruchowo podążyłem za jego wzrokiem na drugi koniec knajpy. Andy zapamiętałe całował wysoką, ciemnowłosą dziewczynę, która miała na sobie biały T-shirt Club Fun Big Night Out i trzymała szklankę pełną kostek lodu.

- To chyba nie będą ani trochę odpężające wakacje, co? - westchnął Tom.

- Nie - przyznałem przygnębiony. - Przypuszczam, że będą najbardziej stresujące ze wszystkich.

Dzień drugi: Wtorek

MIEJMY NADZIEJĘ, ŻE TO NIE POTRWA DŁUGO, CO?

Déjà vu. Z takim właśnie uczuciem obudziłem się rano drugiego dnia na Krecie - poczuciem, że już ten początek dnia widziałem. Spojrzałem na zegarek. Było tuż po dziesiątej. Usiadłem na łóżku i wierzchnie prześcieradło zsunęło się z moich ramion, odsłaniając skórę na arktyczny chłód panujący w pokoju. Spojrzałem gniewnie na klimatyzator, który z radosnym bulgotem kontynuował dzieło zamieniania sypialni w lodową pustynię. Wzdychając, naciągnąłem na siebie prześcieradło i padłem na poduszkę, nasłuchując rozmaitych dźwięków dochodzących z zewnątrz: muzyka z baru na dole, ludzie śmiejący się i krzyczący przy basenie, od czasu do czasu plusk, kiedy ktoś wskakiwał do wody. Wszystko takie jak poprzedniego dnia... z jednym rażącym wyjątkiem: nie było tu Andy'ego. Ani w łóżku, ani nigdzie indziej - wyraźna oznaka, gdybym jakiegś potrzebował, że wydarzenia minionej nocy to nie tylko koszmarny sen. To bardzo prawdziwa rzeczywistość.

Ostatnia noc. Co. Za. Totalna. Katastrofa. Staliśmy z Tomem z rozdziawionymi ustami i patrzyliśmy, jak Andy całuje, pieści i w ogólności tarmosi wysoką dziewczynę z ciemnymi włosami przez dobre pięć minut, zanim w końcu zdołaliśmy oderwać wzrok od katastrofy, która wydarzyła się dokładnie przed nami. Naprawdę nie mogłem uwierzyć, że Andy tak ewidentnie przekroczył granicę. Wiedziałem, że lubi flirtować z przedstawicielkami płci przeciwnej, tak jak większość ludzi lubi oddychać, ale raczej zakładałbym, że kiedy dojdzie do granicy - pomiędzy byciem technicznie wiernym a

technicznie niewiernym - wykaże tyle rozsądku, żeby pozostać po stronie, która oznacza mniej kłopotów. A jednak stał nam dokładnie przed naszymi oczyma, całując dziewczynę, której nie widziałem nigdy w życiu, aż do teraz, czyli kilka minut po tym, jak zapewniłem zapłakaną narzeczoną Andy'ego, że będzie on jej wierny przez całe wczasy. Ani Tom, ani ja nie mieliśmy zielonego pojęcia, co zrobić. Nie mogliśmy przecież siłą wyciągnąć go z jej szponów - chociaż oczywiście taka była moja pierwsza sugestia. Poświęciliśmy więc trochę czasu na przeanalizowanie sytuacji nad mocnym drinkiem i doszliśmy do wniosku, że jedyne co możemy zrobić, to pozwolić mu kontynuować w nadziei, że się opamięta i wróci na łono wspólnoty. Po pewnym czasie stało się jasne, że Andy i dziewczyna nie zamierzają w najbliższym czasie wynurzać się, by zaczerpnąć powietrza. Właśnie kiedy przeanalizowaliśmy ponownie sytuację i podjęliśmy decyzję, by pod nieobecność Andy'ego poddać go sankcjom w nieskutecznym NATO-wskim stylu („Jeśli nie przestanie całować tej dziewczyny w ciągu... powiedzmy... godziny mniej więcej, wyrazimy swój protest, wracając do hotelu”), Andy i dziewczyna przestali się całować.

- Nareszcie - powiedziałem z ulgą - sumienie go ruszyło.

- On nie ma żadnego sumienia - rzekł Tom. - Podejrzewam, że usunięto mu je operacyjnie, by zrobić miejsce na ego.

Tom miał słuszość. Dziewczyna oddaliła się w kierunku damskiej toalety, Andy zaś nie wyglądał na ani trochę skruszonego. Prawdę mówiąc, wyglądał na niewiarygodnie zadowolonego z siebie, jakby czekał na oklaski. Wrócił do naszego stolika, wziął piwo i jednym haustem wciągnął resztki budweisera.

- No to trafiłem w dziesiątkę - powiedział, stawiając butelkę przede mną.

- Mamy być pod wrażeniem?

Andy westchnął ze znużeniem.

- Wiedziałem, że zrobisz z tego wielką sprawę. To nic takiego, Charlie, okay? Tylko mały ubaw. Nie ma się czym martwić.

- Daj spokój, facet - odrzekłem. - Nie musisz tego robić. Już udowodniłeś swoje. Ona jest przecudowna, a ty jesteś mistrzem rwania. Więc wyjdźmy teraz i zakończmy ten wieczór, zanim wpakujesz się w większe kłopoty.

- Wyjść teraz? - zapytał Andy. - Chyba żartujesz. Nie ma mowy, żebym dzisiaj gdziekolwiek bez niej poszedł. Widziałeś ją, Charlie? Ona jest oszalamiająca.

- Masz rację. Jest oszalamiająca. I nie mogę uwierzyć, że muszę ci o tym przypominać, ale proszę bardzo: masz narzeczoną.

- Może jednak spróbowałbyś pobyć facetem chociaż przez chwilę? - warknął Andy. - Takich tekstów bym oczekiwał od naszego świętoszka Toma, nie od ciebie. Daj spokój, chłopie, jesteśmy facetami. Faceci tak właśnie się zachowują. Zwłaszcza na wyjeździe.

Obejrzałem się na Toma w nadziei, że on mnie wesprze jakimś mądrym słowem.

- Chcesz, żebym coś powiedział, co powstrzymałoby Andy'ego przed odejściem z tą dziewczyną? - zapytał Tom, czytając z mojej twarzy. - Może coś o narzeczonej i że ryzykuje, że ją straci przez bezsensowny skok w bok? - Tom pokręcił głową. - Nie, obawiam się, że tego nie zrobię. - Mrugnął do Andy'ego. - Rób, co chcesz, chłopie. Tylko trzymaj nas od tego z daleka, dobra?

Przez krótką chwilę byłem pewien, że na twarzy Andy'ego pojawił się wyraz zwątpienia. I może coś by się z tego zrodziło, gdyby całusna towarzyszka mojego przyjaciela w tym właśnie momencie nie stanęła przy naszym stoliku.

- To są twoi przyjaciele? - zapytała, splatając swoją dłoń z jego.

- Nino, to Charlie i Tom - powiedział Andy spokojnie. Potem wskazał na Ninę. - Charlie, Tom, to Nina.

Tom nie odrywał wzroku od krykieta przez całą tę ceremonię, a że ja czułem

się źle w imieniu wszystkich zaangażowanych, koniec końców wykonałem nadmiernie entuzjastyczne powitanie.

- Cześć - powiedziałem, ściskając jej dłoń. - Naprawdę miło cię poznać.
- Nawzajem - odparła Nina.

Nawet w bezkształtnym T-shircie Club Fun nie sposób było ukryć, jak atrakcyjna jest nowa koleżanka Andy'ego.

- Na jak długo przyjechałaś? - zapytałem.
- Na tydzień. Jestem tu z siostrą i kilkoma przyjaciółkami. Wy też tu przyjechaliście tylko na tydzień, prawda?

Kiwnąłem głową.

- Dobrze się bawicie?
- Świetnie. To tak fajnie się wyluzować, prawda?
- Tak, fajnie - odparłem. - Skąd jesteś?
- Z Londynu. East Finchley, dokładnie. A ty też jesteś z Brighton?

Kiwnąłem głową.

- Chociaż tak w ogóle to pochodzę z Derby. - Po chwili namysłu zadałem pytanie za sto punktów: - Kiedy wracasz do domu?

- W środę - odpowiedziała, chociaż wolałbym, żeby wyjeżdżała nazajutrz z samego rana, tak abym przynajmniej miał pewność, że ten koszmar nie przeciągnie się zbyt długo. - I wracam do pracy następnego dnia. To będzie rzeźnia.

- No dobra - przerwał nam Andy, najwyraźniej znudzony mną i moją gadką. - Zobaczmy się później, chłopaki.

- Miło było cię poznać - powiedziała Nina, machając ręką mnie i Tomowi, co on posłusznie zignorował. - Może się jeszcze zobaczymy.

- Tak - odpowiedziałem. - Byłoby miło.

Ręka w rękę Andy i Nina przeszli przez bar, zatrzymali się tylko w drzwiach na pocałunek, i zniknęli z pola widzenia. Wtedy zerknąłem na zegarek i zdałem sobie sprawę, że dzięki wyskokom Andy'ego byłem zbyt

zaabsorbowany, by zwrócić uwagę, że przytrafiło mi się coś jeszcze gorszego, a ja tego nawet nie zauważyłem. Nigdzie nie było widać dziewczyny w kowbojskim kapeluszu. Wystawiła mnie.

- Jeśli chcesz, możemy jeszcze chwilę poczekać - Tom czytał w moich myślach.

- Nie - dokończyłem drinka, przygotowując się do wyjścia. - Chodźmy, zanim ta noc się zrobi jeszcze gorsza.

Już mieliśmy ruszyć, kiedy podniosłem wzrok i zobaczyłem młodą kobietę podchodzącą do naszego stolika. Miała na sobie obcisłą czarną koszulkę bez rękawów, granatowe dżinsy i buty na obcasie. Od razu uderzyły mnie trzy rzeczy: po pierwsze, było w niej coś dziwnie znajomego, po drugie, w przeciwieństwie do wszystkich innych osób w klubie, nie wyglądała, jakby właśnie skończyła dwadzieścia lat. Może miała prawie trzydziestkę. Może nawet ciut ponad. Ale ciut ponad dwudziestkę na pewno nie. Po trzecie: była bardzo ładna.

- Przepraszam - powiedziała. - Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale czy wasz przyjaciel, który wyszedł przed chwilą, jest w porządku?

- Jest w porządku - odrzekłem, wymieniając z Tomem zaskoczone spojrzenia. - Dlaczego pytasz?

- Wyszedł z moją siostrą, a Nina, no, czasami nie jest zbyt rozsądna, jeśli wiecie, o czym mówię.

- Uwierz mi - rzekł Tom. - Wiemy, o czym mówisz.

- No więc? - zapytała dziewczyna, patrząc na Toma. - Wasz przyjaciel...?

Tom oblizał wargi, jakby już rozkoszował się słodkim smakiem swojej odpowiedzi.

- Andy - zaczął - to...

- Równy gość - przerwałem.

Dziewczyna podniosła brwi.

- Dobra, wyłóżmy to w ten sposób - powiedziała - czy nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby ten równy gość spotykał się z twoją siostrą?

Musiałem się roześmiać na myśl o mojej siostrze Jeanette (minus jej mąż i dwójka dzieci) z Andym.

- Myślę, że miałbym dużo przeciwko temu, żeby ktokolwiek spotykał się z moją siostrą - odparłem. - Ale tak, Andy to równy gość.

- Dzięki - powiedziała dziewczyna. - No to lepiej sobie już pójdę. Miło było was poznać.

- Cała przyjemność po naszej stronie.

JESZCZE RAZ DZIĘKUJĘ ZA OSTATNIĄ NOC

Kiedy dygotałem w łóżku, przejrzałem właśnie w pamięci wybryki ostatniej nocy, stwierdziłem, że myślę o dziewczynie, której siostra wyszła z Andym. Było w niej coś, co od razu zaznaczyło ją w mojej głowie jako inną, i nie chodziło po prostu o wiek (choć na pewno stanowił plus) ani atrakcyjność (choć na pewno stanowiła plus). Spośród innych dziewcząt w klubie wyróżniała się tym, że sprawiała wrażenie osoby, która ma co opowiadać. W jej życiu coś się wydarzyło. Coś, co zostawiło swój ślad. Nie umiałem określić, jaka by to była opowieść. Czy wesoła, czy smutna. Wiedziałem natomiast jedno: miałem nadzieję, że zdołam jej w te wakacje wysłuchać.

Elektroniczne piknięcie mojego telefonu oznajmiło przybycie wiadomości tekstowej i przerwało mi rozmyślenia. Minął już jakiś czas, odkąd rozmyślałem nad prośbą Sary o kontakt, i mimowolnie zastanowiłem się, czy oto nie nadeszło ponaglenie. Gorączkowo macałem podłogę i w końcu znalazłem telefon wciśnięty w tylną kieszeń moich džinsów. Spojrzałem z nadzieją na wyświetlacz, ale rozczarowany znalazłem SMS od Lisy:

*Lisa: Charlie, przepraszam za ostatnią noc. Wybaczysz mi?
Mam nadzieję, że nie zepsułam Ci wieczoru. Jesteś niezastąpiony,
dziękuję. Baw się dobrze. L. PS. Rwałeś?*

Usiadłem na łóżku i przeczytałem SMS-a kilka razy - tylko po to, by się upewnić, że dociera do mnie jego każdy najmniejszy, pobudzający poczucie winy niuans - a potem napisałem odpowiedź.

Charlie: *Cześć, naprawdę się nie martw. Nasze wychodne i tak było paskudne. Twój telefon był jego główną atrakcją. C.*

Wcisnąłem „wyślij”, po czym wyszedłem z łóżka i wziąłem swoje rzeczy do kąpielni. Kiedy wróciłem do sypialni, nagi i ociekający wodą, zauważyłem, że mój telefon znowu pika, dając mi znać o kolejnej wiadomości.

Lisa: *Dlaczego paskudne? L.*

To pytanie przyprowadziło mnie o zdecydowany dyskomfort. Usiadłem na łóżku i wstukałem odpowiedź.

Charlie: *Tutaj wszyscy są o dziesięć lat młodszy od nas. Czuję się jak dorosły student przed nauczycielem w szkole/na uniwerku. Niepotrzebne skreślić. C.*

Wcisnąłem „wyślij”, po czym włożyłem czyste gatki i koszulkę. Chwyliłem książkę i okulary przeciwsłoneczne, bo zdecydowałem, że poczytam na balkonie, dopóki Andy nie wróci albo Tom się nie obudzi. Kiedy odsuwałem drzwi, przypomniałem sobie, że zostawiłem telefon na stoliku nocnym, i wróciłem po niego. Wziąłem go do ręki, a on znowu piknął.

Lisa: *Nie wiesz, że starsi panowie mogą być bardzo atrakcyjni dla młódek?*

I znowu:

Lisa: *Tylko nie zaczynaj się od razu puszczać! L.*

Cieszyłem się, że ona ma taki dobry nastrój. I muszę przyznać, że cieszyłem się również, że to ja jej pomagam się nie martwić, chociaż w zasadzie nie upilnowałem Andy'ego.

Charlie: *Nie kopie się leżącego, młoda damo.
Może zajmiesz się zarabianiem na życie
zamiast zwracać mi głowę? C.*

Wysłałem i czekałem na odpowiedź. Ponieważ żadna nie nadeszła, uznałem, że Lisa ma pewnie dość, i wziąłem *Dotknąć pustki*. Zdążyłem przeczytać ledwie kilka stron, kiedy dostałem kolejną wiadomość:

Lisa: *Wychodzę do pracy dopiero o 8.30!
U nas są dwie godziny wcześniej.*

I kolejną:

Lisa: *Ale obiecuję, że przestanę Cię nękać. Dobra???*
A więc miłego dnia i nie wychodź na najostrzejsze słońce. L.

I jeszcze jedną:

Lisa: *PS. Jak tam plany na wieczór?*

Nie miałem pojęcia, jakie mam plany na wieczór, ale zgadywałem, że skoro Andy nadal jest z Niną, to najpewniej spędzi z nią również wieczór. A ponieważ Nina ma przyjaciółki, które (przynajmniej zdaniem Andy'ego) potrzebują rozrywki, to niemal na sto procent spróbuje on wyciągnąć również Toma i mnie. Ponieważ nie miałem nastroju służyć mu taką pomocą, zapowiadało się, że najbliższy wieczór spędzę gdzieś nad kuflem i będę wraz z Tomem narzekać na zachowanie Andy'ego.

Charlie: *Jeszcze nie mam żadnych planów. Pewnie pójdziemy
w jakieś spokojne miejsce, w którym można rozmawiać, nie
przykładając trąbki do ucha, bo obawiam się, że to
odstrasza dziewczyny. C.*

Nawet nie miałem szansy wziąć na powrót książki do ręki, bo w ciągu niespełna minuty nadeszła odpowiedź.

Lisa: Muszę już iść do pracy. Jeszcze raz dziękuję za ostatnią noc. I pamiętaj, że już wkrótce naprawdę spotkasz kogoś fajnego. L.

Z jakiegoś powodu po przeczytaniu ostatniego zdania poczułem się niewiarygodnie smutny. Nie ze swojego powodu, lecz z powodu Lisy. Ona próbowała mnie rozweselić, nieświadoma, że Andy właśnie knoci ich związek. Przeczytałem go w efekcie ze trzy czy cztery razy, ale właśnie kiedy miałem odłożyć telefon, dostałem od Lisy ostatnią wiadomość:

Lisa.- PS. Możesz przypomnieć Andyemu, żeby się nasmarował kremem? Zawsze zapomina. L.

Kiedy dotarłem do końca wiadomości, uznałem, że dość tego. Jeszcze raz przeczytałem wszystkie SMS-y i skasowałem je, ponieważ moja wybujała wyobraźnia stworzyła już straszliwy scenariusz, w którym Andy przypadkiem bierze mój telefon, widzi je i dochodzi do błędnego wniosku. Następnie wyłączyłem telefon, oparłem stopy na poręczu, wziąłem *Dotknąć pustki* i przynajmniej na krótką chwilę schroniłem się między wersy przygody w zaśnieżonych górach.

MOJE GRYMASY

Zrobiło się południe, a potem popołudnie, a po Andym wciąż nie było ani śladu. Przemknęła mi przez głowę myśl, by zadzwonić na jego komórkę, ale odrzuciłem ją, ponieważ po pierwsze, nie byłem jego matką, a po drugie, na pewno nie chciałem, żeby mi o tym przypominał. Tymczasem Tom wstał, wykąpał się i ubrał, ale nie wykazał jeszcze zainteresowania miejscem pobytu Andy'ego. Nakłaniał mnie za to nieustannie, żebyśmy poszli na śniadanie, pomimo faktu, że jednego z nas brakuje. Z tego to powodu trudno mi było określić, który z moich przyjaciół denerwuje mnie bardziej: Andy, bo jest Andym, czy Tom, bo denerwuje się na Andy'ego, że jest Andym. Zawsze uważałem, że część uroku Andy'ego stanowi jego zasadnicza swoistość i że można się na niego złościć tylko trochę, bo złośćczenie się bardziej jest całkowitym nieporozumieniem.

- Daj spokój, Charlie - powiedział Tom niecierpliwie. - On pewnie nadal jest z tą dziewczyną i zajada sobie śniadanie w jej hotelu, podczas gdy my tu siedzimy na głodniaka. Jeśli naprawdę będzie chciał wiedzieć, gdzie jesteśmy, zadzwoni po prostu na twoją komórkę.

- Dobra - skapitulowałem. - Masz rację. Idziemy.

Bez dalszych protestów spakowałem do plecaczka ręcznik, książkę i butelkę wody. Wyszliśmy z pokoju i ruszyliśmy do holu. Wyzlibyśmy od razu na zewnątrz, ale tłoczyło się tam ponad dwadzieścia osób, jakby jakieś spotkanie miało się zacząć albo jakby właśnie się zakończyło. Tom zapytał dziewczynę stojącą obok stołu bilardowego, co się dzieje, a ona wyjaśniła, że to spotkanie powitalne organizowane przez przewodnika wycieczki Club Fun.

- Popatrz tylko - Tom wołał mnie, bym się przyjrzał ulotkom na kontuarze recepcji. - Organizują jednodniowe wycieczki i imprezy. Trzeba tylko wpisać swoje nazwisko i płaci się na bieżąco. Pomijając takie rzeczy jak przyjęcia na statku, barbecue i rajd po knajpach, niektóre z tych ofert wyglądają kusząco.

Nie byłem przekonany.

- Na przykład?

- Na początek mamy wycieczkę do Agios Nikolas.

- A co to jest?

- Miasto, o którym czytałem w *Rough Guide*. Znajduje się tam jezioro, o którym miejscowi mówią, że jest bez dna.

Tom spojrział na mnie wyczekująco. Po mojej minie widział, że kręcę nosem.

- Dobra, to może ta? - ciągnął Tom, odczytując listę. - Wizyta w pałacu w Knossos.

- Chcesz iść do pałacu?

- To są raczej ruiny niż pałac - wyjaśnił Tom. - Podobno mieszkał tam Minotaur.

- To takie coś bykopodobne, tak?

Kiwnął głową.

- Rzekomo był to pół człowiek, pół byk i pożerał młode dziewice.

- A więc to po prostu nasz Andy.

- No i co ty na to? Podoba ci się?

Znowu pokręciłem nosem, pozbawiając go złudzeń.

- Nie ma czegoś... - szukałem właściwego słowa - ...trochę bardziej morowego?

- Chcesz czegoś morowego? Dobra, jutro organizują szesnastokilometrową wędrowkę wąwozem Samaria, najdłuższym w Europie. Będzie świetnie.

Grymasna mina natychmiast znowu się pojawiła.

- To będzie dobre ćwiczenie fizyczne - zachwalał Tom.

- Możliwe - odparłem. - Ale czy szesnaście kilometrów to nie jest dużo?

Nie nastawiałem się na piesze wędrowki.

- Ja też nie - rzekł Tom. - Do tej pory uprawiałem wędrówki w adidasach, nic ci nie będzie. Tu jest napisane, że autobus zabiera chętnych spod wejścia o ósmej i wracamy gdzieś koło siedemnastej.

Spojrzał na mnie wyczekująco, ale mina grymasnika nieugięcie trwała na miejscu.

- Ty w ogóle nie chcesz jechać, prawda? - zapytał Tom.

- Nie za bardzo.

Na chwilę zapadła cisza.

- No dobra - rzekł Tom wreszcie. - Pojadę sam.

Nagle poczułem się paskudnie. Tom nie prosił mnie o wiele (w zasadzie prosił o wiele mniej niż Andy) i odrzucanie jego oferty wydawało się straszliwie paskudne, ale prawda wyglądała tak, że wędrowanie po wąwozie w kreteńskim upale pachniało mi szaleństwem.

- Dobra, pojadę - powiedziałem, podjąwszy decyzję, że spróbuję być dla Toma lepszym przyjacielem. - Możesz dopisać moje nazwisko u szczytu listy.

Tom wziął długopis z pulpitu i pochylił się nad formularzem, ale nagle odłożył go jednak i westchnął z rezygnacją.

- To miło z twojej strony - zaczął - ale prawdę mówiąc, jeśli nie jesteś zainteresowany, to będę się tylko dołował, że poszedłeś. Nic mi nie będzie. Pojadę sam.

- Jesteś pewien?

- Tak. Jestem pewien.

Kiedy Tom zapisywał swoje nazwisko na początku listy, spojrzałem przez hol w kierunku basenu, gdzie krzyczały i śmiały się dziewczęta, które chłopcy po kolei wrzucali do wody. Wystarczyło na nie spojrzeć, by zrozumieć, że żadna z nich nie łąziłaby przez cały dzień po wąwozie w niemal czterdziestostopniowym upale, tak samo jak nie oddałyby się całodniowej lekturze *Wojny i pokoju*.

- A Andy?

- Co Andy?

- Może on będzie chciał z tobą pojechać?

Tom się roześmiał.

- Wiesz co, dopiszę jego nazwisko na wypadek, gdyby się okazało, że tymczasem kompletnie postradał rozum.

KRÓL SZOS

Wyszedszy z Apolla, Tom i ja ruszyliśmy tą samą drogą do tej samej knajpy, w której zjedliśmy śniadanie poprzedniego dnia i w której teraz obsługiwał nas ten sam kelner. Zamówiliśmy więc ten sam zestaw śniadaniowy z piwem i oglądaliśmy to samo głuche MTV nadające tę samą grę „Zgadnij tytuł piosenki”. Na koniec posiłku zostawiliśmy nawet tę samą co poprzedniego dnia sumę pieniędzy w charakterze napiwku. Kiedy wstaliśmy do wyjścia, nasza mnie refleksja, że jesteśmy w Malii dopiero jeden pełen dzień, a już grozi nam, że popadniemy w rutynę.

- Jak myślisz? - zapytał Tom, kiedy stanęliśmy w wejściu do Stars and Bars, pocąc się w popołudniowym słońcu. - Idziemy na plażę?

- Moglibyśmy - odparłem, świadom faktu, że poprzedniego dnia zrobiliśmy dokładnie to samo. - Jak uważasz?

- Mnie wszystko jedno. Chociaż, jeśli mam być szczery, chętnie zrobiłbym coś trochę innego. .

- Innego - powtórzyłem z determinacją. - Masz rację. Musimy zrobić coś innego. Masz jakiś pomysł?

Tom myślał przez chwilę.

- Mam - rzekł w końcu - wynajmijmy dwa te takie quady i jedźmy gdzieś na cały dzień.

- To, mój przyjacielu - urwałem, kiedy minęła nas rozwrzeszczana banda młodzieży - jest pomysł wyśmienity.

Wynajęcie quadów było najlepszą rzeczą, jaką mogliśmy zrobić, żeby się wydobyć z dołka o nazwie „Andy”. Pędząc na pełnym gazie, z twarzami owiewanymi wiatrem, byliśmy znowu młodzi i byliśmy wolni. Wyjechaliśmy nadbrzeżną drogą z Malii i skierowaliśmy się do Stalis, sąsiedniej miejscowości.

Pędząc tak, co jakiś czas mijaliśmy dziewczęta na quadach słabszych niż nasze i kiedy je wyprzedzaliśmy, czułem się, choć przez chwilę, jak prawdziwy król szos.

Kiedy usiedliśmy z Tomem na plaży, za którą nie musieliśmy płacić, i wyjęliśmy książki, przyszło mi do głowy, że o ile Malia stanowi metaforę młodzińczego nieumiarkowania, to Stalis jest jej starszą, mądrzejszą siostrą, która dawno już zrezygnowała z zarywania nocy i całodziennego picia na rzecz rozkoszy dobrego jedzenia i życia rodzinnego. Trudno sobie wyobrazić większy kontrast. Nieco mniej proangielska niż Malia (spacerując po centrum miejscowości, minęliśmy bar prowadzony przez Holendra, widzieliśmy w niektórych menu niemiecką wersję i dosłyszeliśmy kilka sprzeczek po francusku), Stalis była zaludniona wyłącznie przez pary i rodziny. Jedynymi osobami w wieku poniżej dwudziestu pięciu lat były dzieci na wakacjach z rodzicami albo quadowi migranci z Malii.

Chociaż żaden z nas nie powiedział tego na głos, widziałem, że Tom myśli to samo, co ja: „To tu właśnie powinniśmy byli przyjechać na wakacje”. Nie żeby nie robił na mnie wrażenia malijski tłum w przedziale wiekowym 18-30, ale prawda była taka, że ani Tom, ani Andy, ani ja nie mieściliśmy się już w tym przedziale, a że wręcz wyrośliśmy z niego dawno temu, nie było sensu udawać, że jest inaczej. Stalis było kurortem przeznaczonym dla dorosłych. Dla ludzi, którzy zostawili daleko w tyle drugą dekadę i ruszyli dalej. Ale kiedy siadłem tam na plaży, pozbawionej dudniących głośników i muzyki dyskotekowej, i przyglądałem się otaczającym nas parom i rodzinom, przyszło mi do głowy, że ja w zasadzie nie należę również do tego miejsca. Tom, ze swoją rodziną, tak. Pewnie nawet Andy z Lisą. Ale ja bez Sary? W tym wczasowym świecie nie było miejsca dla samotnego trzydziestopięciolatka. Nie było kurortu przeznaczonego dla niedawno porzuconych,

a nieskorych balować do rana. Nie było żadnych kompromisowych rozwiązań, ponieważ ludzie tacy jak ja po prostu nie stanowili wystarczająco licznej grupy, żeby warto było zaspokajać ich potrzeby. Mechanizmy rynkowe uczyniły nas niewidzialnymi - nie istnieliśmy. Nie byliśmy młodzi i nie byliśmy ustatkowani. A ponieważ nie znajdowaliśmy się ani na początku swoich opowieści, ani w finalnej strefie żyli-długo-i-szczęśliwie, zostaliśmy po prostu wszyscy razem wycięci w trakcie montażu.

- A więc jak znajdujesz wczorajszy wieczór? - zapytałem Toma, trochę aby zakłócić ten wyjątkowo przygnębiający tok myśli.

- Myślę, że Andy jest kretynem - odrzekł, odkładając książkę. - Niewiele więcej da się powiedzieć na ten temat.

- Pewnie tak - przyznałem. Myślałem przez chwilę. - Jak sądzisz, ile lat ma ta Nina?

- Dwadzieścia trzy, może dwadzieścia cztery - zasugerował Tom. - W dzisiejszych czasach trudno dokładnie powiedzieć, ile kto ma lat.

Zapadła długa cisza. Uznając ją za koniec rozmowy, Tom wrócił do swojego przewodnika, ale ja bynajmniej nie zamierzałem zamykać tematu Andy'ego i jego niewierności.

- Lisa prosiła mnie, żebym go pilnował - powiedziałem, wpatrując się w morze. - Kiedy podrzuciła go do mnie w sobotę. Powiedziała, że w zasadzie się domyśla, czego on oczekuje od tego wyjazdu, i prosiła, żebym postarał się go powstrzymać.

O ironio, nie udało mi się to właśnie dlatego, że w decydującym momencie poszedłem z nią porozmawiać.

- Lisa do ciebie dzwoniła?

Kiwnąłem głową.

- Chciała się dowiedzieć, jak się rozwija sytuacja. A co gorsza, powiedziałem jej, że wszystko jest w porządku i nie wygląda na to, żeby miało być gorzej. Dzisiaj rano nawet przysłała mi kilka SMS-ów.

- Nie powiedziałeś jej chyba nic o zeszłej nocy?

- Oczywiście, że nie, ale mam wyrzuty sumienia, że udaję, że jest dobrze, kiedy zdecydowanie nie jest. Wiem, że Andy jest moim przyjacielem, ale...

- Ale co?

- Ale po części uważam, że ona powinna wiedzieć. Zasluguje na to.

Tom kiwnął głową.

- Wiem, o co ci chodzi, ale jeśli chcesz mojej rady, to powiem, żebyś się w to nie angażował.

- Wiem, ale...

- Ona ci nie podziękuje, Charlie. I Andy raczej też nie. Po prostu trzymaj się z daleka. Takie sprawy zazwyczaj same wychodzą na wierzch, bez niczyjej pomocy.

- Wiem, że masz rację - odparłem. - Ale po prostu źle się z tym czuję. Nikt nie lubi dowiadywać się ostatni, prawda? Nikt nie lubi, jak się z niego śmieją za plecami.

Ostatecznie zostaliśmy z Tomem w Stalis do wieczora. On dalej czytał swój przewodnik, a ja zdrzemnąłem się na słońcu, przejrzałem wczorajszy „Daily Mail” i udałem się na kilka kontemplacyjnych bosych przechadzek brzegiem morza. Około siedemnastej plaża zaczęła pustoszeć, co uznaliśmy za sygnał do odwrotu, ku szaleństwu Malii. Kiedy oddawaliśmy quady do punktu wynajmu, mimowolnie poczułem lekkie rozczarowanie, że przez cały dzień nie dosłużyliśmy się ani jednej wywołującej zazdrość dykteryjki, żeby sprowokować Andy'ego. Wszystkie nasze osiągnięcia to wynajęcie quadów, krótka podróż do Stalis, a potem posiedzenie na plaży o niższym wskaźniku pięknych dziewcząt w stosunku do Niemców w średnim wieku niż ten, który zostawiliśmy w Malii. Tymczasem Andy zapewne spędził cały ranek i całe popołudnie, rozkoszując się dietą składającą z picia, seksu i postkoitalnej drzemki. Na pewno byłby zdruzgotany.

TO BYŁO TYLKO SPOSTRZEŻENIE

Kiedy otworzyłem drzwi do naszego apartamentu, trochę się spodziewałem, że zobaczę Andy'ego i jego nową panią splątanych w zagmatwanym stosunku płciowym na kuchennym stole, ponieważ to byłby cały Andy - ekshibicjonista spragniony publiczności, którą mógłby wstrząsnąć - ale na kuchennym stole stała tylko napoczęta butelka wody i dwie plastikowe siatki z miejscowego sklepu, które sam tam wcześniej porzuciłem.

- Można by pomyśleć, że zadzwoni do nas, choćby po to, byśmy wiedzieli, że żyje - warknąłem, kiedy przeszliśmy przez kuchnię do sypialni.

- Nie on - odparł Tom, rozkładając się wygodnie na łóżku nieobecnego przyjaciela. - Jest za bardzo zaabsorbowany sobą, żeby przejmować się tym, co myślimy.

Usiadłem na swoim posłaniu i spojrzałem na Toma.

- Sądzisz, że powinniśmy do niego zadzwonić?

- Żeby pomyślał, że nie mamy nic lepszego do roboty, niż siedzieć tu i czekać, aż się łaskawie pojawi? Rób, jak uważasz, ale ja się pod tym nie podpiszę.

Tom miał słuszność. Dzwonienie do Andy'ego byłoby strategicznym błędem, który tylko bardziej by rozdał jego ego. Jednocześnie musiałem przyznać, że zaczynało mi brakować Andy'ego. Ta zagadka nękała każdego, kto zapraszał go do swojego życia: był dwa razy bardziej zabawny niż denerwujący, ale nie sposób było oddzielić jednej części równania od drugiej.

- Dobra - powiedziałem - masz rację, nie powinienem do niego dzwonić. To zły pomysł. Ale rzecz w tym, że czuję, iż powinienem przynajmniej spróbować coś zrobić, ponieważ mam to straszliwe poczucie, że im dłużej to trwa, tym gorsze będą konsekwencje.

- Ja osobiście nie jestem taki pewien - rzekł Tom. - Obstawiam, że Andy dalej będzie romansował z Niną, póki ona nie wyjedzie, a potem będzie się z nami zadawał do końca pobytu. W niedzielę wieczorem poleci do domu i będzie rozrabiał, jak gdyby nigdy nic. A co więcej, zrobi to bezkarnie. Ponieważ Andy'emu zawsze wszystko uchodzi bezkarnie.

- Może masz rację - westchnąłem. - Nawet nie wiem, dlaczego się przejmuję tym, co on wyprawia. No rozumiesz, co mnie to obchodzi?

W mojej intencji to pytanie było retoryczne. Nie chciałem tak naprawdę w ogóle wiedzieć, co mnie to obchodzi. Ale mówiąc to, nagle spojrzałem na Toma i w jego twarzy dostrzegłem jakąś przelotną, ale osobiłą zmianę.

- Co? - zapytałem.

- Nic.

- Co?!

- Daj spokój - powiedział Tom. - To w zasadzie nie było pytanie, więc nie ma sprawy.

- Nie. No mów. Posłuchajmy, co masz do powiedzenia.

- Dobra. Myślę, że cię to obchodzi, ponieważ w pewien sposób żałujesz, że to nie ty miałeś rwanie wczoraj wieczorem, i masz już dość tego, że zawsze zazdrościsz Andyemu.

- Bzdury! - odparłem. - Nie zazdroścę Andyemu.

- No i dobrze. To było tylko spostrzeżenie.

- Ale ja mu nie zazdroścę.

- Powiedziałem, że dobrze.

- Ale mi nie wierzysz.

- Nie ma znaczenia, w co wierzę, prawda? Ważne tylko, co jest prawdą.

- I twoim zdaniem prawda jest taka, że zazdroścę Andy'emu?

- Z jakiego innego powodu zadawałbyś się z nim po tych wszystkich latach, kiedy przez większość czasu on źle na ciebie wpływał? On robi te rzeczy, które ty byś chciał robić.

- Ale ty nigdy nie lubiłeś Andy'ego, prawda? - skontrolowałem. - Zawsze tak było, od czasów college'u.

Tom pokręcił głową.

- Właściwie nie masz racji. To nie jego nie lubię. On jest kretynem i nie już tego nie zmieni.

- A więc czego nie lubisz?

- Ciebie - rzekł Tom, posyłając mi rozczarowane spojrzenie - kiedy za długo z nim przestajesz. To zawsze był twój główny problem. Zbyt łatwo zapominałeś, kim jesteś, i chodziłeś za Andym jak cielę. - Westchnął i zszedł z łóżka, kiedy ja patrzyłem oniemiały. To zupełnie nie pasowało do Toma. Owszem, pomiędzy nim a Andym czasami dochodziło do scysji, ale wobec mnie nigdy taki nie był.

- Co cię dzieje? - zapytałem. - Dlaczego taki jesteś? Wyraźnie nie chodzi o mnie i Andy'ego, więc o co?

- O nic - westchnął Tom. - To było zupełnie nie na miejscu. - Po chwili się roześmiał. - Można by pomyśleć, że ktoś umarł i poprosił mnie o wygłoszenie kilku słów prawdy. A przecież mnie też można by to i owo powiedzieć. - Wzruszył ramionami i spojrzał na mnie. - Między nami zgoda?

- Oczywiście - odparłem. - Ale nie chcesz pogadać o tym czymś, co cię trapi?

- Nie - powiedział Tom. - Nic mi nie jest. Pewnie jestem po prostu zmęczony, czy coś w tym rodzaju.

Zapadła długa cisza.

- Więc co teraz? - zapytałem w końcu.

- Ja to może bym wziął prysznic, zadzwonił do Anne i dzieciaków, a potem bym się zdrzemnął. Zakładając, że jego lordowska mość ma inne zobowiązania na dzisiejszy wieczór, to co chcesz robić później?

Wzruszyłem ramionami.

- Cokolwiek, naprawdę. Tylko nie deptak, jeśli możemy się powstrzymać.

- Cóż, to może ci nie pasować - zaczął Tom - ale czytałem w przewodniku dzisiaj po południu o małej wiosce niedaleko stąd o nazwie Mohos. - Tom sięgnął na podłogę, wyciągnął książkę z torby i przerzucił kartki, aż znalazł stronę, którą zaznaczył, zaginając róg. - Moglibyśmy tam dojechać taksówką, trochę połączyć, napić się i coś zjeść. Co ty na to?

- Brzmi kusząco - odparłem. - Będziesz gotowy około ósmej?

- Dla mnie bomba. A co ty będziesz robił do ósmej?

Rozejrzałem się po pokoju w poszukiwaniu inspiracji i dostrzegłem ją przez drzwi balkonowe.

- Zakończę dzień tak, jak go zacząłem - odpowiedziałem, wskazując taras. - Nacieszę się słońcem.

DBAJ O MOJEGO MĘŻCZYZNĘ

Kiedy Tom zaczął się przygotowywać do kąpieli, ja w końcu wstałem z łóżka i wydobylem *Dotknąć pustki* z torby. Zaczynało mnie męczyć to całe napięcie pomiędzy dwoma przyjaciółmi na zaśnieżonej krawędzi. Chciałem czegoś trochę lżejszego... trochę mniej wzniosłego, otworzyłem więc swoją walizkę, wyciągnąłem *Kod Leonarda da Vinci* (drugą z trzech moich wakacyjnych lektur), wyszedłem na balkon i zasunąłem za sobą drzwi.

Siedząc na swoim ulubionym balkonowym krześle, ze stopami na poręczu, zacząłem czytać pierwszy akapit. Kilka zdań dalej Tom odkręcił prysznic i rozproszył mnie tak, że przerwałem lekturę. Spróbowałem znowu kilka minut później, ale wtedy pod balkonem przeszła grupka rozmawiających głośno dziewcząt, więc znowu przestałem. Kiedy wreszcie podniosłem książkę jakieś pięć minut później, nie miałem już do niej serca. Nudziło mi się, ale nie chciałem czytać. Pragnąłem rozrywki, ale bez konieczności opuszczania mojego balkonowego siedziska. I wtedy znalazłem rozwiązanie. Wyciągnąłem z kieszeni telefon komórkowy, wpisałem wiadomość tekstową i wcisnąłem „wyślij”.

Charlie: Cześć, tak sobie pomyślałem, że może chciałabyś wiedzieć, że leżę sobie na plaży piję żarówiaste drinki serwowane przez tancerki hula w toplissime. A co u Ciebie? C.

Po minucie dostałem następującą odpowiedź:

Lisa: Jestem w pracy. Bolą mnie plecy mam migrenę, pada deszcz. Zatrzymaj wakacyjne pienia dla siebie! L.

Na którą odpowiedziałem następująco:

Charlie: Właśnie siedzę na balkonie naszego apartamentu, oglądając (w absolutnie niezbozony sposób) stadko dziewiętnastolatek baraszkujących w wodzie. C.

Na co ona odpowiedziała:

Lisa: Co porabialiście dzisiaj cały dzień? Przypomniałeś Andyemu o kremie? L.

Na co ja odpowiedziałem:

Charlie: Cały dzień siedzieliśmy na plaży.

I owszem, przypomniałem Andyemu o kremie. C.

Na co ona odpowiedziała:

Lisa: A co robicie dzisiaj wieczorem? L.

Na co ja odpowiedziałem:

Charlie: Jeszcze nie wiemy. A Ty? C.

Na co ona odpowiedziała:

Lisa: Będę żalować, że nie smażyć się na kretańskim słońcu. L.

Na co ja odpowiedziałem:

Charlie: Powinnaś wpędzić Andyego w poczucie winy żeby Cię ze sobą zabrał. C.

Na co ona odpowiedziała:

Lisa: *Bez szans. On nie ma sumienia. L.*

Na co ja odpowiedziałem:

Charlie: *Dam mu jedno pod choinkę! C.*

Na co ona odpowiedziała:

Lisa: *Lepiej już skończę. Miłej reszty wakacji.*

PS. Dbaj o mojego mężczyznę. L.

Pomiędzy pierwszym SMS-em a ostatnim upłynęła niespełna godzina i przez cały ten czas nie wróciłem ani na chwilę do *Kodu Leonarda da Vinci*.

TO NIE BYŁO MATCH OF THE DAY

Zgrzyt klucza w zamku drzwi wejściowych oznajmił powrót Andy'ego do apartamentu. Zerknąłem na Toma. Żaden z nas tego nie powiedział na głos, ale zrozumiałem, że chcemy obaj osiągnąć ten sam cel: za wszelką cenę sprawić wrażenie całkowicie niezainteresowanych Andym, Niną (na wypadek gdyby ją ze sobą przyprowadził) ani miejscem jego pobytu przez ostatnią dobę. Tom zdecydował się na krzywe miny nad książką, jakby dumał nad wyjątkowo dobrze zbudowanym akapitem, ja tymczasem postanowiłem przywrócić telewizorowi głos, wpatrywać się w ekran i wyglądać na lekko ubawionego.

- Możecie odwołać ekipę poszukiwawczą - oznajmił Andy, wkraczając do sypialni. - Wróciłem.

Tom (a muszę powiedzieć, że wykazał się wyjątkowym talentem w okazywaniu całkowitego niezainteresowania) dokończył czytane zdanie i dopiero wówczas podniósł wzrok na Andyego. Ja postanowiłem gapić się tępo, jakbym ledwie go rozpoznawał.

- Dobra, kumam - rzekł Andy optymistycznie. - Jesteście na mnie wściekli, że tak długo mnie nie było.

- Tak, mówiąc w skrócie - odparł Tom. - Byliśmy bez ciebie zagubieni.

Ignorując Toma, Andy rozmyślnie skoncentrował swoje wysiłki na nadskakiwaniu mnie.

- Daj spokój, Charlie - niemal, ale tylko niemal, błagał. - Ty to rozumiesz, prawda, brachu? No przecież ją widziałeś, co nie? Jest powalająca.

Nie odpowiadając, wstałem, podszedłem do komody, odłożyłem okulary przeciwsłoneczne do futerału i zacząłem porządkować walizkę.

Andy zrozumiał, że go ignoruję, i westchnął w moim kierunku, jakby naprawdę się na mnie zawiódł.

- Jak długo zamierzacie być tacy? - zapytał.

- Jacy? - odparłem.

- Jak mój ojciec. Wiecie co? Nina nie chciała, żebym od niej wychodził i wracał tutaj.

- Więc dlaczego wróciłeś? - zapytałem.

- Ponieważ przez cały dzień was nie widziałem.

Tom się roześmiał.

- I to ma nam pochwalić?

- Nic wam to nie ma robić - odrzekł Andy. - Słuchajcie... - Nagle prze-rwał, wywrócił oczyma w zdenerwowaniu i spróbował innego podejścia do problemu. - Hej, Charlie - podjął. - A ta dziewczyna, z którą miałeś się wieczorem spotkać, pojawiła się w ogóle? - zapytał. - No wiesz, ta w kowbojskim kapeluszu?

- Nie - odrzekłem.

- Pech, brachu.

- To nie była wielka strata.

- Ale i tak nie powinieneś się jeszcze poddawać. Co ty na taki pomysł? Pójdiesz ze mną dzisiaj i poznasz koleżanki Niny, co? Idziemy do Flares. Pamiętasz Flares z tamtych wakacji? To ta knajpa z lat siedemdziesiątych, w której grali melodię z *Match of the Day* i potem wszyscy tak tańczyli... pamiętasz?

- To nie było *Match of the Day* - poprawił Tom. - To *Ski Sunday*.

- Na jedno wychodzi.

- Nie - upierał się Tom. - Może się zdziwisz, ale pierwszy z tych programów jest poświęcony piłce nożnej, a drugi narciarstwu.

Chciałem się roześmiać, ale widziałem, że Andy'emu kończy się cierpliwość.

- Dajcie spokój, chłopaki - powiedział, dodając nutę jowialności do swego błagania. - Chodźcie dzisiaj ze mną. Gwarantuję, że będziecie mieli ubaw. Koleżanki Niny są naprawdę fajne.

- A jej siostra? - zapytałem w nadziei, że Andy nie zwróci na to większej uwagi. - Poznaliśmy ją wczoraj, jak już wyszedłeś z Pandemonium: niewysoka, ciemnowłosa, atrakcyjna, sarkastyczna. Bardziej w naszej grupie wiekowej niż reszty dziewczyn w Malii.

- Opis wskazuje na Donnę - Andy uśmiechnął się szeroko. - Spodobała ci się?

- Nie, oczywiście, że nie - skłamałem, karbując w pamięci jej imię. - Po prostu wydawała się miła, i tyle.

- Nie miałem z nią za wiele do czynienia - powiedział. - Ale skoro obecnie jestem z jej siostrą, na pewno słówko ode mnie bardzo ci się przyda.

- Nie, dzięki - odparłem. - Poradzę sobie.

- Ani trochę sobie nie poradzisz - powiedział Andy. - Słuchaj, brachu, w przeciwieństwie do niektórych osób - tu spojrzął znacząco na Toma - ja nie zapomniałem, o co chodzi w tym wyjeździe. A chodzi o to, żeby cię rozruszać. A najlepszy na to sposób, to żebyś poszedł ze mną dzisiaj wieczorem. Zapomnij o Sarze. Zapomnij o dziewczynie w kowbojskim kapeluszu. I zapomnij też o siostrze Niny. Bo ja przez cały dzień opowiadałem koleżankom Niny, jakiego mam cudownego kumpla Charliego. Brachu, zapewniam, że praktycznie za tobą sikają. Tak się ciebie nachwaliłem, że już myślą, że jesteś najlepszą rzeczą pod słońcem. A jeśli mówię, że wszystkie, to znaczy, że przynajmniej jedna z nich to pewniak.

- Pewniak? - powtórzyłem pogardliwie na myśl, że Andy sprzedaje mnie koleżankom Niny niczym worek przeterminowanych ziemniaków.

- Tak - odparł Andy, uparcie nie przyjmując do wiadomości mojego sarkazmu. - Pewniak.

- Cóż, bardzo bym chciał być beneficjentem twoich miłosiernych wysiłków zmierzających do zapewnienia mi seksu, ale tym razem powiem nie.

- Dlaczego? - zapytał Andy.

- Ponieważ mamy już z Tomem plany.

Andy wyglądał na zmieszanego.

- Jakie plany?

W tym momencie najdoskonalej byłoby, gdyby plany, które opracowaliśmy z Tomem, obejmowały picie na umór, kluby z tańcem erotycznym i możliwość otarcia się o kilka gwiazdek płci żeńskiej.

- Jedziemy do miasteczka w górach, polecanego przez przewodnik Toma - wyjaśniłem słabo. - Jest tam kościół... i kilka sklepów... i tawerna. Możesz z nami jechać, jeśli chcesz.

- Pozwól, że to sobie podsumuję - powiedział Andy, wybałuszając na mnie oczy z niedowierzaniem. - Rezygnujesz z wieczoru w towarzystwie fajnych towarów na rzecz wycieczki do wioski z chrześcijaninem?

- Cóż, gdybyś poświęcił nam trochę więcej uwagi... na przykład dzisiaj rano... albo choćby po południu, może byśmy poszli - odparłem. - Ale prawda jest taka, że opracowaliśmy plan, stary. I tyle.

- Świetnie - warknął Andy. - Wy zostańcie przy swoich planach, wieśniaki, a ja zostanę przy swoich.

Zapadła długa krępująca cisza, podczas której popatrywaliśmy na siebie.

- W każdym razie - podjąłem, pragnąc trochę ugłaskać Andy'ego. - I tak byłbym dzisiaj dziadowskim towarzystwem dla dziewczyn. Skończyłoby się na tym, że bym cię krępował. - Po chwili namysłu zastosowałem taktykę pozorowanej ucieczki, opracowaną przez wiele lat znajomości z Andym, i postanowiłem polecić ego przyjaciela. - Nina jest naprawdę wyjątkowa - powiedziałem, niedwuznacznie podnosząc brwi. - Powiedz nam coś o niej.

- Na przykład co? - zapytał Andy szorstko, podejmując symboliczną próbę zignorowania pochlebstwa.

- No na przykład czym się zajmuje?

- Pracuje w telewizji.

- A co robi?

- Jest sekretarką producenta.
- Ile ma lat?
- Dwadzieścia pięć.
- Kiedy ma urodziny?
- W listopadzie... - Andy przerwał i zaczął się śmiać. - Dobra, Mansell, wygrałeś. Przejdźmy do dalszych pytań.
- Chwileczkę - wtrącił się Tom. - Ja mam jedno pytanie.
- Dawaj - powiedział Andy.
- Wiem, że powiedziałem, że nie zamierzam się wtrącać, ale ciekaw jestem, jak długo zamierzasz to ciągnąć?

Andy odwrócił się do Toma, ale przez kilka chwil żaden z nich nic nie mówił.

- Nie mam do tego nastroju, Tom - powiedział Andy chłodno. - Więc na twój użytek i na użytek Charliego powiem raz: to wakacyjna przygoda. Nie będzie trwała wiecznie, więc nie trzeba nikomu nic mówić. Wiem, że myślicie sobie, że macie nade mną przewagę moralną, ale ja muszę to zrobić, jasne?

I to w żaden sposób nie jest wasza sprawa - Andy urwał nagle i wyciągnął komórkę z tylnej kieszeni. - To Lisa - powiedział, zerknąwszy na wyświetlacz. - Zaraz wrócę.

Kiedy Andy wyszedł na balkon odebrać telefon, wymieniliśmy z Tomem nieufne spojrzenia.

- Myślę, że jesteśmy dla niego zbyt surowi - szepnąłem do Toma, kiedy Andy zasunął drzwi balkonowe. - W końcu to nie jest nasza sprawa.

- Słuchaj - rzekł Tom - jeśli chcesz iść z Andym do klubu, to idź. Ale bez względu na to, czy pójdziesz czy nie, moje plany na dzisiaj przewidują wycieczkę do Mohos.

- Nadal jadę do wioski. Nic się pod tym względem nie zmieniło. Mówię tylko, że Andy zaplanował wieczór, żeby nas przeprosić za to, że go nie było cały dzień. Myślę, że on naprawdę chce, żebyśmy z nim poszli.

- Może i chce - powiedział Tom. - Ale wiesz co, Charlie? Nie sądzę, że-bym dzisiaj zniósł jego wybryki, nawet gdybym chciał. - Uśmiechnął się

psotnie. - Ale ty powinienes pójść, stary, jeśli naprawdę chcesz.

- A czemu się tak uśmiechasz? - zapytałem.

- Na tę twoją wielką mowę o Andym, który chce, żebyśmy z nim poszli. Chcesz po prostu zobaczyć znowu siostrę Niny, prawda?

- Tak, zgadza się - odparłem. - Widziałem ją tylko przez pięć sekund.

- Nie musisz się tłumaczyć. Wydawała się naprawdę fajna. Nie rozumiem, dlaczego nie miałbyś za nią szaleć.

- A dlaczego bym miał?

- Jest dokładnie w twoim typie.

- A jaki jest mój typ?

- Och, daj spokój - jęknął Tom. - Zawsze miałeś swój typ. Jeszcze w college'u. Zawsze były ładne, ale nie zbyt ładne. Zazwyczaj miały ciemne włosy. Ubierały się z gustem. Wyglądały, jakby miały się nie poddać w rozmowie o sensie życia, aż do wczesnych godzin rannych... Wiesz, o czym mówię.

- Dobra, dobra - wyszczerzyłem się. - Masz rację. Mam swój typ i siostra Niny z grubsza odpowiada wymaganiom. Ale nie idę dzisiaj z Andym i koniec tematu. Dzisiaj jesteśmy tylko ty, ja i wioska - przerwałem, kiedy Andy otworzył drzwi na balkon i wrócił do pokoju, ziewając.

- Z Lisą wszystko dobrze? - zapytałem.

- Tak, świetnie - odparł Andy. - Tak tylko dzwoniła pogadać. Ale nie przeciągałem. Wyjaśniłem jej, że zaraz wychodzimy.

- Więc co jej powiedziałaś?

- Że przez cały dzień siedzieliśmy nad basenem hotelowym i...

- Że co? - wybełkotałem.

Andy spojrzał na mnie, zmieszany moją niespokojną reakcją.

- Powiedziałem jej, że przez całe popołudnie siedzieliśmy nad basenem hotelowym - powtórzył. - Co zresztą rzeczywiście robiliśmy z Niną, jeśli akurat nie...

- Ale dlaczego jej powiedziałaś, że byliśmy nad basenem? - zapytałem nerwowo.

- A dlaczego nie miałem jej tak mówić? - odpowiedział pytaniem Andy. - Przecież co to dla niej za różnica... - przerwał nagle i spojrzał na mnie. - Czegoś mi nie powiedziałaś?

To było dobre pytanie. Miliona rzeczy mu nie powiedziałem. Ale w tym momencie byłoby o wiele prościej, gdybym ograniczył się do rzeczy, które musiał wiedzieć.

- Lisa wysłała mi SMS-a dzisiaj po południu.

Andy wyglądał na zmieszanego.

- Dlaczego ona ci wysłała SMS-y?

- W związku z Sarą - skłamałem. - Ale schodzisz z tematu. W odpowiedzi napisałem jej, że przez cały dzień siedzieliśmy na plaży.

- No i?

- A ty jej właśnie powiedziałaś, że cały dzień spędziliśmy nad basenem.

- Więc pomyliłem plażę z basenem, i co z tego? Cały czas robię takie rzeczy. Słowo honoru, Charlie, jak będziesz się tak zachowywał, przyprawisz mnie o atak serca.

- Ale ty się nie martwisz ani trochę, że ona wie, co się tu dzieje?

- Ani trochę. - Andy westchnął z ulgą. - Zapewniam cię, przyjacielu, że ona nic nie podejrzewa.

PRZYDATNE ZWROTY I WYRAŻENIA

Andy dawno już wyruszył do Niny, kiedy tuż po dwudziestej pierwszej w końcu wyszliśmy z Tomem z apartamentu. Czekaliśmy na taksówkę przy drodze, a na ulicach Malii jak zwykle kłębiły się tłumy młodych Brytyjczyków zmierzających w stronę deptaka. Kiedy tak przechodzili, stwierdziłem, że przyglądam się im w obojętny, niemal naukowy sposób, jakbym przygotowywał film dokumentalny, wyszukując miejsca do serialu reality TV o nazwie *Malia bez tajemnic*. Ta pseudoantropologiczna postawa stanowiła oczywiście tylko pretekst do gapienia się na atrakcyjne dziewczyny w krótkich spódniczkach w nadziei, że któraś z nich jest dziewczyną w kowbojskim kapeluszu.

Przez cały dzień z przerwami zastanawiałem się, dlaczego się nie pojawiła, skoro to ona nawiązała ze mną kontakt. Moja bardziej cyniczna część osobowości podsuwała wyjaśnienie, że wszystko to stanowiło część jakiegoś wymyślnego żartu, ale część bardziej optymistyczna wolała wersję, że coś ją przejechało. Domyślałem się, że prawda leży gdzieś pośrodku.

Biały mercedes z kogutem taxi na dachu podjechał po dziesięciu minutach czekania. Wskoczyliśmy na tylne siedzenia i poprosiliśmy kierowcę - ponurego tubylca około sześćdziesiątki - żeby zawiózł nas do Mohos. Reagował z komicznym opóźnieniem. Kiedy ruszył od krawężnika, upewnił się kilka razy, że to właśnie Mohos jest celem naszej podróży, i nawet próbował nas zniechęcić do tej wyprawy.

- Życie nocne żadne w Mohos - powiedział szorstko.

Kiedy go zapewniliśmy, że nie spodziewamy się tańczących dziewcząt ani szalonych imprez w górskiej wiosce, wruszył tylko ramionami i włączył radio.

Ponieważ na uliczkach miasteczka kłębiło się od imprezowiczów, kierując się w stronę szosy, musieliśmy w ślimaczym tempie przejechać przez deptak. Zastanawiałem się przez chwilę, czy taksówkarz rozmyślnie wybrał tę trasę, kusząc nas do pozostania tam, gdzie nasze miejsce. Jeśli tak, to sugerowane przesłanie naszego objazdu brzmiało tak: „Za tym właśnie będziecie tęsknić dzisiaj wieczorem: wysokie dziewczyny, niskie dziewczyny, dziewczyny w krótkich spódniczkach, dziewczyny w długich spódniczkach... w zasadzie dziewczyny każdego rodzaju, jaki wam przyjdzie do głowy”. I przyznaję, że przez chwilę kusilo mnie, żeby krzyknąć: „Zatrzymaj się. Pomyśl, o co ci chodzi, i przyznaj ci rację”. Oczywiście, nie krzyknąłem, chociaż doskonale zdawałem sobie sprawę, że noc spędzona w górach nieuchronnie oznacza dla mnie jedyną okazję mniej na poznanie jakiejś dziewczyny. Wzdychając w duchu, trzymałem głowę na kłódce, póki nie zostawiliśmy daleko za sobą ogłuszającej muzyki i poświaty neonów Malii. Zastąpił je łagodny ksenonowy blask latarni przy szosie i delikatny pomruk radialnych goodyearów na suchuteńkim asfalcie.

Powoli pokonawszy długą wąską ulicę z domami, taksówka w końcu wjechała na niewielki plac. Chociaż zwykle nie mam nic do powiedzenia w kwestiach estetycznych w odniesieniu do wioskowych placów, doceniłem, że ten jest naprawdę piękny. Wszystko, od drzew połyskujących ozdobnymi, nie-realnymi światłami po urokliwy stary kościółek, miało doskonałość obrazka z pocztówki. Powiem nawet, że gdybym miał się umówić kiedykolwiek z dziewczyną w kowbojskim kapeluszu na drugą randkę, to byłoby doskonałe miejsce, żeby ją zabrać.

Tom przetrząsał kieszenie w poszukiwaniu pieniędzy, żeby zapłacić taksówkarzowi, a jednocześnie usiłował go wciągnąć w żarciki po grecku, zaczerpnięte z działu przewodnika pod tytułem „Przydatne zwroty i wyrażenia”. Gdybym powiedział, że taksówkarz nie wykazał zainteresowania konwersacją, użył bym nieuzasadnionego eufemizmu. Wręcz wydawał się niemal

obrażony, jakby przez same próby mówienia po grecku Tom nieodwracalnie kalał jego ojczystą mowę.

Nadal nieco oszołomieni jego jawną wzgardą, skierowaliśmy się najpierw do sklepiku z pamiątkami naprzeciwko tawerny, ponieważ wydawało się, że tam będzie najmniej ludzi, którzy by nas nie znosili. Zaczęło do nas docierać, że jesteśmy jedynymi niemiejscowymi na placu, a rząd starszych panów siedzących na ławce przed rzeźnikiem, jawnie obserwujących nasz każdy ruch, jakbyśmy byli atrakcją wieczoru, w niewielkim stopniu zmniejszył nasze skrępowanie.

Sklepik z pamiątkami był wypełniony standardowymi artykułami turystycznymi: grecką koronką, milionami gatunków oliwy, lalczkami w „tradycyjnych” strojach greckich, mydłem i powidłem. Kiedy obchodziliśmy sklep, Tom wyraził na głos ubolewanie, że macki komercjalizmu rozrosły się tak daleko na prowincję, że istnieje poważne niebezpieczeństwo, że niedługo nie będzie można zaznać prawdziwej Krety. Nie chciałem się spierać z Tomem, ponieważ i tak już ciężko mi było klócić się z Andym cały czas, ale byłem pewien, że idea prostego wiejskiego ludu, żyjącego prostym wiejskim życiem, nieskałanego nowoczesnym światem, istnieje jedynie w głowach turystów szukających „prawdziwej” Krety.

Nadal bacznie obserwowani przez staruszków na ławce, opuściliśmy sklepik i udaliśmy się do kościoła. Okazało się, że w środku odprawiane jest jakieś nabożeństwo, nie weszliśmy więc, ale kiedy odwróciliśmy się do wyjścia, stojąca w przedsionku staruszka dostrzegła nas i szturchnęła przyjaciółki: wszystkie jak jeden mąż odwróciły się i gapiły się na nas przez bardzo długi czas.

Ubawieni zainteresowaniem, które zdawaliśmy się wywoływać, w końcu udaliśmy się do tawerny i usiedliśmy przy jednym z licznych stołów na zewnątrz. Ku naszej wielkiej uldze w ciągu kilku sekund podszedł zycziwy

mężczyzna w średnim wieku i przyjął nasze zamówienie. Nadal zapalony do testowania swojego greckiego słowniczka, Tom najlepiej jak umiał, przekazał, co wybraliśmy z menu. I chociaż bardzo walczył z całą gamą nieznanych słów i wyrażań, nasz kelner sprawiał wrażenie szczerze uradowanego, że Tom te wysiłki podejmuje.

Jedzenie i napoje pojawiły się szybko i były o niebo lepsze od wszystkiego, czego skosztowaliśmy do tej pory. Dostaliśmy placki ze szpinakiem i fetą, klopsiki, gołąbki z liści winorośli i kilka dań, których nie umieliśmy skojarzyć z niczym z menu, ale i tak smakowały świetnie. Właśnie kiedy zamówiliśmy drugą kolejkę piwa, żeby splukać resztki posiłku, z tawerny wyłoniło się kilku gości z gitarami akustycznymi i zaczęli grać pieśni, które kilku tubylców rozproszonych przy innych stołach zdawało się dobrze znać. Już po paru chwilach dosłownie wszyscy klienci zgodnie klaskali i śpiewali.

- Charlie? - szepnęła mi Tom do ucha, kiedy w końcu przewyciężyliśmy swoją naturalną rezerwę i dołączyliśmy do klaskania przy wyjątkowo skocznej piosence. - Jeśli ci coś powiem, obiecaj mi, proszę, że nie zrobisz z tego wielkiej sprawy, dobra?

- Oczywiście - odrzekłem, wciąż klaskając. - To będzie tylko drobna sprawa. Co cię trapi?

Tom przestał klaskać i ja też to uczyniłem.

- Pamiętasz, jak dzisiaj mnie zapytałeś, czy nic mi nie jest? - Kiwnąłem głową. - No więc prawdę mówiąc, coś mi jest.

- Co masz na myśli?

- To, że od pewnego czasu myślę wciąż o czymś, czego jeszcze nikomu nie mówiłem, i że to coś doprowadza mnie do szału.

- Co to jest? - zapytałem.

- Chodzi o to - zaczął - że w dniu, kiedy będziemy lecieć do domu, muszę gdzieś zadzwonić.

- Gdzie zadzwonić?

- To nie jest tak naprawdę, to tylko... - głos go zawiódł. - Mam tylko zadzwonić do swojego lekarza, żeby poznać wyniki pewnych badań.
- Wyniki badań? - zapytałem odrobinę za szybko. - Na co?
- Naprawdę nie wiem, jak to powiedzieć - powiedział Tom, skupiając wzrok na gitarzystach. - Naprawdę nie wiem. Nawet się jeszcze nie ośmieliłem powiedzieć tego słowa na głos, kiedy jestem sam.
- Ale teraz rozmawiasz ze mną - odparłem. - Wiesz, że mnie możesz powiedzieć wszystko.
- Rak - powiedział Tom szybko, kiedy piosenka zbliżała się do końca. - Muszę zadzwonić do swojego lekarza, żeby się dowiedzieć, czy mam raka.

Dzień trzeci: Środa

ONA TO MOJE WAKACJE

W półmroku sypialni rozpoznawałem postać w drzwiach łazienki. Zerknąłem na zegarek. Minęła siódma rano. Z mojego punktu widzenia dobre wieści brzmiały tak, że po raz pierwszy w czasie tych wakacji nie ja pierwszy wstałem. Złe wieści brzmiały tak, że gdybym nie został obudzony, na pewno spałbym jeszcze wiele godzin. Zdając sobie sprawę, że raczej już nie zasnę w najbliższym czasie, wyszedłem z łóżka, bez słowa wciągnąłem majtki, otworzyłem walizkę i wyjąłem z niej T-shirt „Death To The Pixies”.

- Dzień dobry, brachu - rzekł Andy, wychodząc z łazienki w gatkach i koszulce. Miał mokre włosy i z zapamiętaniem wycierał je ręcznikiem.

- Obudziłeś mnie - odparłem ponuro.

Andy posłał mi twarde spojrzenie.

- Brałem tylko prysznic. Od kiedy to zbrodnia?

- Od kiedy zacząłeś mi przy tym kraść ręcznik - wyjaśniłem, wrywając wilgotny ręcznik z rąk Andyego. - Co ty tu robisz o tej godzinie? Sądziłem, że cię zobaczę najwcześniej wieczorem. Tak to się chyba odbywa, prawda? Co dwadzieścia cztery godziny meldujesz się, aby się upewnić, że jeszcze żyjemy.

- Wróciłem, bo Nina i ja uzgodniliśmy, że oboje jesteśmy wykończeni - powiedział Andy, ustępując mojej porannej marudności. - I zamierzałem, jeśli moje plany rzeczywiście cię obchodzą, wziąć prysznic, a potem spać aż do wieczora, ale jeśli chcesz, bym wrócił do Niny, mogę równie dobrze to zrobić.

- No więc jeśli rzeczywiście chcesz iść - odparłem - nie krępuj się.

Zapadła długa cisza. Andy wpatrywał się we mnie, jakby próbował coś zrozumieć. Nagle wyraz jego twarzy zasugerował, że odpowiedź została ustalona, i mój przyjaciel wyszeptał porozumiewawczo:

- Rozumiem. - Zerknął znacząco na drzwi do kuchni. - To w ogóle nie chodzi o mnie, prawda? Chodzi o to, że spędzasz cały ten najcenniejszy czas z Hansem Christianem Andersenem, zwiedzając wioski, wędrując po górach i gadając o Jezusie. - Zaśmiał się. - To świetnie. W końcu masz tego...

- Odsuść sobie, Andy - zagroziłem ostrożnie. - Z całą pewnością wybrałeś najgorszy dzień, żeby to wszystko mówić.

- Naprawdę? A dlaczegoż to? Tom nigdy się nie zaliczał do moich największych wielbicieli i ja na pewno nie zaliczam się do jego, więc po co udawać, że jest inaczej? Gdybyś chciał znać moje zdanie, on...

- Słuchaj - przerwałem mu. - Prosiłem cię i nie żartowałem, zostaw to! - Podeszedłem do Andy'ego i dźgnąłem go w klatkę piersiową, jakbym chciał postawić kropkę.

- Powiedz mi, że nie zrobiłeś tego, co właśnie zrobiłeś - rzekł Andy z twarzą poczerwieniałą od gniewu.

- Zrobiłem - odparłem, chociaż czułem, że sytuacja zaczyna wymykać się spod kontroli. - I wiesz co? Zrobię to jeszcze raz, jeśli dalej będziesz tak gadał o Tomie.

- Na pewno? - zapytał Andy, podchodząc do mnie, jakby chciał się zamachnąć na mnie pięścią.

- Tak - odrzekłem stanowczo. - Na pewno.

Nigdy w ten sposób nie stawiałem czoła Andy'emu. Chyba nigdy nie musiałem. I widziałem w jego oczach, że chociaż przywykł robić wszystko po swojemu, w tej chwili chce ustąpić, podobnie jak ja. Niestety nie byłem pewien, czy Andy w ogóle wie, jak się ustępuje, więc jedynym wyjściem, które wchodziło w grę, wydawało się moje ustąpienie.

- Słuchaj - zacząłem - nie powinienem był cię tak popchnąć, dobra? Po prostu jestem trochę przybity i tyle.

- Przybity czym?

- Tomem - odparłem. - Wczoraj wieczorem powiedział mi, że może mieć raka.

Na twarzy Andy'ego odmalował się wstrząs. Napięcie pomiędzy nami natychmiast się ulotniło.

- Raka? - powtórzył, ledwie wydobywając z siebie to słowo. - Jak Tom może mieć raka?

Podszedłem do drzwi na balkon, otworzyłem je i dałem znak Andy'emu, żeby wyszedł ze mną. Tam wciągnąłem wielki haust powietrza, przytrzymałem je w płucach i rozejrzałem się. Dziwnie było na dworze o tak wczesnej porze. Poranne powietrze wydawało się świeższe. Słońce, chociaż jasne, nie świeciło jeszcze ze zwykłym nasileniem. Wszystkie leżaki wokół basenu były puste. Wszystko znajome zdawało się odwracać twarz w innym kierunku.

- Słuchaj - zacząłem, kiedy zamknąłem za Andym drzwi balkonowe. - Nie jestem pewien, czy miałem ci mówić o tym, co Tom mi powiedział. Nie powiedział, że nie, i nie powiedział, że mogę. Podejrzewam, że jeśli wziąć pod uwagę, jak go traktujesz przez cały wyjazd, nie zakłada, że nagle zaczniecie sobie gadać od serca.

- Wiem, wiem - rzekł Andy zawstydzony. - Trochę się zachowywałem jak skurwiel. Ale nie to jest najważniejsze, prawda? Najważniejsze jest to, jak Tom może mieć raka? Moim zdaniem wygląda świetnie.

Andy usiadł na plastikowym krześle, ja na drugim, i opowiedziałem mu całą historię, tak samo jak Tom opowiedział mnie.

Pewnego ranka mniej więcej miesiąc wcześniej Tom w łazience zauważył, że woda w muszli klozetowej ma lekko różowawe zabarwienie. Ignorował to przez kilka dni w nadziei, że zjawisko samo zniknie, ale nie zniknęło. Robiło się coraz gorzej, woda była coraz bardziej różowa, aż pewnego dnia zauważył smugi czerwieni. Jeszcze tego ranka umówił się z lekarką, nie

mówiąc nic swojej żonie, a lekarka wysłała go do specjalisty w miejscowym szpitalu. Ten go przebadał i powiedział, że trzeba zrobić całą masę badań, żeby wykluczyć najgorszy scenariusz: nowotwór pęcherza.

- A więc nie wiedzą na pewno, co mu jest? - zapytał Andy.

- Nie. Ale nie wiem, czy wiesz, że na nowotwór pęcherza moczowego zmarł ojciec Toma, kiedy miał... ledwie pięćdziesiąt dwa lata.

Przez kilka minut żaden z nas się nie odzywał.

- Kiedy będą wyniki?

- Rano tego dnia, kiedy wylądujemy na Gatwick.

Andy zastanawiał się chwilę.

- Dlatego się zgodził z nami wyjechać, prawda?

Kiwnąłem głową.

- Powiedział, że lepiej, żeby wyjechał i żebyśmy my dwaj go zaabsorbowali, niż żeby się snuł po domu, czekając na wyniki.

Andy wstał i wszedł do sypialni, po czym wrócił z papierosami i zapalniczką. Zapalił papierosa i podał go mnie, potem zapalił jednego dla siebie. Balkon na chwilę wypełnił się niebieską mgiełką dymu, a my siedzieliśmy, wpatrując się w zamglony horyzont.

- Moja babcia umarła na raka - powiedział Andy cicho. - Wątroby. To był kurwa najsmutniejszy dzień w moim życiu.

- Mieszkałeś z nią, prawda?

- Od siódmego roku życia. Wtedy tata odszedł, a mama zupełnie zwariowała. I mieszkałem z babcią aż do college'u. Szczerze, Charlie, przez całe moje życie ona była taką silną kobietą, prawdziwą opoką, nic nigdy jej nie zламаło. Ani wychowywanie mojego brata i mnie. Ani praca na dwa etaty. Ani śmierć dziadka. Wszystko przyjmowała ze spokojem. Cały czas przy nudzała o Bogu i jak to on będzie się o nią troszczył, bo zawsze tak robił. Ale się nie zatroszczył. I potem im bardziej była chora, tym bardziej stawiała się

inną osobą. Już nie była moją babcią. Była słabiutką staruszką. Nigdy tak nie myślałem o mojej babci, że ona jest staruszką. Ale kiedy po raz pierwszy zobaczyłem ją w szpitalu, po pierwszej chemii, to właśnie była staruszką. Nigdy niczego i nikogo się nie bała. Pamiętam, jak raz okradziono jej dom - zwinęli jej wideo i trochę gotówki, którą trzymała w kominku - i doskonale wiedziała, który z dzieciaków z sąsiedztwa to zrobił, bo moja babcia mieszkała tam całe życie i wiedziała wszystko o wszystkich. Musiała już mieć pod siedemdziesiątkę, ale i tak poszła do domu tego dzieciaka i tak długo łomotała do drzwi, aż jego rodzice otworzyli. Z miejsca od progu zagroziła, że obije matkę i ojca tego chłopaka, i jego samego, jeśli wideo i pieniądze nie wrócą do wieczora, wraz z dodatkiem na nową szybę, którą stłuczono. I wiesz co? Dostała nawet ten dodatek. Taka była moja babcia, siła natury.

Andy przerwał, żeby strząsnąć długi słupek popiołu z papierosa, a potem zaciągnął się mocno.

- Ale w szpitalu byś jej nie rozpoznał. Naprawdę. I po każdej serii wyglądała gorzej, a nie lepiej. Aż po kilku miesiącach, pewnego dnia, kiedy byłem u niej, uświadomiłem sobie, że pomimo całego gadania jej się nigdy nie polepszy. I potem już nigdy nie wróciłem. Mój brat do niej chodził. Był z nią do samego końca. Ale ja? - Andy pokręcił głową. - Nie dałem rady patrzeć, jak ona tak odchodzi.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Wiedziałem trochę o przeszłości Andy'ego. To, że go wychowywała babcia (choć nigdy wcześniej ani słowem nie wspomniał o rodzicach) i to, ile dla niego znaczyła, chociaż to głównie wnioskowałem z reakcji na jej śmierć. Zupełnie się wtedy rozsywał. Naprawdę. Przestał jeść. Pił na umór. I był taki wstrętny dla każdego dookoła, że wraz z pracą stracił niemal wszystkich przyjaciół, których się dorobił przez ostatnie dziesięć lat, z wyjątkiem mnie i Lisy. Niemał rok trwało, zanim zdołał się pozbierać i to tylko dlatego, że Lisa zagroziła, że od niego odejdzie. I chociaż

dopiero po długim czasie przyszło mi do głowy, że to musi być powód, dla którego Andy jest takim przeciwnikiem religii, a zwłaszcza Toma, teraz, skoro już to wiedziałem albo przynajmniej odgadywałem jego sposób rozumowania, nie mogłem powiedzieć, że czuję się choć odrobinę mądrzejszy. Miał swoje racje i jestem pewien, że uważał się za usprawiedliwionego, ale mylił się.

- Myślisz, że wyzdrowieje? - zapytał Andy, gasząc papierosa o poręcz balkonu.

- Tak, oczywiście - odparłem. - Wyzdrowieje.

- Ile lat mają jego dzieci?

- Jedno ma chyba cztery, a drugie trzy.

- I nadal wierzy w Boga? - zapytał Andy, kręcąc głową z oburzeniem. Jego odpowiedź miała formę pytania, ale było to również stwierdzenie faktu. Cokolwiek to jednak było, zdecydowałem się nie odpowiadać.

- Myślisz, że jestem kretynem, zdradzając Lisę, prawda? - zapytał.

Zanim odpowiedziałem, milczałem kilka chwil w nadziei, że wmówię Andy'emu, że waham się z odpowiedzią.

- Tak - odparłem w końcu. - Tak myślę.

- Myślisz, że ona zasługuje na coś lepszego?

- Myślę, że jeśli nie chcesz z nią być, to skończ ten związek i idź dalej. Ale jeśli choć odrobinę ją szanujesz, to natychmiast zakończ tę sprawę z Niną.

- Albo?

Spojrzałem na niego, zdumiony.

- Tak to powiedziałeś, jakbyś zamierzał coś zrobić, jeśli nie skończę - wyjaśnił.

- A co miałbym zrobić? - zapytałem. - Nie jestem w stanie nikogo do niczego zmusić.

- Chcę być z Lisą - powiedział Andy spokojnie. - I wiem, że będziemy mieli dzieci i tak dalej.

- Ale?

Andy uśmiechnął się żałośnie.

- Zawsze musi być jakieś „ale”? Dla mnie to jest rutyna. Nie mogę nic na to poradzić. Poniedziałki: praca i siłownia. Wtorki: praca, a wieczorem telewizja. Środy: praca i jakaś jej koleżanka przychodzi na kolację. Czwartki: praca i ona wychodzi ze swoimi koleżankami, a ja idę się napić z tobą. Piątki: praca, a potem jedzenie na wynos przed telewizorem. Soboty: siłownia, zakupy, a jeśli się nam nudzi, możemy wyjść gdzieś wieczorem. Niedziele: kto wie, co się dzieje w niedziele? Każdy dzień rozplywa się w pustce, bo zanim się zorientujesz, co się dzieje, znowu jest poniedziałek i stoisz w punkcie wyjścia. Kto by nie chciał od tego odpocząć?

- I tym właśnie jest dla ciebie Nina? Odpoczynkiem? Wakacjami?

- To słowo równie dobre jak każde inne - odrzekł Andy. - Ona to moje wakacje... ucieczka od prawdziwego życia... od rutyny i tak, nawet od Lisy. Każdemu potrzebne wakacje, brachu. Nawet tobie. - Przerwał, wziął papierosa i wstał. - Zobaczmy się później?

- Idziesz spać?

- Nie - westchnął. - Wracam do Niny.

I ♥ MALAYSIA

Była godzina dziesiąta, a ja znowu leżałem na zalanym słońcem balkonie, z nosem w *Kodzie Leonarda da Vinci*. Tom dawno temu udał się na swoją wycieczkę do wąwozu Samaria, zostawiając mnie samego na cały dzień.

Między nami zrobiło się niezręcznie, delikatnie mówiąc. Nie wiedziałem, jak się zachowywać w obecności kogoś, kto mi powiedział, że może mieć raka. Tak byłem zmieszany sytuacją, że ostatecznie na zmianę to nadmierne martwiłem się o jego samopoczucie, to zachowywałem się jak jego nadworny błazen, aby podnieść go na duchu. Wychodząc z hotelu (odrzućciwszy nieustanny grad moich propozycji, że pojedę dotrzymać mu towarzysztwa), na pewno nie posiadał się ze szczęścia, że się mnie pozbywa.

Miałem przed sobą samotny dzień, a więc nie powstrzymywany przez nikogo, mogłem się oddawać rozmyślaniom o Sarze. Wiedziałem, że wystarczy chwilę poczekać, a zajmie ona swoje zwykłe miejsce w mojej głowie. Uznałem więc, odkładając *Kod Leonarda da Vinci* na stolik, że skoro myślenie o Sarze jest nieuniknione, to najlepiej będzie, jeśli szybko sobie z tym poradzę. Bez dalszych ceregieli rozparłem się na krześle i rozpocząłem rozmyślanie.

Nigdy tego nikomu nie mówiłem, ale w dniu, w którym Sara mnie zostawiła, poszedłem wykupić wczasy. Był to dzień pełen sprzeczek, krzyków i płaczu (obopólnych), a potem ona zadała ostateczny cios słowami: „Ja już cię chyba nie kocham”. Wiedziałem od razu, że nie blefuje. Zupełnie tak samo się działo, kiedy jako dzieciak rozrabiałem i rozmyślnie robiłem coś, co musiało

źle się skończyć. Tata przyłapywał mnie na gorącym uczynku i mówił coś w rodzaju „No to koniec”, i z tonu jego głosu wiedziałem od razu, że to nie jest czecha pogrożka. Po kilku sekundach czułem ojcowską dłoń na swoich nagich pośladkach, na długo zanim usłyszałem efekt dźwiękowy klapsa. I dokładnie to samo się stało, kiedy Sara powiedziała, że już mnie nie kocha. To był strzał w samo serce, a dopiero po nim nastąpił huk. Klaps tak mocny, że myślałem, że nigdy nie przestanie piec. W głowie mi się kręciło, serce stanęło, a moje życie legło w gruzach.

Pamiętam, że kiedy Sara trzasnęła drzwiami, wychodząc, poczułem dziwny spokój. Ludzie, którzy o mało nie umarli na stole operacyjnym, mówią czasami, że kiedy tak leżeli, a lekarze i pielęgniarki krzyczeli dookoła, próbując przywrócić ich do życia, czuli, jak ich dusza opuszcza ciało i unosi się w powietrzu nad sceną, która miała być ich ostatnią chwilą. Tak właśnie było ze mną. Wy płynąłem ze swojego ciała, patrzyłem na siebie bezwładnego na krześle przy stole w jadalni, tylko że nikt nie próbował przywrócić mnie do życia. Byłem tylko ja, puste mieszkanie i za dużo wspomnień. I w tym stanie usłyszałem, jak powtarzam słowa „Musisz coś zrobić”, raz za razem, i nie mogłem pojąć, czy chodzi mi o to, że muszę coś zrobić, by odzyskać Sarę, czy też powinienem przestać tam siedzieć i podjąć jakieś działanie. I kiedy tak siedziałem, próbując rozgryźć dokładnie, co mam na myśli, kątem oka zobaczyłem folder biura podróży w stojaku na gazety obok telewizora. Nazywało się „Ponadluksusowe wakacje”, a polecało drogie, pięcigwiazdkowe wczasy w takich miejscach jak Barbados, Seszele i Malediwy - wczasy, których nigdy byśmy nie brali pod uwagę w normalnych warunkach. Nagle zdałem sobie sprawę, że Sara wcale nie wzięła tego folderu z myślą o nas dwojgu. Kilka sekund po wybuchu tej bomby włożyłem buty, chwyciłem płaszcz i udałem się do miasta.

Biuro podróży, do którego poszedłem, nazywało się „Wakacje od ręki”. Nad wejściem widniał szyld z napisem „Ojczyzna wakacji”. Do witryny bluetackiem przymocowano kilka naście wypisanych flamastrem kartek

przedstawiających oferty z ostatniej chwili. Moje oczy rozbłysły, kiedy je przeglądałem: czternaście dni w Kostaryce, dziesięć na Ibizie, siedem na Gran Canarii, dwa tygodnie w Portugalii i osiem dni na Malcie, ale z każdą z nich wiązał się jeden problem. Wszystkie oferty zniżkowe dotyczyły wyjazdu dla dwóch osób. A jednak tu byłem, jednoosobowy, szukając ucieczki.

W chwili gdy wszedłem do biura podróży, odniosłem wrażenie, że wszystkie oczy skierowały się na mnie. Zupełnie jakbym uruchomił jakiś alarm na podczerwień. Trzy agentki podniosły wzrok i błysnęły ku mnie rekordowo białymi, wyszczerzonymi i promiennymi uśmiechami. W pierwszej chwili poczułem się uwielbiany, a potem uświadomiłem sobie, że one nie tyle się uśmiechają, co przejawiają swoisty odruch warunkowy, wyuczony w trakcie dalekosiężnych programów szkoleniowych na początku ich kariery. Przypominały mi androidy z *Łowców androidów*. Niby ludzie, ale nie do końca.

Starannie wymanikiowany paznokieć skierował mnie w strefę oczekiwania - przestrzeń pośrodku sklepu, nieco dziwnie urządzoną, symulującą plażową kawiarnię. Stały tam trzy aluminiowe kawiarniane stoliki z krzesłami, parasolki, a pomiędzy nimi znajdował się kopiec piasku, wiaderko z łopatką, ręcznik plażowy i powieść Jackie Collins.

Niepewny, czy to instalacja artystyczna, czy prawdziwa poczekalnia, obejrzałem się pytająco na agentkę, a ona posłała mi serdeczny uśmiech i mrugnęła okiem. Wziąwszy głęboki oddech, przeszedłem na środek i usiadłem przy jednym ze stolików, czując osobliwe skрэpowanie. Oto ja, obecnie samotny trzydziestopięcioletek siedziałem sam w sztucznym kawiarnianym ogródku, obok sztucznej plaży, w biurze podróży w samym środku tętniącego życiem centrum handlowego Brighton w deszczowe lipcowe popołudnie.

Nalałem sobie kubek wody z dystrybutora i próbowałem wytypować, która z agentek mnie obsłuży. Postawiłem na pierwszą od drzwi, ponieważ

w jej zachowaniu była jakaś zabawna wydajność, która powiedziała mi, że ta pracownica osiągała najlepsze wyniki sprzedaży. Ale kiedy rozejrzałem się po pomieszczeniu, zauważyłem, że sprzedawczyni siedząca przy biurku w głębi biura jest bardzo ładna. Miała ciemnobrażowe włosy, karmelową skórę i zabójczy uśmiech. Wyglądała niesamowicie nawet w swoim służbowym stroju, na który składała się fioletowa poliestrowa spódniczka i czerwona bluzka w kratę.

Śliczna sprzedawczyni musiała wyczuć, że jest obserwowana, ponieważ bez absolutnie żadnego powodu podniosła wzrok i napotkała mój. Patrzyliśmy sobie w oczy przez kilka chwil, a potem ja odruchowo odwróciłem wzrok, co poskutkowało tym, że zacząłem wyglądać, jakbym miał coś na sumieniu. Dla wyrównania efektu, zerknąłem na nią ponownie, ale połączyłem to z długim rozglądaniem się po pomieszczeniu, żeby sprawić mniej podejrzane wrażenie. Popatrzyłem na wielki baner nad jej głową, prezentujący rozmyty obraz rodzin idących przez idylliczną, naszpikowaną palmami plażę. Na trzech mężczyzn w kolejce do kantoru wymiany walut (z których jeden niósł reklamówkę opatrzoną sloganem „I♥Malaysia”). I na powieść Jackie Collins na wystawie.

Skoro się wystarczająco odciąłem od wszelkich z pozoru dewiacyjnych zachowań, powtórnie spojrzałem na śliczną sprzedawczynię. Nadal była pochłonięta rozmową z dwójgim młodych ludzi, których obsługiwała, i nie zerknęła w moim kierunku przez kolejne trzy sekundy, kiedy to wyobrażałem sobie, jakby to było ją pocałować. Wykorzystując więc chwilę oddechu, wziąłem spory łyk wody i przyglądałem się folderom na stojaku za plecami. Właśnie kiedy miałem wyłowić jeden o wczasach narciarskich (mimo że nigdy w życiu nie jeździłem na nartach, a idea ta wręcz wydawała mi się odstręczająca), zamarłem. Dwoje młodych ludzi, obładowanych szykownymi torbami z zakupami i ubranych, jakby wychodzili na sobotni ubaw, usiadło

przy stoliku obok mnie. Nasze oczy się spotkały i na chwilę zastygłem zakłopotany, póki do mojej świadomości nie przedarł się kobiecy głos.

- Witam.

Mówiła do mnie śliczna sprzedawczyni. W najlepszym wypadku miała dwadzieścia lat i z bliska była jeszcze ładniejsza.

- Jestem Denise - powiedziała radośnie. - W czym mogę panu pomóc?

Po dłuższej chwili trybiki w mojej głowie zaczęły się obracać, przypominając mi o kilku kluczowych czynnikach, których nie wziąłem pod uwagę, a które mogły utrudnić mi wykupienie wczasów: po pierwsze, do wypłaty miałem trzy tygodnie, po drugie, nie sprawdziłem w pracy, kiedy mogę wziąć wolne, a po trzecie, nie chciałem jechać na wakacje sam.

Uśmiechnąłem się.

- Obawiam się, że niepotrzebnie poświęciła mi pani czas. Właśnie sobie uświadomiłem, że trafiłem w absolutnie niewłaściwe miejsce, żeby wykupić wczasy.

A potem wstałem i wyszedłem.

TELEFON Z APARATEM FOTOGRAFICZNYM

Okolo południa doszedłem do wniosku, że jeśli w ogóle mam się cieszyć tymi wakacjami, to muszę przestać myśleć o Sarze. Przez chwilę rozważałem, czy pójść na plażę z *Kodem Leonarda da Vinci*, ale miałem już trochę dość czytania i chciałem zrobić coś, co wymagałoby jakiegoś wysiłku fizycznego. Rozejrzałem się po pokoju, dostrzegłem ulubiony przewodnik Toma, niechcący zostawiony na stoliku na balkonie, i zacząłem go przeglądać. Znalazłem mnóstwo kulturalnych sugestii „warto zobaczyć”, od muzeów i ruin po wzgórza i miejsca urodzenia słynnych osób. Chociaż Tom zaznaczył sporo wybranych atrakcji niebieskim długopisem, większość z nich nie wzbudziła we mnie najmniejszego zainteresowania.

Jedynym miejscem, w którym wizyta odrobinę mnie nęciła, był Heraklion, stolica wyspy. A i to dlatego, że miałem nadzieję znaleźć tam sklepy z artykułami, które nie byłyby zwyczajnym turystycznym chłamedem. W gruncie rzeczy chciałem od Heraklionu namiastki Anglii - ujednoczonego centrum handlowego, które pomimo swojej architektury, kultury i klienteli miałyby te same sklepy sieciowe, marki i zwyczajne tandeciarskie sklepy, co na każdej ulicy handlowej w mojej ojczyźnie. Dlaczego? Ponieważ nade wszystko pragnąłem małej terapii detalicznej. A przy wycieczce wartej kilkaset funtów euro nie na wiele mi się przydawały poza zapewnieniem mi dostępu do alkoholu, lodów i miejscowej kuchni. Teraz rozpaczliwie chciałem wypróbować swoją siłą nabywczą.

Zamówiłem taksówkę do Heraklionu i moje przecucie, że jest to nowoczesne miasto z nowoczesnymi obiektami handlowymi, okazało się słuszne.

Idealnie spełniło moje oczekiwania. Minus stanowiło to, że kiedy już tam trafiłem, nie zdołałem znaleźć ani jednej rzeczy, którą chciałbym kupić. Odwiedziłem sklepy ze sprzętem elektronicznym, z komputerami, z ubraniami i z książkami, odwiedziłem mnóstwo sklepów z tanimi artykułami oraz targ i ze wszystkich tych miejsc wyszedłem, nie kupując absolutnie nic.

Doszedłszy do wniosku, że moja wycieczka była błędem, ruszyłem jakąś uliczką, żeby znaleźć postój taksówek, na którym mnie wysadzono. Po kwadransie stało się jasne, że na dobre się zgubiłem. Nic w moim otoczeniu nie wydawało mi się ani odrobinę znajome, a kiedy słońce w zenicie prażyło moją głowę, czułem się coraz bardziej zdezorientowany. W ostatniej próbie zorientowania się, gdzie jestem, skręciłem w lewo w wąskie przejście, otwierające się na wielki plac, nad którym górowała imponująca katedra.

Kiedy sunąłem w tamtą stronę, katedralne dzwony wybiły godzinę, jakby mnie nawoływały. Uznałem, że nie mam nic lepszego do roboty i ruszyłem przez zacieniony plac i w górę stromymi schodami do wejścia do kościoła.

W przeciwieństwie do przenikliwego ciepła i ostrości światła dziennego, wewnątrz katedry było mrocznie i chłodno. Sprawiała wrażenie doskonalego schronienia. Usiadłem na starej drewnianej ławce blisko wejścia i rozejrzałem się. Katedra idealnie odpowiadała moim oczekiwaniom. Miała okazałe, malowane stropy, barwne witraże, stare freski i setki zdobnych rzeźbień.

Zamknąłem oczy, odetchnąłem głęboko, a kiedy spokój i cisza budowli zaczęły przenikać do mojej głowy, zastanowiłem się, czy kiedykolwiek doznam religijnego nawrócenia, tak jak Tom. Choć była to zapewne wyobraźnia, przez kilka krótkich chwil czułem, że ciężar moich trosk zsuwa się z moich ramion. Właśnie kiedy zacząłem badać to nowe doznanie, z zamyślenia wyrwało mnie pstryknięcie aparatu cyfrowego. Otworzyłem oczy i

zobaczyłem kobietę w średnim wieku, uzbrojoną w komórkę z aparatem fotograficznym, zapamiętała robiąc zdjęcia wszystkiego dookoła, jakby przygotowywała materiał na okładkę tygodnika „Co nowego w katedrze”.

Chociaż byłem całkowicie pewien, że nie wierzę w Boga, w imieniu Toma i ludzi takich jak on, poczułem chęć, by chwycić telefon tej kobiety i roztrząsać go na milion kawałków. Na moje szczęście, do kobiety podszedł kapłan i po krótkiej rozmowie opuściła ona świątynię. Poczułem, że w końcu mogę się odprężyć, i przez krótką chwilę to właśnie robiłem. Wpatrywałem się w postaci przedstawione na freskach, obserwowałem kolejkę ludzi zapalających świeczki za swoich ukochanych i myślałem długo i mocno o Tomie i jego sytuacji. A kiedy wstałem do wyjścia, nie czułem się ani trochę mądrzejszy, ale przynajmniej poczułem się odrobinę pogodzony ze światem. I choć nie byłem pewien, czy to właściwe czy nie, zapaliłem świeczkę za Toma.

Kiedy się odwróciłem do wyjścia, zauważyłem młodą ciemnowłosą kobietę stojącą przede mną przy ławce. I natychmiast ją rozpoznałem.

- Ty jesteś przyjacielem Andy'ego, prawda? - zapytała. - Charlie?

- Tak - odparłem, witając ją uściskiem ręki. - A ty jesteś Donna, siostra Niny.

PO CO KOMU ZABIJAĆ CHOCHLIKI?

- Jesteś katolikiem? - zapytała Donna.

- Nie - odpowiedziałem. - Po prostu... to długa historia. - Zamilkłem i spojrzałem na nią. - Ty też nie jesteś katoliczką, prawda?

Donna wzruszyła ramionami.

- Zasady chyba mówią, że katolikiem zostaje się na całe życie, nawet jeśli, tak jak ja, nie postawiłeś stopy w kościele, odkąd miałeś naście lat. - Przerwała. - Nawet nie wiem, dlaczego weszłam. Chyba po prostu człowiek robi takie rzeczy, kiedy jest w obcym kraju, prawda? Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby zajrzeć do kościoła w pobliżu domu tylko dlatego, że przechodziłam obok. - Uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Jesteś tu sam?

- Tak - odpowiedziałem. - Mój kolega Tom wybrał się na wędrownkę, a Andy pewnie jest z twoją siostrą. Nie przyjechałaś tu z nimi, prawda?

- Z tamtą dwójką? - roześmiała się Donna. - Wątpię, czy w ogóle już wstali. Nie, przyjechałam sama. Jutro lecimy do domu, więc pomyślałam, że kupię trochę prezentów i zobaczę coś innego niż plaża. A co ciebie sprowadza do Heraklionu?

- Tak naprawdę to samo co ciebie - odparłem. - Malia po pewnym czasie wydaje się trochę malutka.

- Tu się nie mylisz.

- Gdzie się teraz wybierasz? - zapytałem.

- Nie wiem. A ty?

- Nie mam nic zaplanowanego. W zasadzie myślałem, żeby wracać. - Przerwałem. - Pewnie nie masz ochoty na kawę czy coś w tym rodzaju?

Jeszcze nic nie jadłem i coś bym wciągnął na szybko.

- Bardzo chętnie - powiedziała Donna. - Po drodze widziałam kawiarnię po drugiej stronie placu. Sprawiała miłe wrażenie. I jest w cieniu, a to wielki plus w tym upale.

Z Donna w charakterze przewodnika, ruszyliśmy do wyjścia.

- Kto by pomyślał, że na świecie może być tak jasno - powiedziała, wkładając czarne okulary przeciwsłoneczne à la Jackie Onassis. Pasowały do niej doskonale. Ubrana w T-shirt w niebieskie paski i szarą spódniczkę, wyglądała jak olśniewająca gwiazda filmowa z lat sześćdziesiątych.

- Pasują do ciebie - powiedziałem do Donny, wkładając własne okulary.

- Dzięki. Kupiłam je na wakacjach w zeszłym roku. To moja ulubiona rzecz. Uwielbiam je. - Przyjrzała mi się uważnie, tak że widziałem tylko swoje odbicie w jej okularach. - A tobie pasują twoje. Wyglądasz, jakbyś grał w kapeli.

Przeszliśmy kilka kroków w milczeniu, a potem Donna powiedziała:

- Więc mieszkasz w Hove, jak twój przyjaciel Andy?

- W zasadzie w Brighton - zażartowałem. - A ty?

- Północny Londyn. A dokładnie Archway.

- Znam Archway - powiedziałem. - Miałem kiedyś kumpla, który tam mieszkał. Jego mieszkanie znajdowało się na skraju naprawdę paskudnego osiedla domów komunalnych.

- Henmarsh?

- Tak. Chyba tak.

Donna wybuchnęła śmiechem.

- Tam właśnie mieszkam.

- Cały ja - skrzywiłem się. - Cud, że nie zacząłem jeszcze obrażać członków twojej rodziny.

- Nic nie szkodzi - odparła Donna. - To naprawdę jest paskudne osiedle. Ale Sadie i ja nie będziemy tam mieszkać wiecznie.

- Sadie? - zapytałem.

- Moja córka.

Kiedy dotarliśmy do stolików przed kawiarnią, kilkoro dzieci za nami wjechało rowerami w wielkie stado gołębi, które wzbily się w powietrze. Donna schyliła się ku mnie, a ja odruchowo objąłem ją, żeby ją chronić.

- Przepraszam cię - powiedziała, kiedy zdała sobie sprawę, że trzyma się kurczowo mojej koszulki. - Nie cierpię gołębi. Nie znoszę ich. Mój najgorszy koszmar to, że jedno z tych obrzydliwych stworzeń wplątuje łapy w moje włosy.

- Ja w zasadzie nic nie mam przeciwko gołębiom - odrzekłem - chociaż muszę przyznać, że się wkurzam, kiedy widzę, jak podskakują takie bez jednej nóżki. Czy to znaczy, że jestem złym człowiekiem?

- Nie - Donna się uśmiechnęła. - Przynajmniej moim zdaniem.

Usiedliśmy, a ja sięgnąłem po plastikowe menu, wciśnięte pomiędzy cukiernicę a serwetnik, i podałem je Donnie.

- Chcesz tylko coś przegryźć czy zjeść normalny posiłek? - zapytała.

- Jest za gorąco na normalny posiłek - odpowiedziałem.

- Chciałem tylko coś wrzucić na pusty żołądek.

- No to ja zjem gofry i lody. - Podała mi menu. - Zapowiadają się kusząco.

Przejrzałem kartę.

- No to ja też to wezmę. I chyba colę dla przepłukania gardła.

- Świetny pomysł. - Donna zdjęła okulary i położyła je na brzegu stolika.

- Normalna czy dietetyczna?

- Normalna. A ty?

Donna się uśmiechnęła.

- Normalna jak najbardziej.

Kelnerka pojawiła się niemal natychmiast, kiedy tylko odstawiłem menu na miejsce, i przyjęła od nas zamówienie. Po jej odejściu Donna odwróciła się do mnie i wskazała mój T-shirt.

- A więc lubisz Pixies? Widziałam ich kiedyś w Brixton Academy, jak miałam osiemnaście lat.

- Dobrzy byli?

- Cudowni. A ty ich widziałeś?

- Kiedyś w Brighton, jak byłem w college'u. Podobali mi się, ale nie nazwałbym siebie zagorzałym fanem. Lubię ten T-shirt najbardziej ze wszystkich. Taka deklaracja wydaje się szaleństwem, nie sądzisz? „Death to the Pixies”. Po co komu zabijać chochliki?

- Może to coś jak moja obsesja na punkcie gołębi. - Donna się uśmiechnęła. - Może gdzieś na świecie chodzi kobieta w wielkich czarnych okularach, opętana strachem, że jakiś chochlik wplącze się jej we włosy.

W rozmowie zapadła cisza, kiedy przyglądaliśmy się dzieciom na rowkach, nadal prześladowującym gołębie, które przegrupowały się i dreptały teraz wokół schodów katedry.

- W jaki sposób zarabiasz na życie? - zapytałem w końcu.

- Jestem pielęgniarką pediatryczną w szpitalu Whittington - powiedziała. - Pracuję tam już niemal od dziesięciu lat i nadal tę pracę kocham. Wolałabym tylko, żeby lepiej mi płacili, tak żebym mogła wyprowadzić się z Henmarsh. A ty?

- Postaraj się nie ziewać. Przygotowuję plany, które mają pomagać firmom budowlanym i innym uruchamiać działalność w zaniedbanych rejonach wokół Brighton i Hove. To robota w pewnym sensie bezproblemowa i ludzie, z którymi pracuję, są w porządku, więc nie ma o czym gadać.

Wróciła kelnerka z naszymi napojami i postawiła je przed nami. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo chce mi się pić, i musiałem się powstrzymać, żeby nie pochłonąć od razu całej zawartości szklanki, głośno przelękając. Donna tymczasem sączyła colę przez słomkę w powolny, przemyślany sposób, jakby rozkoszowała się smakiem każdej kropli.

- Mogę cię o coś zapytać? - Odstawiła szklankę.

- To zależy, o co.

- O twojego przyjaciela Andy'ego - zaczęła. - On ma dziewczynę, prawda? Przyglądałem się jej twarzy, próbując odgadnąć, czy ona to rzeczywiście wie, czy próbuje mnie podpuścić, żebym potwierdził jej obawy, ale nagle zdałem sobie sprawę, że nie obchodzi mnie powód, dla którego zadała to pytanie.

- Owszem, ma - kiwnąłem głową.

- Tak myślałam.

- A twoja siostra wie?

- Za każdym razem, kiedy ją o to pytam, udziela wymijających odpowiedzi, co w naszej rodzinie jest jednoznaczne z przyznaniem się do winy. Ciągłe mi powtarza, że to tylko wakacyjny romans. Jakby to wszystko usprawiedliwiało. - Zmarszczyła czoło i zagryzła wargę. - A nie usprawiedliwia, prawda?

- Trudno powiedzieć. - Wzruszyłem ramionami. - To jak w tym powiedzeniu, które zawsze powtarzają Amerykanie, kiedy jadą do Las Vegas wielką grupą. „Cokolwiek dzieje się w Las Vegas, zostaje w Las Vegas” czy jakoś tak. Dla Brytyjczyków Malia to takie Las Vegas. Tutaj ludziom trochę odbija, tylko dlatego, że mogą sobie na to pozwolić. Myślę, że to musi być coś wbudowanego w ludzki mózg, ta potrzeba, żeby czasami uciec od normalnych zasad.

- A więc z tobą i twoimi kumplami jest tak, że co się dzieje w Malii, zostaje w Malii? - zapytała Donna. - Czy powiesz partnerce Andy'ego, co zrobił?

Zastanawiałem się chwilę.

- To zostanie w Malii - odpowiedziałem.

Donna kiwnęła głową.

- I zgaduję, że w ramach rewanżu on nie opowie twojej partnerce o twoich poczynaniach?

- On nie ma komu opowiadać.

Informacja została zarejestrowana. Uniesienie brwi, zaciekawienie w oku, drobny ruch warg, a potem... wszystko zniknęło.

- Nie wyglądasz na singla - stwierdziła rzeczowo.
Musiałem się roześmiać.
 - A więc na kogo wyglądam?
 - Przypominasz mi partnerów moich londyńskich koleżanek. Dobrze ubrani i pieczołowicie dogładani.
Westchnąłem ciężko.
 - Cóż, niewiele czasu minęło, odkąd rzeczywiście tak było.
Donna się skrzywiła.
 - Teraz chyba moja kolej na gafę. Bardzo przepraszam. Posunęłam się trochę za daleko, prawda?
 - Nie, wszystko w porządku - odpowiedziałem. - To nie stało się wczoraj.
 - A więc o to chodzi w tych wakacjach?
 - To takie oczywiste?
 - Donna się uśmiechnęła.
 - Daj spokój, trzech trzydziestoparoletnich facetów w takim miejscu jak Malia? Jeśli to nie jest oczywiste, to chyba nic.
 - No dobrze, na początek mogę cię zapewnić, że to nie był mój pomysł.
 - Niech zgadnę - powiedziała Donna. - Andy'ego.
 - Trudno powiedzieć, kiedy ta myśl się zrodziła w jego głowie - przerwałem w pół zdania, bo kelnerka wróciła z naszymi goframi i lodami, a zanim je porzostawiała, minęło tyle czasu, że zdanie nie wydawało mi się już warte dokończenia.
- Ponieważ potok naszej rozmowy się przerwał, oboje wróciliśmy do swoich narożników i zabraliśmy się za deser w kulturalnym milczeniu. Chciałem dalej z nią rozmawiać. Nie chciałem tego kończyć. Uznałem, że najlepsze, co mogę zrobić, to rzucić się na głęboką wodę.
- Dobra - powiedziałem, kiedy Donna zapakowała do ust pierwszą łyżeczkę deseru. - Wiesz już, jak ja tu trafiłem, ale masz jeszcze do wyjaśnienia swój przypadek. W końcu masz... ile? - Twarz. Włosy. Ubranie.

Wyceniłbym ją na trzydzieści parę, ale zdecydowałem się wziąć ostrożną poprawkę - Pod trzydziestkę?

Donna uśmiechnęła się szeroko.

- Po trzydziestce, jakbyś sam nie wiedział.

- Po trzydziestce? - roześmiałem się. - A więc pasujesz do Malii tak samo jak ja. Nie powinnaś wyjeżdżać do Toskanii do wynajmowanej willi albo na nurkowanie na Malediwach albo przynajmniej cieszyć się życiem na Ibizie?

- Bardzo chętnie zrobiłabym tego lata każdą z tych rzeczy, które wymieniłeś, ale darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Nina i ja jesteśmy przyrodnimi siostrami i chociaż jest między nami dziewięć lat różnicy, jesteśmy sobie bardzo bliskie. No i miesiąc temu powiedziała mi, że wybiera się tutaj z przyjaciółkami i chce, żebym ja też pojechała. Z powodu pracy i Sadie nie widuję jej tak często, jak bym chciała, więc pomyślałam, czemu nie.

- A kto się teraz zajmuje twoją córeczką?

- Jej tata. Jest nauczycielem. Nie jesteśmy już razem. - Po chwili milczenia dodała: - To się zdarza, prawda?

- Tak, pewnie tak.

Oboje podnieśliśmy swoje łyżeczki i wróciliśmy do gofrów i lodów.

- Ile lat ma Sadie? - zapytałem po chwili, kiedy Donna odsunęła od siebie pusty talerzyk.

- W kwietniu skończyła sześć. - Sięgnęła do torby, wyjęła portfel a z niego zdjęcie paszportowe córeczki. - Też ma ciemne włosy, wielkie brązowe oczy i wielki uśmiech.

- Wygląda dokładnie jak ty - powiedziałem, wpatrując się w zdjęcie.

- Mnóstwo ludzi tak mówi. Ale ja tego nie widzę. A ty masz jakieś dzieci? Jej pytanie mnie zaskoczyło. Nagle zdałem sobie sprawę, że w odniesieniu

do osoby w moim wieku jest to pytanie uzasadnione, skoro większość moich rówieśników jest teraz ojcami albo przynajmniej myśli o tym, żeby ojcem zostać.

- Nie - odparłem.

- A były kiedyś na liście?

- Pewnie tak - odpowiedziałem. - Kiedyś na pewno.

Rozmawialiśmy z Donna ogólnie o wakacjach i sporo o swoim życiu codziennym, ale kelnerka wróciła sprzątać naczynia i poczułem, że nasz czas dobiega końca. Zapłaciliśmy na spółę rachunek, wsunęliśmy należność pod cukiernicę, wstaliśmy i przygotowaliśmy się do odejścia.

- Dziękuję - powiedziała Donna cicho. - To było naprawdę miłe popołudnie.

- Prawda? - odparłem. - Może się jeszcze zobaczymy w Malii? Andy mówił, że wszyscy wychodzą dzisiaj wieczorem, bo jutro wyjeżdżacie.

- Nina coś takiego wspominała. Ty i ten twój drugi przyjaciel zdecydowanie powinniście pójść, jeśli jesteście wolni.

- Świetnie - odrzekłem. - A więc mam nadzieję, że spotkamy się wieczorem.

Donna pomachała mi na pożegnanie i kiedy szła przez plac z powrotem do miasta, dzwony katedry zaczęły dzwonić, jeszcze raz wyplaszając w niebo gołębie, które przysiadły na dzwonnicy.

SZCZĘŚLIWA MINA

Kiedy Tom wrócił do hotelu, minęła właśnie osiemnasta trzydzieści. Wyszedł na balkon, gdzie siedziałem, a ja zaproponowałem mu jedną z dwóch pozostałych puszek heinekena, które wcześniej kupiłem. Chociaż zmęczony po całodziennym wędrowce, wyglądał radośnie, niemal beztrąsko. Przekazaliśmy sobie główne atrakcje dnia już bez wcześniejszego skrępowania. On znowu był Tomem, a ja znowu byłem sobą. I wszystko między nami wróciło do normalności.

- Czy okażę się impertynentem, jeśli zadam zasadnicze pytanie? - zapytał Tom.

- Które zasadnicze pytanie masz na myśli?

- To o ciebie i o Donnę - rzekł, uśmiechając się znacząco. - Myślisz, że dzisiaj wieczorem coś się wydarzy?

- Nie mam pojęcia - odparłem. - Nie mogę powiedzieć, że odbieram od niej jakieś pozytywne sygnały. No chyba że policzyć to, że zjadła ze mną gofry.

Tom wzruszył ramionami.

- No nie wykluczyłbym tego całkowicie. Kiedy jeszcze byłem singlem, znałem całe mnóstwo dziewcząt, które nawet ze mną nie rozmawiały, nie mówiąc o spożyciu gofrów w bezpośredniej bliskości.

- Widzisz - westchnąłem - ja z tym zawsze miałem problem, kiedy byłem singlem: skąd wiadomo, że one są zainteresowane?

- A co mówią dowody? - zapytał Tom.

- No cóż, oprócz wafli, powiedziała, że powinienem iść dzisiaj z jej siostrą i jej przyjaciółkami.

- I więcej dowodów nie potrzebujesz - orzekł Tom.

- Tak myślisz? Powiedziała też, żebym przyprowadził ciebie.

- Jeszcze lepiej. To ewidentny przypadek wykorzystania zasłony dymnej w postaci mojej osoby, dla ukrycia prawdziwego motywu - przerwał. - A swoją drogą, co Andy zorganizował na dzisiejszy wieczór?

- Nic przesadnego... no wiesz... kilka piw i dużo śmiechu. Powiedz, że pójdziesz.

- Nie mogę - odparł Tom, krzywiąc się. - Ten spacer naprawdę dał mi w kość. Szedłem na przedzie całej grupy tam i z powrotem. Dzisiaj wieczorem marzę tylko o tym, żeby wziąć prysznic, zadzwonić do Anne i do dzieci, a potem pójść spać. Zadzwoń tylko do Andy'ego i powiedz, że na pewno z nim dzisiaj idziesz. Jeśli będzie zbyt uciążliwy, nawet jak na twój gust, przynajmniej pogadasz sobie z Donna.

- Tak zrobię - sięgnąłem po telefon. Wybrałem numer Andy'ego, a on odebrał po trzech sygnałach. - To ja. Dzwonię tylko zapytać, co robisz dzisiaj wieczorem. Tom jest wykończony po wycieczce, więc idzie...

- Kapitalnie! - wrzasnął Andy na drugim końcu. Przez chwilę słuchałem, jak stłumionym głosem mówi do Niny: „Mój kumpel Charlie wychodzi dzisiaj z nami”.

- Zaczynamy w Club Tropicana - powiedział Andy, wracając na linię. - To knajpa w stylu lat osiemdziesiątych na deptaku, tuż za Pandemonium. Będziemy tam około dziewiątej trzydzieści. Co ty na to?

- Świetnie. Dziewiąta trzydzieści. Club Tropicana.

- Tenże sam - odparł radośnie. - Charlie?

- Tak?

- Postaraj się przybrać szczęśliwą minę, dobra?

- Szczęśliwą minę?

- No wiesz... Niech maruda dla odmiany weźmie sobie dzisiaj wolne. To ostatni wieczór dziewczyn w Malii. Chcą się dobrze bawić, a ja wolę mieć pewność, że wszystko jest gotowe.

- Gotowe do czego?
- Do tego, żebyś przeżył najlepszy wieczór w całym swoim życiu.

JAKI PLAN B?

Kiedy przechadzałem się po Club Tropicana za dwadzieścia dziesiąta, czułem w zasadzie pewność, że to nie będzie najlepszy wieczór mojego życia. Przede wszystkim, nie czułem się dobrze w swoim ubraniu. Chciałem włożyć to samo, co miałem tamtej nocy w Pandemonium (wypробowany i zgrany zestaw, który był niemal moim dyżurnym garniturem na wyjścia na miasto w Brighton), ale po całym tym czasie spędzonym w barze koszula śmierdziała papierosami. Mój zapasowy zestaw, beżowe spodnie i biała koszula we wzorki, nigdy wcześniej nie występowały razem i chociaż teoretycznie powinny zgrać się bez problemu, z jakiegoś powodu coś w nich nie pasowało. Po drugie, w drodze na deptak zastąpiły mi drogę dwie dziewczyny z Newcastle, które wyglądały na siedemnastki. Pierwsza ubawiła mnie setnie powitaniem „Ależ jesteś śliczny”, ale druga łypnęła pijacko na moją twarz i powiedziała: „Nie pij więcej, Tina, on ma co najmniej czterdziestkę”. Po trzecie, chociaż nie do końca byłem na bieżąco z kryteriami określającymi najlepszy wieczór życia, miałem pewność, że nie powinny mu towarzyszyć muzyka, na którą się składają megamiksy Jive Bunny.

Znalazłem Andy'ego i Ninę przy stoliku na zewnątrz w otoczeniu przyjaciółek Niny. Nigdzie jednak nie dostrzegłem Donny.

- Charlie!- Andy powitał mnie jak dawno zaginionego brata. - Co u ciebie, brachu? Chodź, siadaj i poznaj dziewczęta.

Po kolei zostałem przedstawiony koleżankom Niny: Stacey, Melisie, Hattie i Beth. Wszystkie wydawały się dość miłe, a niektóre były nawet niewiarygodnie atrakcyjne, ale żadna nie roznieciła we mnie nic takiego, co Donna

tamtej pierwszej nocy w Pandemonium - żadna z nich nie wyglądała, jakby miała co opowiadać.

- Myślałem, że jest was sześć? - zapytałem, siadając na krześle pomiędzy Andym a Melissą. - Kogo brakuje?

- Mojej siostry Donny - powiedziała Nina. - Chciała pobyć trochę sama, więc umówiliśmy się z nią koło północy w barze go-go.

- Nie mogłaś jej powiedzieć, że idziemy gdzieś indziej? - zapytał Andy.

- Dlaczego miałabyś to zrobić? - zapytałem ją z kolei.

- Andy myśli, że Donna go nie lubi - wyjaśniła Nina.

- Ale się myli.

- Jak mogę się mylić, skoro byłem przy tym, jak wzięła mnie wczoraj na bok i powiedziała mi w twarz: „Nie lubię cię”.

- Nie w tym rzecz, że ona cię nie lubi - ciągnęła Nina z werwą. - Po prostu troszczy się o swoją młodszą siostrę. Chce mieć pewność, że żaden starszy pan mnie nie zepsuje.

Andy wstał i zaczął zbierać zamówienia na drugą kolejkę. Ale ponieważ ja chciałem za wszelką cenę zrobić dobre wrażenie, powiedziałem, że stawiam. Potem ciągnęliśmy absurdalną sprzeczkę, zanim uzgodniliśmy kompromis: ja zapłacę, ale Andy pójdzie ze mną do baru i pomoże mi przynieść drinki do stolika. Była to doskonała interpretacja naszego układu „jak dobrze wypaść przed przedstawicielkami płci przeciwnej”, przeniesionego żywcem z czasów college'u. Lepsza byłaby tylko wtedy, gdyby Donna mogła ją zobaczyć.

- No i co myślisz o dziewczętach? - zapytał Andy, kiedy szliśmy do baru.

- Wydają się dość miłe.

- No cóż, przyjacielu, dzisiaj czeka cię wielkie szczęście. Ponieważ one jutro jadą do domu, mamy do czynienia z nieco bardziej imprezowym nastrojem niż zwykle. I jeśli chcesz mojej rady, myślę, że najlepszy wybór to

Hattie, wysoka blondynka w czarnej sukience. Nie miała rwania przez całe wczasy, więc dzisiaj może być chętna na jakąś akcję last minute. Jeśli nie Hattie, spróbuj Stacey, blond włosy, czerwony top, biała spódnica. Nina mówi, że Stacey rwie codziennie innego faceta, więc jeśli nie masz nic przeciwko temu, żeby być numerem siódmym, wal śmiało. Myślę, że może ci się nie udać z Melissą - ciemne włosy, biały top, biała spódnica, ponieważ ona ma chłopaka w Londynie, ale jeśli włączysz na najwyższy poziom dawny urok Mansella, to może ją przekonasz, żeby o nim zapomniała. No i jest jeszcze Beth - rude włosy, niebieska sukienka. Ona jest w zasadzie singielką, ale prawdę mówiąc, brachu, to boleśnie nie twoja liga. Mówię to tylko dlatego, że to również nie moja liga. Jeśli czujesz przypływ ambicji, to moim zdaniem ona może być warta próby, ale raczej marnowałbyś czas, który lepiej spędzisz, jeśli zaczarujesz Hattie, żeby wyskoczyła z majtek.

- O czym ty mówisz? - zapytałem, chociaż doskonale znałem odpowiedź.

- Wyszedłeś dzisiaj na miasto, żeby coś wyrwać, prawda? - zapytał Andy.

- Nie - odpowiedziałem, uznając, że nie ma sensu osłabiać siły argumentów mówieniem prawdy. - Wyszedłem, ponieważ dzisiejszy dzień, trzeci dzień wakacji, na które pojechaliśmy podobno ze względu na mnie, spędziłem sam, bo Tom poszedł na wycieczkę, a ty zadajesz się z Niną.

- No ale teraz jestem tutaj, prawda? I dziewczyny są też. Musisz tylko wstawić im kawałek starej gadki i będą twoje.

- Świetnie - powiedziałem, zerkając na nasz stolik w nadziei, że przyszła Donna. - Wezmę drinki, a ty... - urwałem, czując wibracje komórki w tylnej kieszeni. Wyciągnąłem ją i spojrzałem na wyświetlacz.

- To Lisa - powiedziałem, z miną winowajcy patrząc na Andy'ego.

- Dlaczego ona znowu do ciebie dzwoni? - zapytał, wpatrując się w mój telefon.

- Skąd mam wiedzieć? Chcesz, żebym odebrał, czy ma się nagrać?
- Odbierz - powiedział Andy szybko. - Pogadaj z nią. Dowiedz się, czego chce.
- Słuchaj - odparłem, gdy tymczasem telefon dalej dzwonił. - Myślałem o tym i naprawdę czuję się skrępowany, że jestem zaangażowany w tę sprawę pomiędzy tobą a Lisa.
- Wiem, wiem - powiedział niecierpliwie. - Słuchaj, zorganizowałem plan B, który wszystko rozwiąże, dobra? Tylko odbierz, i to będzie ostatnia rzecz, jaką musisz z nią zrobić, obiecuję.
- Co to znaczy, że masz plan B?
- Andy mrugnął okiem.
- Powiedziałbym ci, ale chyba wolę zobaczyć wyraz twojej twarzy, kiedy zobaczysz moje mistrzowskie posunięcie. A teraz tylko odbierz i pogadaj z nią, ile trzeba, dobra?
- Dobra - odparłem. - Ale ty musisz kupić drinki.

TO NIE JEST MALIA

- Lisa - powiedziałem rześko do telefonu, patrząc na zgraje nocnych imprezowiczów kłębiące się na ulicy pod Club Tropicana. - Co u ciebie?
- Gdzie ty jesteś? - zapytała szybko. - Straszny tam hałas.
- Przed knajpą - odparłem. - Wszędzie tu dzikie tłumy, więc...
- Andy jest z tobą? - przerwała.
- Jest w środku, kupuje drinki - odparłem. - Słuchaj, Liso, po co te wszystkie pytania? Nic ci nie jest? Coś się stało?
- Bardzo cię przepraszam, Charlie.
- Ale za co?
- Wbiłam sobie do głowy, że coś przede mną ukrywasz. Nie ukrywasz, prawda?
- A dlaczego myślisz, że tak jest? - zapytałem, wykręcając się od odpowiedzi.
- W zasadzie nie wiem. Tylko że nie zgadza się pewien szczegół. Pamiętasz tego SMS-a, którego mi wczoraj wysłałeś? Napisałeś, że ty, Tom i Andy siedzieliście cały dzień na plaży, prawda?
- Tak, napisałem.
- No i jesteś tego pewien?
- Oczywiście. - Nagle przerwałem, mobilizując wszystkie swoje talenty aktorskie. - Cóż... w zasadzie... jak tak o tym myślę... w zasadzie więcej czasu spędziliśmy na basenie, bo byliśmy zbyt wykończeni, żeby gdzieś chodzić, ale potem poszliśmy na plażę, trochę później, jak już odzyskaliśmy siły. Ale wiesz, jak to jest na wakacjach, wszystko się zlewa.
- Masz rację. - Wyraźnie słyszałem wielką ulgę w głosie Lisy. Poczulem się jak ostatnie bydło. - Masz absolutną rację. - Zamilkła na chwilkę. - Naprawdę

bardzo cię przepraszam, Charlie. Powinnam dać ci spokój. Czuję się, jakbym świadomie psuła ci wakacje.

- Nie musisz kończyć - zapewniłem szybko. Pod wpływem jej poczucia winy moje własne rosło w sposób niepohamowany. - Nie sędzę, żeby mnie omijały jakieś szczególne atrakcje. Teraz chyba grają Tears for Fears.

- Dobra - roześmiała się Lisa. - Pomijając chwilowo Tears for Fears, jak ci minął dzień?

- Jak mi minął dzień? Nieźle... muszę przyznać. Nic specjalnego. Zaczął się do dupy, ale potem...

- Dlaczego zaczął się do dupy? Andy nie zwracał ci za bardzo głowy, prawda?

- Nie - odparłem. - To nie Andy... Po prostu... no, wczoraj usłyszałem niedobre wieści i kiedy się obudziłem, od razu zacząłem o tym rozmyślać...

- To Sara, tak? - zapytała Lisa ze szczerym współczuciem w głosie. - W końcu ci powiedziała?

- Co miała mi powiedzieć?

Zapadła długa cisza. Czulem, jak Lisa panikuje na drugim końcu linii.

- Nic... nic takiego... - wydukała. - Myślałam... słuchaj, to nieważne.

- Co wiesz o Sarze, czego mi nie mówisz? - zapytałem stanowczo. - Wysłała mi SMS-a w niedzielę, ale nie odpowiedziałem. Ty wiesz, co ona chce mi powiedzieć, prawda?

- Proszę, Charlie, nie zmuszaj mnie, żebym dalej mówiła. Błagam. I tak już powiedziałam za dużo. To są takie rzeczy, że musisz je usłyszeć bezpośrednio od niej, nie ode mnie. Zadzwoń do niej, na pewno wszystko ci powie.

- Ty mi powiedz, Liso - warknąłem. - Cokolwiek to jest, nie będę winił ciebie, jasne? To вина Sary. Nie twoja. Więc powiedz mi, czego ona chce, i po sprawie.

- Nie mogę - odparła.

- Po prostu mi powiedz.
- Nie mogę - powtórzyła.
- Słuchaj, nie poddam się, dopóki nie powiesz.
- Ona jest w ciąży - rzuciła w końcu. - Sara jest w ciąży.

Zapadła długa cisza.

- Tak mi przykro, Charlie.

Cisza.

- Charlie, musisz mi wybaczyć. Nie powinieneś był dowiedzieć się tego ode mnie.

Cisza.

- Przykro mi.

- Wierzę ci - rzuciłem łagodnie, a potem bez pożegnania wyłączyłem telefon.

Dzień czwarty: Czwartek

POCZTA GŁOSOWA

Właśnie minęła północ. Siedziałem sam w McDonaldsie na skrzyżowaniu, patrząc przez okno na deptak. Przede mną stała zimna kawa (moja) i resztki zestawu Big Mac (czyjeś).

Wyciągnąłem telefon z tylnej kieszeni spodni i włączyłem go. Po kilku sekundach zapikał jak szalony, informując mnie o kilku wiadomościach głosowych. Wybrałem numer skrzynki i odsłuchałem wiadomości.

Pierwsza nowa wiadomość: *Charlie, tu Lisa. Gdzie jesteś? Przykro mi, że tak się stało. Oddzwoń, proszę, i daj mi znać, że nic ci nie jest.*

Druga nowa wiadomość: *Charlie, tu Andy. Jest prawie wpół do jedenastej. Gdzie ty jesteś? Wiem, że kazałem ci gadać z Lisą, ile trzeba, ale to się robi absurdalne. Wracaj szybko. Hattie jest toba bardzo zainteresowana.*

Trzecia nowa wiadomość: *Charlie, tu znowu Andy. Jest wpół do dwunastej. Stchórzyłeś przede mną i wróciłeś do hotelu, tak? To przez Hattie? No tu ci przepadło. Zarwała jakiegoś Szkota z mnóstwem tatuaży. Wróć tylko, dobra? Noc jeszcze młoda i nawet Beth - ta, co mówiłem, że nie masz z nią szans - wygląda na trochę zdesperowaną. Za chwilę wychodzimy do baru go-go, więc wracaj żywawo.*

Czwarta nowa wiadomość: *Charlie, bez względu na to, o której godzinie odsłuchasz tę wiadomość, zadzwoń do mnie, proszę, i daj*

mi znać, czy nic ci nie jest. Próbowałam dzwonić do Andyego, ale ma wyłączoną komórkę. Zaczynam się martwić, że stało się coś złego. Zadzwoń, proszę.

Odłożyłem telefon na stół i przez chwilę patrzyłem przez okno, przed siebie. Ulicą przechodziła właśnie wielka banda chłopaków w koszulkach Newcastle United, śpiewając na całe gardło. Westchnąłem ciężko, podniosłem telefon i napisałem SMS-a do Lisy:

Charlie: *Cześć, nie martw się, nic mi nie jest.*

Kiedy wyłączyłem telefon i spojrzałem znowu przez okno, uderzyła we mnie wielka fala emocji, grożąc mi całkowitym zatopieniem. Serce zaczęło mi łomotać jak szalone, łzy napłynęły do oczu i poczułem się, jakby jakaś siła powoli miażdżyła moje organy wewnętrzne.

Intensywność mojej reakcji zaskoczyła mnie samego. Nie pojmowałem, co to znaczy ani dlaczego tak się dzieje. Nawet zaraz po tym, jak Sara mnie opuściła, byłem bardziej zły niż rozbity. Bardziej mnie interesował odwet niż jakakolwiek reakcja emocjonalna. Niemal się pocieszałem tym, że Sara nie przycisnęła po prostu guzika. Mogła mnie przygnębić, ale to nie ona otworzyła wrota słuzy. I choćby tylko za to, wtedy przynajmniej, byłem wdzięczny, ponieważ dzięki temu czułem się, jakbym był nadludzki. Odeszła i przy okazji zrujnowała mi życie, a ja nic nie poczułem. Byłem kuloodporny. Niezwyciężony. Byłem Supermanem. Ale kiedy otarłem łzy w zatłoczonym McDonald'sie, zdałem sobie sprawę, że nawet Superman miał swój kryptonit, a dzięki Lisie ja teraz odkryłem swój.

Wyrzuciłem swoją zimną kawę do pojemnika przy wejściu i wyszedłem na ulicę z takim skutkiem, że niemal uderzyłem w kogoś zdążającego w drugą stronę.

Dopiero kiedy podniosłem głowę, żeby przeprosić, zdałem sobie sprawę, że osobą stojącą przede mną jest Donna. Była ubrana w białą bluzkę i spódnicę,

i także sandały. Włosy miała związane w koński ogon.

- Charlie - powiedziała zdumiona. - Zmyliłeś drogę do baru go-go czy ja coś pomyliłam?

- Nie idę - odparłem.

- Nic ci nie jest? - zapytała, jakby miała szósty zmysł do strapionych dusz. - Coś się stało?

- Po prostu nie mam nastroju na imprezy.

- Nie ty jeden - powiedziała Donna. - Ja tęsknię za Sadie jak szalona i na dodatek mam po dziurki w nosie tego miejsca. - Przerwała i spojrzała na mnie, jakby chciała odczytać moje myśli. - Chciałam tylko się pokazać w barze go-go, żeby Nina przestała marudzić, że jestem ponurak - zaczęła. - A ty dlaczego nie idziesz? Nie zostalibyśmy długo, a gdybyś poszedł, miałabym przynajmniej miłego partnera do rozmowy.

- Dzięki - westchnąłem. - Ale...

- Jesteś pewien?

- Tak.

Donna kiwnęła powoli głową. Jeśli czuła się urażona moim mrukliwym zachowaniem, to dobrze to ukrywała.

- No dobra, ja chyba i tak tam wpadnę. - I już. To było pożegnanie. - Cóż, w każdym razie fajnie, że się poznaliśmy.

- Tak - odparłem. Chciałbym powiedzieć coś, dzięki czemu by została. - Mnie również było miło. Mam nadzieję, że wszystko wam się uda, tobie i Sadie, w północnym Londynie.

- Dbaj o siebie, Charlie. - Wychyliła się i pocałowała mnie w policzek. - I dopilnuj, żebyś miał wspaniałe życie. - Odwróciła się i odeszła w kierunku baru go-go. Przez kilka minut stałem wrośnięty w ziemię, niepewien, co mam zrobić. W tym właśnie momencie zdałem sobie sprawę, że nie mogę jej pozwolić tak odejść, nie wyjaśniając swojego zachowania. Pobiegłem za nią, wołając ją, a ona zatrzymała się i odwróciła.

- Posłuchaj, Donna - powiedziałem, niezdolny oderwać od niej oczu. -

Przepraszam za to, co się stało przed chwilą. Wiem, że to żadna wymówka, ale właśnie dowiedziałem się czegoś niedobrego, od czego cały mój świat stanął na głowie.

- To dotyczy twojej bylejk?

- To takie oczywiste?

Donna uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Może chcesz o tym pogadać?

- Nie wiem - odparłem. - A chcesz posłuchać?

- A może się wymienimy opowieściami? - zaproponowała z uśmiechem.

- Ten pomysł - zacząłem, a ona wzięła mnie za rękę - to już w ogóle jest świetny.

ORZEŁ CZY RESZKA?

Na sugestię Donny zawróciliśmy na deptak, w kierunku wszystkich głównych barów i klubów, ale kiedy minęliśmy klub Camelot, skręciliśmy w prawo w lekko pochyłą uliczkę, której nie zauważyłem w czasie poprzednich wizyt. Na początku mijaliśmy głównie knajpy fastfoodowe i salony gier automatycznych, ale w głębi, w miarę jak szliśmy, te przybytki stopniowo znikły, zastępowane przez małe sklepy spożywcze i piekarnie. Pod koniec ulicy, naprzeciwko postoju taksówek, znajdował się niewielki bar o nazwie Mythos. W środku od razu stawało się oczywiste, że Mythos nie zaspokaja potrzeb turystycznej gawiedzi: wystrój kojarzył się z tradycyjną tawerną, w tle grała grecka muzyka, a bar świecił pustkami - siedziało tam tylko kilku tubylców w średnim wieku.

Donna i ja usiedliśmy przy stoliku nieopodal drzwi, a kiedy podszedł do nas kelner, zamówiliśmy dwa piwa i dostaliśmy je natychmiast.

- Jak znalazłaś to miejsce? - zapytałem.

- W czasie swoich podróży - odpowiedziała. - Pewnego popołudnia, kiedy wszystkie dziewczyny poszły na plażę, wybrałam się na spacer. Najpierw zobaczyłam sąsiednią piekarnię i kupiłam kilka ciastek, a potem dostrzegłam tę knajpkę. Wydawała mi się po prostu naprawdę miła i spokojna, więc ilekroć tylko mogłam się wymknąć choćby na chwilę, wskakiwałam tu na drinka i żeby napisać kartkę do Sadie.

- Napisałaś więcej niż jedną?

- Dwie dziennie każdego dnia pobytu tutaj - roześmiała się. - Mówiłam, że za nią tęsknię.

Zapadła długa cisza.

- Orzeł czy reszka? - zapytała w końcu Donna.

- To znaczy?

Donna się roześmiała.

- Pomyślałam, że może będzie łatwiej, jeśli ustalimy, kto mówi pierwszy.

- Jeśli orzeł, ty zaczynasz - odparłem.

- Dobra - powiedziała Donna, podając mi monetę o nominale jednego euro. - Ale ty musisz rzucać, bo ja kompletnie nie umiem jej tak pstryknąć.

Podrzuciłem monetę i chwyciłem ją po chwili w powietrzu, zaciskając w dłoni. Patrzyliśmy wyczekująco na moją zaciśniętą pięść. Otworzyłem dłoń i Donna się roześmiała, najwyraźniej zadowolona z wyniku.

- No to zaczynaj.

- Świetnie - odparłem - ale zatrzymam monetę.

Wziąłem więc solidny łyk piwa i opowiedziałem Donnie wszystko o rozstaniu z Sarą, począwszy od dnia jej odejścia, a skończywszy na telefonie Lisy sprzed kilku godzin.

- Nic dziwnego, że wyglądałaś jak ogłupiały, kiedy na ciebie wpadłam - powiedziała Donna. - Dziwię się, że w ogóle się trzymasz po takich przejściach.

- Może to dlatego - odparłem - że nie zauważyłem, jak zbliża się zabójczy cios.

- Nic dziwnego, że nie zauważyłeś, Charlie. Myślę, że takie rzeczy po prostu się zdarzają. Najważniejsze jest to, co zrobisz teraz.

- Teraz to ja nie mam już co robić. Już po wszystkim, wszystko skończone.

- A co z dzieckiem?

- Nie jest moje. To jego dziecko. Olivera. - Dostrzegłem w spojrzeniu Donny, że ciekawa jest, skąd czerpię pewność. - Nie dotykaliśmy się od miesięcy - wyjaśniłem. - Myślałem, że to taka faza, ale nigdy nie mieliśmy jej zakończyć.

ZA NIC W ŚWIECIE

- Przez długi czas po odejściu ojca Sadie chciałam się zabić - powiedziała Donna.

- Żartujesz?

Pokręciła głową.

- Chciałabym.

- Ale nic sobie nie zrobiłaś?

- Nie - odparła, wpatrując się w moją twarz w oczekiwaniu na reakcję. - Chyba po prostu nie byłam w stanie normalnie myśleć i tyle. Lekarz przepisał mi antydepresanty i nie radziłam sobie. - Przerwała i spojrzała na mnie.

- Uważasz mnie za dziwaczkę?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Chyba nie myślałam o tym poważnie - ciągnęła. - Wiem, że za nic w świecie nie zostawiłabym Sadie z własnej woli. Ale po jego odejściu czasami nie wiedziałam, jak przetrwać następną minutę, a co dopiero dzień. Tęskniłam za Edem tak bardzo, że nie wiedziałam, jak sobie z tym poradzić. W końcu moi rodzice musieli przyjechać i zostać ze mną, żeby pomóc mi przy Sadie. Ed odszedł, ponieważ jak mówił, nie radził sobie z poczuciem uwiązania. Powiedział, że chce od niego więcej, niż on ma do zaoferowania, i że potrzebuje miejsca dla siebie. - Przerwała i wybuchnęła śmiechem. - W zasadzie powiedział mnóstwo rzeczy. Ale żadna z nich nie miała sensu. - Upiła piwa. - Minęły dwa lata, odkąd to się stało, i teraz jestem z nim w dobrych stosunkach, bardziej ze względu na Sadie niż na siebie. Gdybym nie sądziła, że ona będzie miała mi to za złe, nigdy już nie miałabym z nim nic wspólnego.

Teraz jest w porządku, jak już poradził sobie z kryzysem dorastania, poznał nową dziewczynę i w końcu przykłada się trochę do ojcostwa. Ale po prostu nie umiem znaleźć w sercu wybaczenia za to, co zrobił. Złamał mi serce, Charlie. Roztrzaskał je na kawałki i myślałam, że nigdy się z tego nie podniosę.

JAK SOBIE RADZĘ

- Podaj jedną rzecz, która najbardziej ci dokucza po odejściu Sary - poprosiła Donna.

- Tylko jedną? To że nie ma jej w pobliżu - odpowiedziałem. - Dopóki nie odeszła, chyba nigdy sobie nie uświadamiałem, ile miejsca zajmuje w moim życiu.

Donna kiwnęła głową.

- Nikt ci nigdy nie powiedział, jakim samotnym miejscem jest świat, kiedy przechodzisz od życia w parze do życia w pojedynkę? Ja sobie z tym poradziłam chyba tylko dzięki Sadie, którą musiałam się zajmować.

- A ja sobie radzę chyba dzięki Andy'emu i Tomowi - wyznałem, unikając spojrzenia Donny. - Nawet nie w tym rzecz, że coś mówią albo robią coś specjalnego, odkąd się rozstałem z Sarą. Tomowi o jej odejściu powiedziałem dopiero, jak przyjechał do mojego mieszkania dzień przed wyjazdem tutaj.

- A więc co oni ci dają? - zapytała Donna. - Jak ci pomagali poradzić sobie, kiedy Sara odeszła?

Namyślałem się chwilę.

- Dają mi poczucie, że mam swoje miejsce - odparłem w końcu. - I chyba niczego więcej nie potrzebuję.

POŚRODKU

- Jak sądzisz, co będziesz robił za rok? - zapytała Donna.

- A cóż to za pytanie?

- Takie, które zawsze zadają. - Uśmiechnęła się. - Nieustannie myślę o przyszłości. Pewnie nawet więcej niż o chwili obecnej. Nigdy taka nie byłam. To pewnie jest związane z posiadaniem dziecka, bo wtedy masz zawsze plany do przodu - pory posiłków, ubranie, wszystko. Teraz uwielbiam myśleć o przyszłości, ponieważ to miejsce, w którym wszystko może się zdarzyć, z nim tam przybędziesz.

- Ja sporo myślałem o przyszłości, kiedy byłem w college'u - odparłem. - Ale w tym wieku wszyscy to robią, prawda? Człowiek nieustannie ma poczucie, że przed nim jeszcze całe życie.

- A teraz?

- Teraz jestem pośrodku. Tu, teraz, to jest życie i na ogół mam na bieżąco tyle problemów do rozwiązania, że nie mam czasu myśleć o czymś innym. - Przerwałem i roześmiałem się.

- Mówię jak fatalista.

- To dlatego, że za bardzo ugrzęzłeś w codziennych problemach.

- Dobra - odrzekłem. - No więc przy całym tym twoim myśleniu o przyszłości, jak sądzisz, co będziesz robiła za rok?

- Będę gdzieś poza Londynem. Nie wiem, gdzie dokładnie. Może gdzieś na wsi albo nad morzem. Kilka lat temu moi rodzice przeprowadzili się do Aberdovey w Walii. Mają z domu tylko pięć minut do morza i jest tam absolutnie precudownie. Sadie i ja staramy się ich odwiedzać przynajmniej raz

w miesiącu i za każdym razem czujemy się jak na wakacjach. Tam właśnie chciałabym być, gdybyśmy mogły sobie na to pozwolić.

- A co z przyszłorocznymi wakacjami? - zapytałem chytrze. - Jest jakaś szansa, że wrócisz tu z Sadie?

- Możesz się śmiać, ale jej by się tu podobało - powiedziała Donna. - Opowiadałaby wszystkim swoim przyjaciółkom, jaka jest wyrobiona.

- No więc gdzie?

- Wiesz co? Tak daleko jeszcze nie myślałam. Ale gdybym musiała odpowiedzieć, chętnie pojechałabym na wakacje gdziekolwiek. Naprawdę gdziekolwiek.

CHODŹMY

- Późno już - powiedziała Donna, zerkając na zegarek.

- Chcesz iść?

- Chodźmy - kiwnęła głową. - Ale nie do domu.

- Do innej knajpy?

Donna pokręciła głową.

- Skończyłam z knajpami.

- No to może na plażę?

Jej twarz się rozjaśniła.

- Zdecydowanie. Myślę, że to jedyna rzecz, za którą będę tęsknić, kiedy już wyjadę. - Wstała, dopiła resztkę piwa i wzięła mnie za rękę.

- Chodźmy.

NAS DWOJE

Minęła druga nad ranem, kiedy Donna i ja ruszyliśmy przez zatłoczony deptak w kierunku plaży, podczas gdy wszyscy inni szli w przeciwną stronę. Fajnie było tak sobie iść pod prąd. Jakbyśmy byli sami przeciwko światu, tylko nas dwoje. Każdy krok, który stawialiśmy w stronę celu, wiązał nas silniej, tak jak każdy krok, który stawiał tłum, zdawał się odpychać go dalej.

- Ci faceci naprawdę myślą, że podobają się takim laskom? - zapytała Donna, kiedy z ubawieniem patrzyliśmy, jak dziewczyna w ciasnej białej kamizelce i czerwonych błyszczących krótkich spodenkach zastępuje drogę chłopakom, którzy wyglądali, jakby dopiero co obchodzili osiemnaste urodziny.

- To nie są kompletni durnie - wyjaśniłem. - Oni chcą tylko wziąć udział w fantazji.

- Można by uznać, że przemawia przez ciebie doświadczenie.

- W każdym facecie czai się pryszczaty dojrzewający nastolatek, który myśli, że nigdy nie będzie miał dziewczyny.

- Nawet w tobie?

- Zwłaszcza we mnie.

Minęła nas grupa dziewcząt niosących fosforyzujące w ciemności pałeczki, a tuż za nimi podążał podobnej wielkości zestaw chłopców, bardziej skandując niż śpiewając *Happy Birthday*.

- A czy ty byłaś kiedyś taka? - zapytałem, kiedy jedna z dziewcząt z pałeczkami nagle odwróciła się i zadarła przed chłopcami spódniczkę.

- Wolałabym nie mówić.

- Więc byłaś już kiedyś na takich wakacjach?
- Pytasz, czy byłam na maksjarskich, dziewczynskich, imprezowych wakacjach w modnym ośrodku wczasowym?

Kiwnąłem głową.

- Kilka razy - odparła Donna kokieteryjnie. - Ostatni raz chyba siedem lat temu. Pojechałam z kilkoma dziewczynami ze szkoły pielęgniarstwa na Fuerteventura. Imprezowałyśmy tak mocno, że oczywiście wszystkie wróciłyśmy z objawami grypy fuertaventurianskiej: skrajne wycieńczenie wywołane wyczerpującym stylem życia przez czternaście dni bez wytchnienia. Dopiero po sześciu miesiącach poczułam się z powrotem prawie normalnie, a dopiero po roku na widok Mai-Tai nie zbierało mi się na wymioty. Wszystkie moje koleżanki pojechały tam rok później. Ja też bym z nimi pojechała, ale tymczasem zesłam się z Edem i razem pojechalibyśmy na Sardinie.

- A to były dobre wakacje?

Donna wzruszyła ramionami.

- Chyba tak. Byliśmy młodzi i zakochani i oboje po raz pierwszy pojechalibyśmy na wczasy w parze. Kiedy moje koleżanki wróciły z Fuerteventura i wysłuchałam opowieści o wszystkich ich wyczynach, pamiętam, że poczułam się, jakby ominęło mnie coś szczególnego. Ale kiedy znowu pojechały wszystkie po roku, już w ogóle nie żałowałam. Raczej poczułam, że wszystko już było.

- Ja poznałem Sarę dziesięć lat temu tutaj w Malii na męskich wakacjach z Andym i Tomem - wyznałem.

- Wakacyjny romans? W życiu by mi nie przyszło do głowy. Pewnie dlatego, że mnie samej nigdy się nie zdarzył wakacyjny romans.

- Nawet jak byłaś na Fuerteventura? - zapytałem zaskoczony.

- Nawet jak byłam w Newquay z rodzicami, kiedy miałam piętnaście lat - odparła. - Nie wiem... Chyba zawsze myślałam, że to trochę strata czasu.

Wszystkie moje koleżanki zawsze je przeżywały i to nigdy się nie udawało. Ogarniało ich potężne pożądanie na punkcie jakiegoś chłopaka, a kilka tygodni później, kiedy wracały do domu, a on nie dzwonił, miały złamane serca. - Donna przerwała i uśmiechnęła się. - Ale w twoim wypadku się udało. Musisz być jednym z tych dobrych, dzięki którym marzenia się spełniają.

Donna zamilkła, kiedy wróciliśmy do skrzyżowania przy McDonald'sie. Ulicą przejeżdżało sporo samochodów i nie było luki, przez którą moglibyśmy przejść na drugą stronę. Kiedy czekaliśmy, Donna ścisnęła moją rękę i uśmiechnęła się. Między nami rosła bliskość. I nie wydawała się wymuszona ani nawet zalotna. Tylko naturalna. Jakby jedynym na świecie właściwym miejscem dla jej dłoni była moja dłoń.

TYPOWA WAGA

Kiedy mijaliśmy nocny spożywcza kilkadziesiąt metrów od plaży, Donna zaproponowała, żebyśmy weszli i kupili butelkę wina. Nie czekając na moją reakcję, wprowadziła mnie do jasno oświetlonego sklepu, gdzie przy kasie siedziała wpatrzona w przestrzeń kobieta w średnim wieku, ze smutną twarzą.

Prowadząc mnie do win, Donna zapytała, jaki gatunek kupić.

- Może czerwone w średniej cenie na początek i tanie na później - zasugerowałem, sięgając po merlota i tańszą butelkę rioja. Obie podsunąłem jej do aprobaty.

- Świetnie - powiedziała. - Nie znoszę wybierać wina. Gdybyś to zrzucił na mnie, siedzielibyśmy tu w nieskończoność, a potem przez całą noc myślałabym, że w głębi duszy nie podobał ci się mój wybór.

- A tak to ja mam się zamartwiać całą noc? - zażartowałem.

- Nie - odparła Donna, ściskając moją dłoń. - Myślę sobie, przyjacielu, że nawet gdybyś chciał, nie popełniłbyś żadnego błędu.

Do wina kupiliśmy czekoladę i chipsy Pringles, na wypadek gdybyśmy zgłodnieli, po czym opuściliśmy sklep z niebieską plastikową siatką pobrękującą zakupami. Już po paru minutach dotarliśmy do końca ulicy i podążaliśmy ścieżką na plażę.

Dziwne sprawiała wrażenie w środku nocy. Księżyc świecił jasno, a w jego blasku widziałem niewyraźne zarysy leżaków i parasoli zapakowanych za ogrodzeniem. Reszta plaży była całkowicie pusta.

- Myślisz, że powinnam zadzwonić do Niny i powiedzieć jej, gdzie jestem? - zapytała Donna.

- Zdecydowanie.

Zdjęła sandały i boso szła po piasku, aż znalazła się poza zasięgiem głosu, ale widoczna.

Nie wiem dlaczego, ale nagle też nabrałem chęci na rozmowę. Wyciągnąłem telefon i wybrałem numer Andy'ego.

- Charlie? - powiedział, odbierając telefon po sześciu czy siedmiu sygnałach. - Co się z tobą dzieje? Wyszedłeś pogadać z Lisą i nagle rozpląnąłeś się w powietrzu.

- To długa historia - odparłem.

- Związana z Lisą?

- Nie, z Sarą.

- O, rozumiem - rzekł Andy poważnie. - To złe wieści?

- Można tak powiedzieć.

Przez dłuższą chwilę trwała cisza.

- A gdzie teraz jesteś?

- Jestem z Donną na plaży.

- Z jaką Donną?

- Siostrą Niny.

Andy wybuchnął śmiechem.

- Ty szczwany lisie. Jak to się stało?

- Wpadłem na nią. Pogadaliśmy - Przerwałem na chwilę, rozkoszując się tym, że choć przez chwilę jestem zagadkowy. - No i to w zasadzie tyle.

- No nieważne zresztą - powiedział Andy. - Czy wy... ?

- Nie.

- Ale będziecie...?

- Nie.

- Jak to nie? O to chodzi, Charlie. To twoje pięć minut. Nie schrzań tego, niech pan Galantny się nie wtrąca, dobra?

Westchnąłem. Andy mnie wykańczył.

- Słuchaj - powiedziałem - zadzwoniłem tylko, żeby przeprosić, że cię tak zostawiłem. - Popatrzyłem z oddali na Donnę, a ona mi pomachała. - Zobaczmy się później, dobra?

- Tak - odpowiedział Andy, chichocząc. - Zobaczmy się później. I oczekuję wyczerpujących relacji.

Wcisnąłem guzik z czerwoną słuchawką i wsunąłem telefon do tylnej kieszeni dżinsów, właśnie kiedy Donna przywołała mnie gestem.

- Chyba właśnie śmiertelnie przestraszyłam swoją siostrę - oznajmiła radośnie, chwytając mnie za rękę. - Nie może uwierzyć, że tak sobie z tobą poszłam. To takie zabawne. Normalnie to ja ją powstrzymuję przed robieniem głupich rzeczy.

- Ja zadzwoniłem do Andy'ego i też go przestraszyłem. A to chyba dobrze.

- Mam dla ciebie dobre wieści - powiedziała. - Pewnie się ucieszysz, że Beth, przyjaciółka mojej siostry, najwyraźniej na zabój się w tobie zakochała.

- Zanotuję to sobie na później - obiecałem ze śmiechem.

Ręka w rękę szliśmy przez plażę, aż znaleźliśmy się dwadzieścia metrów od wody.

- Może tu? - zaproponowała Donna. - Widać stąd wodę, a nie grozi nam, że fale nas przemoczą do suchej nitki.

Usiedliśmy po turecku na piasku, a ja przystąpiłem do otwierania droższego wina metodą wepchnięcia korka do butelki za pomocą kluczy do pokoju.

- Myślę, że powinnaś spróbować pierwsza - powiedziałem, podając jej butelkę. - Możesz mi powiedzieć, czy ci smakuje.

Donna wzięła długi haust i przełknęła.

- Moim zdaniem smakuje nieźle, zobacz, czy tobie odpowiada. - Oddała mi butelkę, a ja przyłożyłem ją do ust i upiłem.

- Mnie też smakuje - odparłem.

Przez kilka minut siedzieliśmy w hipnotycznym milczeniu, ukołysani przez fale rozbijające się o brzeg. Ja chętnie trwałbym w tym stanie o wiele dłużej, ale Donna musiała poczuć się skrępowana, ponieważ ot tak, bez powodu zapytała, kiedy mam urodziny.

- Słucham?

- Urodziny - powtórzyła. - Kiedy masz?

- Chyba nie chcesz mnie zapytać o znak zodiaku, prawda? - zapytałam czujnie.

- Ale seksistowski tekst. Nie wszystkie kobiety mają obsesję na punkcie astrologii. Po prostu jestem ciekawa.

- Dobra - odparłem. - Pierwszego czerwca.

- Wiedziałaś! Bliźniak. To wszystko wyjaśnia. - Po chwili milczenia przyznała: - Nie mam pojęcia o astrologii. Wiem tylko, że jesteś Bliźniakiem, ponieważ miałam kiedyś chłopaka, który się tym interesował. Zawsze starał się tłumaczyć moje poczynania wpływem znaku zodiaku. W końcu doszliśmy do takiego etapu, że obiecałam sobie, że jeśli jeszcze raz powie mi w twarz „Typowa Waga”, to go rzucę. Chwilę później on tak właśnie powiedział, a ja w tej samej sekundzie oznajmiłam, że to koniec.

- To trochę surowa kara, co? - zapytałam, pochylając się ku jej twarzy, tak żeby moje usta dzieliło tylko kilka centymetrów od jej warg.

- Wcale tak nie uważam. - Uśmiechała się.

FALE

Nie wiem, jak długo się całowaliśmy. Minutę. Może dwie. Mnie się wydawało, że za krótko, ale podejrzewam, że dla Donny akurat na tyle długo, by świadoma część jej umysłu odzyskała kontrolę nad podświadomą.

- Coś się stało? - zapytałem, kiedy się odsunęła.

Pokręciła głową i oparła się o moje ramię.

- Nie, nic, ze mną to tak jest. - Sięgnęła po moją rękę, mocno splatając nasze palce. - Moglibyśmy po prostu tak posiedzieć i pogadać przez chwilę?

- Dobrze - odparłem.

I tak, przysunąwszy się bliżej do siebie, siedzieliśmy w milczeniu, patrząc, jak fale załamują się przed nami, pochłonięci swoimi myślami i swoimi słowami.

ŚLADY STÓP

- Która godzina? - zapytała Donna sennie.

- Po szóstej - odpowiedziałem, niechętnie odrywając wzrok od zamglo-nego wschodzącego słońca, by spojrzeć na zegarek.

- Jakim cudem wytrzymujemy na nogach całą noc?

- Nie za bardzo wytrzymujemy. - Donna wyciągnęła ramiona nad głowę i ziewnęła. - Teraz mi się wydaje, że mogłabym przespać cały dzień. - Spoj-rzała na mnie i uśmiechnęła się. - Jesteś głodny?

- Śmiertelnie.

- Idziemy poszukać czegoś do jedzenia?

- Znam jedno miejsce - odparłem. - Spodoba ci się.

Wstaliśmy, przeciągaliśmy się, otrzepaliśmy piasek z ubrań i ruszyli-śmy ręka w rękę przez plażę.

- Popatrz - powiedziała Donna. - To ślady naszych stóp z nocy?

- Tak. Chyba tak.

- Wydaje się, że zrobiliśmy je dawno temu. Zupełnie jakby je zostawili inni ludzie.

- Ale to nie byli inni ludzie - odparłem. Wskazałem na ziemię. - Popatrz, to twój ślad, a to mój. Idą obok siebie w tym samym kierunku.

- A teraz idziemy z powrotem - westchnęła Donna. - Prawie żałuję, że nie możemy zawrócić i tak iść dalej przed siebie, aż byśmy spadli.

JAK NIESKOŃCZONOŚĆ

Jeszcze nie widziałem tak spokojnej drogi przy plaży. Żadnych Brytyjczyków, żadnej muzyki dyskotekowej i żadnych quadów. Jedyne oznaki życia pochodziły z ciężarówek dostawczych przywożących zaopatrzenie i zmęczonych sklepikarzy otwierających swoje przybytki. Ale Stars and Bars to zupełnie co innego. Grupki wykończonych bywalców nocnych klubów siedziały przy stolikach, jakby ten lokal był ostatnim przystankiem dla najzagorzalszych hedonistów Malii, zanim pożegnają minioną noc.

Zdołaliśmy z Donną znaleźć stolik w głębi knajpy i zamówiliśmy dwa angielskie śniadania Killer wraz z piwem. Zapadłszy w miłe milczenie, zadowalaliśmy się podsłuchiowaniem siedzących przed nami młodzieńców, chyba studentów, którzy analizowali minioną noc ze wszystkimi jej towarzyszącymi wzlotami i upadkami. Uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy na tym wyjeździe nie patrzę na nich z zazdrością. Już nie chciałem znaleźć się na ich miejscu. W końcu czułem się szczęśliwy, będąc sobą.

- Dlaczego prawdziwe życie nie może być takie przez cały czas? - zapytałem, kiedy kelner podszedł do stolika z naszym śniadaniem.

- Naprawdę chciałbyś na co dzień o szóstej rano wychodzić na miasto na śniadanie? - Donna się roześmiała.

- Nie - odparłem. - Chodziło mi o to, żeby wakacje trwały wiecznie.

- Wtedy już nie byłyby wakacjami, a stałyby się prawdziwym życiem. Żeby coś było wakacjami, musi być inne od normalności.

- Kiedy byłem dzieckiem, zastanawiałem się, czy ludzie mieszkający w Hiszpanii wyjeżdżają na wakacje - powiedziałem, wyciskając kleks ketchupu na talerz. - Skoro moi sąsiedzi jeździli na wakacje na Majorkę, to co robili ludzie z Majorki, kiedy nadchodziły wakacje?

- I do jakiego wniosku doszedłeś?

- Żadnego. Pewnie zająłem się czym innym i uznałem, że to jedna z tych dziwaczkich zagadek, przed którymi człowiek staje przez całe swoje życie: jak nieskończoność albo gdzie się zaczyna czas. Musiałem dojść do wniosku, że pewnie łatwiej wcale o takich rzeczach nie myśleć.

- Strusia polityka?

- Tak - odpowiedziałem. - Ale nie krytykuj, skoro sama nie próbowałaś.

I CO TERAZ?

- Oczywiście same mi się zamykają - powiedziała, kiedy kelner przyszedł po naczynia.

- Pewnie powinniśmy się zbierać. - Zerknąłem na kelnera i poprosiłem o rachunek. Kilka minut później położył go na środku stołu, ale zanim zdążyłem poń sięgnąć, Donna porwała go i oddała z powrotem kelnerowi wraz z garścią banknotów.

- Nie musiałaś tego robić - powiedziałem, kiedy wstaliśmy.

- Ale chciałam - odparła.

- Dobra, ale następnym razem ja stawiam śniadanie.

To była tylko taka rzucona od niechcienia uwaga. Żart, nic więcej. Ale przez twarz Donny przemknął wyraz zmartwienia i zrozumiałem, że zaistniał między nami niechciany przez nikogo ciężar. Skąd miałby się wziąć drugi raz, skoro Donna właśnie wyjeżdżała z Malii na zawsze?

- I co teraz? - Staliśmy przed barem, pławiąc się w delikatnym ciepłe porannego słońca.

- To dla mnie naprawdę bardzo trudne, Charlie. - Wzięła moją rękę.

- Wiem. - Zmieniłem temat: - O której wyjeżdżasz?

- Autokar na lotnisko przyjeżdża chyba o dziewiątej. Trochę chcę się przespać, ale może przyjdiesz do mojego hotelu o szóstej i wtedy zdołamy coś zjeść.

- A więc do zobaczenia o szóstej. - Donna podeszła do mnie, a ja odruchowo objąłem ją i pocałowaliśmy się. Tym razem jednak inaczej niż wtedy.

Bardziej niezdarnie i z zakłopotaniem.

- Do zobaczenia - powiedziała, machając mi na pożegnanie.

- Tak. Do zobaczenia.

POWIEDZ WSZYSTKO WUJKOWI ANDY'EMU

- Dalej, Tom, szturchnij go, żeby się obudził.
- Sam go szturchnij.
- Ale ty jesteś bliżej.
- A ty najwyraźniej jesteś bardziej ciekaw.
- Nie jestem aż tak ciekaw.
- No to zaczekaj, aż sam się obudzi.
- Żartujesz. On już śpi całe wieki. Nie mogę tak się grzebać cały dzień. Mam różne rzeczy do zrobienia.
- Więc jeśli chcesz, żeby wstał, to proszę bardzo, nie krępuj się.
- Dobra, sam to zrobię, ale muszę zauważyć, że nie ma powodu, żebyś był taki...
- Andy przerwał w pół zdania, kiedy zamruganiem powiekami, żeby zobaczyć jego nieogoloną twarz kilka cali od mojej.
- Ach, to żyje - powiedział, uśmiechając się porozumiewawczo. - Miło widzieć, że się w końcu obudziłeś.
- Jak miałem się nie obudzić, kiedy ty się tak nade mną wydzierasz? - Usiadłem i ziewnąłem. - Która godzina?
- Dziesięć po trzeciej.
- Natychmiast wyskoczyłem z łóżka i zacząłem zbierać ubrania.
- Po co ten pośpiech? - zapytał Andy.
- Chciałem spać tylko kilka godzin - powiedziałem, z trudem wciągając szorty. - Mam się spotkać z Donną o szóstej, a wcześniej muszę jeszcze załatwić kilka rzeczy.
- Jakich rzeczy? Wzruszyłem ramionami.
- Nieważne jakich. Rzeczy i już.

Andy wznosił oczy do nieba.

- To cały ty, jeśli chodzi o dziewczyny. Taki sam byłeś w college'u: zawsze bez sensu tajemniczy we wszystkim.

- Daj spokój - powiedziałem, chwytając czysty T-shirt z walizki. - Nie jestem w niczym tajemniczy. Prawdę mówiąc, jestem nawet skłonny opowiedzieć wam obu, co się wydarzyło ostatniej nocy, bo potrzebowałbym rady.

- Nareszcie. - Andy zatarł ręce w udawanym radosnym podnieceniu. - Powiedz wszystko wujkowi Andyemu.

Pomijając treść rozmowy z Lisą, zrelacjonowałem przyjaciółom wszystko, co się wydarzyło od chwili, gdy spotkałem Donnę, aż do naszego śniadania w Stars and Bars.

- I to wszystko? - Andy spojrzał na mnie z dziwną mieszanką ubawienia i niedowierzania. - Tylko rozmawialiście i nic więcej?

- Z wyjątkiem jednego pocałunku, to owszem. - I tu właśnie cały problem z tobą. - Wiedziałem, że tego nie zrozumiesz.

- A co tu do rozumienia? - zapytał Andy. - Ona najwyraźniej jest niezainteresowana.

- Bzdury gadasz - rzekł Tom. - Mnie się wydaje, że jest zainteresowana, ale chce, żeby to się rozwijało powoli, i tyle.

- Tak powoli, że nawet nie wspomniała, że chciałyby się z nim jeszcze spotkać? - zapytał Andy, kręcąc głową. - Nie, brachu, ktoś cię robi w bambuko, ale jeśli chcesz mojej rady, trzymaj się od tego z daleka. Dzieciak, eks i cała reszta to wszystko się składa na egzemplarz zbyt kosztowny w utrzymaniu jak dla ciebie.

- Bardzo się mylisz - odparłem.

- Więc jeśli jest taka cudowna, dlaczego sam nie poruszyłeś tematu? Wzruszyłem ramionami.

- Ponieważ czas nie po temu. Odjechał już pociąg z wakacyjnymi romanсами, które w coś się przeradzają... a jest za wcześniej na cokolwiek innego.

Miałem do wyboru nie powiedzieć nic i ryzykować, że ją stracę, albo powiedzieć coś i ryzykować, że wyjdę na jakiegoś natrętnego zbrojeńca.

- To tylko dziewczyna - rzekł Andy. - Będą następne.

- Ty po prostu tego nie kumas, prawda?

- Słuchaj - rzekł Andy. - Mówię to tylko dla twojego dobra. Powinieneś być zostać ze mną ostatniej nocy i oczarować Hattie, tak jak mówiłem. Była tak zdesperowana pod koniec, że podrywała jakiegoś chłopaczka w koszulce Newcastle United. To mogłeś być ty. A tymczasem się zmyłeś i prowadziłeś na plaży pogawędki przy księżycu z jakąś dziewczyną, która może jest tobą zainteresowana, ale nie na pewno. Masz trzydzieści pięć lat, Charlie, nie piętnaście. Już dawno temu powinieneś wyrosnąć z tych młodzieńczych melodramatycznych rozterek. - Cmoknął z dezaprobatą i bardziej do siebie niż do mnie dodał: - I ty się dziwisz, że Sara cię zostawiła.

Gdybym chciał usłyszeć szpilkę upadającą na posadzkę w naszym pokoju, to teraz udałoby mi się to bez trudu. Tom wyglądał na wstrząśniętego, ale widziałem, że Andy jest jeszcze bardziej przerażony. W przeszłości pozwalałem mu na mówienie mi w twarz pewnych obraźliwych i szczeniackich rzeczy z uwagi na to, że byliśmy przyjaciółmi, ale wiedział, że tym razem przeholował.

- Słuchaj, brachu...

- Odejdź - powiedziałem. - Odejdź, zanim powiem coś, czego obaj będziemy żałować.

Widziałem, że analizuje sytuację. Z jednej strony nie chciał stracić twarzy przed Tomem, ale z drugiej wiedział, że posunął się za daleko.

- Pogadam z tobą, jak się trochę uspokoisz, dobra? - Wziął z podłogi plecak, przewiesił go przez ramię i wyszedł.

- Przypomnij mi, proszę, dlaczego wy się przyjaźnicie? - zapytał Tom, kiedy Andy zatrzasnął drzwi wejściowe.

- Wiesz co? Powinieneś czasami dać mu szansę. On jest dupkiem dla ludzi,

którzy go kochają, z tego samego powodu, dla którego wszyscy jesteśmy dupkami dla ludzi, którzy nas kochają... Ponieważ tylko ci, którzy przy nas trwają, kiedy nie dajemy im do tego żadnego powodu, są warci zachodu. Tom się uśmiechnął szeroko.

- A więc co tam u ciebie, ty beznadziejny zaszranie gnoju?

- U mnie? U mnie wszystko w porządku, ty tłusty ciulu. - Przerwałem i spojrzałem na Toma. Chciałem go zapytać o tego raka, nie pytając go przy tym o raka.

- Na pewno nic ci nie jest? - zapytałem.

- Nie powiedziałbym, że świetnie się czuję - wzruszył ramionami - ale nie jest ze mną też najgorzej. Zawzięłem się, żeby wytrzymać. - Posłał mi to samo badawcze spojrzenie, które ja posłałem jemu. - A co z tobą?

- To samo.

- Podjąłeś decyzję?

Pokręciłem głową.

- A co gorsza, ona wyjeżdża za sześć godzin.

- No więc co zamierzasz zrobić? Improwizować?

- Nie - odparłem. - Teraz postaram się zapewnić sobie trochę więcej czasu.

PORADZĘ SOBIE

Wyraz zdumienia na twarzy Donny, kiedy zobaczyła mnie zajeżdżającego pod jej hotel w białym fiacie punto, dokładnie o szóstej, powiedział wszystko.

- Co to jest? - zapytała, zerkając znad okularów w stylu Jackie O., kiedy opuściłem szybę.

- To samochód - odparłem - nowy wynalazek, doskonały do pokonywania odległości z punktu A do punktu B.

- Dobra - Donna się roześmiała. - Chciałam zapytać... dlaczego nim jeździsz?

- Tom wynajął go wczoraj i wyznaczył mnie na kierowcę - skłamałem. - Pomyślałem, że skoro wyjeżdżasz za kilka godzin, to bez sensu, żeby jakiś opryskliwy kierowca autokaru cieszył się twoim towarzystwem, skoro mogę je mieć całe dla siebie.

Rozczarowanie na twarzy Donny nie mogłoby być bardziej oczywiste.

- Nie wiem, co powiedzieć - wyznała.

- Proponuję ci tylko podwiezienie na lotnisko - wyjaśniłem.

Nie wyglądała na przekonaną.

- Nie jestem pewna - powiedziała, jakby stresowała ją już sama myśl, by wsiąść ze mną do samochodu. - Muszę pogadać z siostrą, dobra?

- Świetnie - odparłem zdawkowo. - Ty pogadaj z siostrą, a ja tu zaczekam.

Kiedy Donna wracała na drugą stronę do hotelu, pożałowałem, że wynająłem samochód. Choć sam starałem się zbagatelizować swój wielki romantyczny

gest, Donna dostrzegła jego znaczenie od razu i chciała od niego uciec jak najdalej. Zamiast zmieść pył spod jej stóp, zdołałem jedynie potwierdzić jej najgorsze obawy - że może chce dostać od niej więcej, niż ona chce dać. Mimo woli pomyślałem, że może Andy miał rację. Może się zachowywałem jak usychający z miłości nastolatek. Może ponad wszelką miarę rozdmuchałem swoje uczucia. Może jednak powinienem był zostać z nim minionej nocy i wyrwać którąś z koleżanek Niny.

Spojrzałem na drugą stronę drogi. Donna wychodziła głównym wyjściem, ale ku mojemu rozczarowaniu nie wyglądała ani trochę szczęśliwiej, niż kiedy znikła w nim pięć minut wcześniej.

- No to jedziesz czy nie? - zapytałem szorstko.

Donna z oporem kiwnęła głową.

- Ale nie możemy się spóźnić na odprawę, Charlie... mówię poważnie.

- Świetnie - odpowiedziałem. - Powiedz mi, o której chcesz tam być, a ja cię dowiozę.

- Najpóźniej o dziesiątej.

- A więc o dziesiątej.

- Lepiej więc pójdę po bagaż.

- Pomogę ci.

- Nie trzeba - powiedziała Donna chłodno. - Poradzę sobie.

TO WSZYSTKO JEST W PRZESZŁOŚCI

- Powiesz mi, co się stało? - zapytałem, kiedy w końcu zatrzymaliśmy się nieopodal warownych murów wokół portu w Heraklionie. - Przez całą drogę właściwie nic nie mówisz.

Donna zdawała się pochłonięta własnymi myślami, a że ja nie chciałem jej dostarczać kolejnych powodów, by już nie chciała się ze mną spotkać, większość godzinnej podróży spędziliśmy w milczeniu. Od czasu do czasu rzucała jakąś grzeczną uwagę, ale gdy tylko krótko omówiliśmy temat, ponownie milkła. Nawet kiedy dotarliśmy do przedmieść Heraklionu i ryk silników odrzutowych rozlegał się tak często, że co niespełna minutę słyszeliśmy jakiś zgrzyt nad głową, powiedziała niewiele. Wyglądała natomiast przez okno samochodu, podczas gdy ja przy ryku każdego silnika coraz bardziej sobie uświadamiałem, jak niewiele czasu zostało mi z Donną.

- Wiem, że się nie odzywam - westchnęła. - Przepraszam.

- To przeze mnie? - zapytałem, bojąc się odpowiedzi. - Zrobiłem coś złego?

- Nie - dotknęła mojej ręki. - To wszystko przeze mnie. Mam w głowie natłok myśli.

- Możemy o tym pogadać?

Pokręciła głową.

- Chyba na to za późno, ale to i tak żadna wymówka, że jestem taka żałowna. Czuję, że wszystko psuję. - Potarła dłońmi twarz, jakby próbowała obudzić się ze snu. - Dziękuję ci za wszystko, Charles - dodała, odwracając się do mnie. - Wiem, że niewiele czasu spędziliśmy ze sobą, ale dzięki tobie te wakacje stały się naprawdę wyjątkowe.

Wysiedliśmy z samochodu, kupiłem bilet parkingowy i ruszyliśmy w stronę restauracji, którą odkryłem w przewodniku Toma. Donna jakby się ożywiła. Była bardziej rozmowna, żartowała i bardziej przypominała osobę, którą poznałem poprzedniej nocy.

Restauracja znajdowała się tuż obok murów. Pod markizą stało mnóstwo stolików, a kelner poprowadził nas do tego, który jego zdaniem zapewniał najlepszy widok na port. Zamiast naprzeciwko siebie, usiedliśmy jedno przy drugim, tak żeby widzieć zachód słońca, tego samego, które rano wstało na naszych oczach.

Po godzinie wyszliśmy, posmakowawszy wszystkiego, poczynając od domowego tzatziki po pieczonego ostronosa, i ręka w rękę ruszyliśmy z powrotem do samochodu. Teraz milczenie miało inną jakość. Było mniej przygnębiające, a bardziej obiecujące - jakbyśmy przestali rozmawiać, bo mieliśmy za dużo rzeczy do powiedzenia, a nie za mało.

- Ostatnia noc i to popołudnie były naprawdę wyjątkowe - wyznała Donna, kiedy dotarliśmy do samochodu. - Nie wiem, kiedy ostatni raz spędziłam tyle czasu w czymś towarzystwie... chyba od... no wiesz. W każdym razie chciałam po prostu podziękować. - Zarzuciła mi ręce na szyję, a potem dotknęła swoimi wargami moich. Powolny, długi pocałunek zdołał przynieść mnie z powrotem do minionej nocy.

- Chyba czas iść - powiedziała Donna, kiedy pocałunek się skończył.

- Tak, pewnie masz rację.

ZOSTAWIŁAM OKULARY

Nasz czas minął. Dzień chylił się ku końcowi. I Donna jechała do domu. Pozostawało podstawowe, przynajmniej w mojej głowie, pytanie, czy udało mi się ją przekonać, że powinna znowu się ze mną spotkać. Kiedy wjechaliśmy na parking lotniska w Heraklionie i spojrzałem na nią, mimowolnie poczułem, że odpowiedź na to pytanie jest zdecydowanie twierdząca. Pewnie, powiedziałem sobie, musi czuć to samo co ja.

Niemniej jednak, kiedy wysiedliśmy z samochodu na wciąż prażący upał i wyjęliśmy bagaż Donny, uznałem, że jeśli naprawdę w miłości i wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone, to teraz nadszedł właściwy moment, by przypuścić jeszcze jeden zmasowany atak. Wyczucie czasu, rozumowałem, jest najważniejsze, a okoliczności mi sprzyjały: nie ma to jak romantyczne pożegnanie na lotnisku. Przygotowałem sobie mowę: coś o tym, że jest wyjątkowa, o naszej potrzebie „przewyciężenia przeszkód” i że mogłoby nam się udać, gdybyśmy naprawdę chcieli. Wszystko idealnie dopasowane do sytuacji. Zwycięstwo było pewne.

- Zostawiłam okulary - powiedziała Donna, kiedy dzieliło nas tylko kilka metrów od wejścia do hali odlotów. - Na pewno w samochodzie.

- Idź dalej do odprawy - odparłem. - Ja wrócę i je przyniosę.

- Nie mogłabym cię o to prosić. I tak już dużo zrobiłeś. Pójdź sama.

- Nie ma problemu - zgodziłem się, podając jej kluczyki do samochodu. - Zaczekam tu na ciebie.

Siedząc na krawężniku przed wejściem do budynku lotniska, z jej walizką i torbami u boku, patrzyłem, jak znika za rzędem samochodów. Nie było jej dziwnie długo, ale wreszcie wróciła, w swoich ukochanych okularach przeciwsłonecznych w stylu Jackie O.

Weszliśmy do budynku i ruszyliśmy na poszukiwania Niny i jej przyjaciółek pośród setek brytyjskich wczasowiczów, którzy udawali się do domów. Wszyscy stojący w kolejkach do rozmaitych stanowisk odprawy byli ubrani, jakby myśleli, że ciepła kreteńska pogoda zostanie z nimi na zawsze. Przypomniałem sobie opalone tłumy w T-shirtach przybywające na deszczowe lotnisko w Gatwick - ludzi, którzy ugrzęźli tak mocno w wakacyjnym stanie ducha, że zapomnieli o istnieniu innych stref klimatycznych niż ta, którą właśnie opuścili.

- Nie będzie ci trochę zimno po wylądowaniu? - zapytałem, kiedy szukaliśmy na tablicy odlotów numeru jej stanowiska.

- Przed wyjściem wsadziłam cieplejszy sweter do torby Niny - powiedziała Donna, która miała na sobie długą spódnicę, koszulkę bez rękawów i klapki. - Będzie go miała przy sobie.

- Teraz żałuję, że nie mam marynarki. Mógłbym zachować się jak na dzentelmena przystało i dać ci ją.

Donna otworzyła usta, by coś powiedzieć, kiedy jakiś głos wrzasnął jej imię. Oboje się odwróciliśmy i zobaczyliśmy Ninę machającą do nas szaleńczo sprzed stanowiska najdalszego od miejsca, w którym staliśmy. Ciągnąc za sobą walizkę, Donna popędziła, by do nich dołączyć. Nina z przyjaciółkami natychmiast stłoczyły się wokół niej, rzucając w moim kierunku rozbawione spojrzenia. Kiedy wszystkie dziewczęta się odprawiły, zebrały się obok kolejki, a Donna wróciła do mnie.

- Wszystko w porządku? - zapytałem.

- Tak, absolutnie - odparła. - Nina i dziewczyny spotkają się ze mną po drugiej stronie odprawy paszportowej za minutę albo dwie, ale ja najpierw idę do kibelka.

Na jej twarzy dostrzegłem coś niepokojącego. Zlekceważyłem to, uznając, że to może dobry znak: że może opuszczała mnie z takim trudem, z jakim ja przyjmowałem jej wyjazd. W ten sposób, powiedziałem sobie, nasze pożegnanie na lotnisku ma szansę odnieść oszałamiający sukces.

Mniej więcej po pięciu minutach, kiedy zacząłem się denerwować, że Donna nie wraca, skierowałem się do damskich toalet, żeby jej poszukać. Ponieważ nie pojawiła się po kolejnych pięciu minutach, uznałem, że coś się stało. Świadom, że może znowu posuwam się za daleko, podszedłem do dwóch młodych Angielek czekających na lot do Manchesteru i poprosiłem, żeby sprawdziły, czy w damskiej toalecie nie ma mojej przyjaciółki. Kiedy po minucie wyszły bez niej, ogarnęła mnie prawdziwa panika i gorączkowo przeszukałem cały budynek, rozważając nawet przez chwilę, czy nie skontaktować się z ochroną lotniska. W końcu uznałem, że najlepiej zrobię, jeśli wrócę do miejsca, w którym się rozdzieliliśmy, i zaczekam. I tam zostałem przez ponad godzinę, zanim w końcu przyjąłem do wiadomości, że jej po prostu nie ma.

Z Donną wciąż absorbującą każdą moją myśl udałem się do samochodu. Gdy otworzyłem drzwi, złożona kartka papieru sfrunęła z siedzenia kierowcy na podłogę. Schyliłem się po nią, rozłożyłem i przeczytałem.

Wiem, że pomyślisz, że to tchórzowskie rozwiązanie, i chyba masz rację. I wiem, że pewnie teraz mnie nienawidzisz. Ale prawda jest taka, że nie przychodzi mi do głowy inny sposób pożegnania, który by nie skomplikował jeszcze bardziej sytuacji (a wierz mi, i tak już jest skomplikowana). Przepraszam za wszystko, Charlie. Naprawdę przepraszam.

Donna

Z wciąż łomoczącym sercem odpałem samochód i opuściłem szybę.

Ciepły powiew wieczornego powietrza zatrzepotał listem Donny na desce rozdzielczej. Przeczytałem go po raz ostatni, jakby żegnając się ostatecznie zarówno z nią, jak i z refleksją, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Mili faceci zrywają ostatni. Tego nauczyła mnie Sara i teraz Donna dobitnie postarała się, żeby to do mnie dotarło.

Powiedziałem sobie, że jestem zmęczony pełnieniem funkcji wycieraczki dla całego świata. Od teraz wyłączam mózg i działam instynktownie. Nie zamierzam zadreżać się każdą decyzją ani taplać w przeszłości. Krótko mówiąc, wezmę przykład z Andyego i zacznę się troszczyć przede wszystkim o siebie.

I kiedy podarłem list Donny na garść konfetti, wyrzuciłem strzępki przez okno i patrzyłem, jak sfruwają na ziemię, nie miałem wątpliwości, że postępuję słusznie. Nie wiedziałem wtedy, że dwadzieścia cztery godziny później okaże się, że dzięki tej decyzji upodobniłem się do Andyego w stopniu, który nie przyszedłby mi w ogóle do głowy, i że skończy się tym, że zdradzę go w najgorszy wyobrażamy sposób.

Dzień piąty: Piątek

PO CÓŻ ZMIENIAĆ WAKACYJNE ZWYCZAJE?

Otworzyłem oczy. Sypialnia wciąż była spowita ciemnością, chociaż strużki światła wpływające przez zasłony wskazywały, że ranek mnie ominął. Usiadłem na łóżku i stały się dwie rzeczy: po pierwsze, zsunęły się ze mnie prześcieradła, a moja skóra weszła w kontakt z arktycznym powietrzem, które wywołało uwypuklenie torebek włosowych, czyli gęsią skórę. Po drugie, przytłoczył mnie nagły atak dolegliwości gastrycznych, który pognął mnie do łazienki. Nie wymiotowałem, chociaż wołałbym, ponieważ wówczas targające mną co chwilę mdłości przynajmniej by ustały. Tymczasem zaś trwały, w żelaznym uścisku dławiąc mój żołądek.

Wychodząc z sypialni, spojrzałem na łóżko Andy'ego. Było puste, ale najwyraźniej ktoś w nim wcześniej spał. Ostrożnie otworzyłem drzwi do kuchni. Łóżko Toma też było puste. Otworzyłem lodówkę, wyciągnąłem butelkę wody i spróbowałem się nawodnić. Minęła dwunasta w południe.

Wrzuciłem na siebie jakieś czyste ubrania i rozejrzałem się po pokoju, szukając natchnienia, co robić dalej. Na swoim stoliku nocnym dostrzegłem *Kod Leonarda da Vinci* i zdecydowałem się trochę poczytać. Wziąłem książkę i okulary przeciwsłoneczne, odsunąłem jedną z zasłon na drzwiach balkonowych i ujrzałem Toma rozpartego na jednym z plastikowych krzeseł, z nogami na poręczy. W jednym ręku trzymał swój ukochany przewodnik, a w drugim papierosa. Dziwne w tym obrazku było to, że Tom nie palił, i to nigdy w życiu.

- Wszystko dobrze? - zapytałem, otwierając drzwi balkonowe i wychodząc na pełne słońce. Popatrzyłem znacząco na papierosa Toma. - Chciałbyś może mi coś powiedzieć?

- Eksperymentuję. - Zaciągnął się głęboko, a potem powoli wypuścił dym spomiędzy warg. - Znalazłem je na stoliku - wyjaśnił, podnosząc paczkę bensonów i hedgesów Andyego. - Siedziałem tu, patrząc na nie i pomyślałem sobie: jeśli rzeczywiście mam raka, to przynajmniej komórki, które mnie dobijają, są tak zajęte atakowaniem mojego pęcherza, że nie zdążą się zająć płucami.

- A jeśli to coś innego? - zapytałem.

- Cóż, jeśli to coś innego, i przechodziłem przez to wszystko na próżno - Tom wyjął papierosa spomiędzy warg - to myślę, że zasługuję na więcej niż papierosa.

Usiadłem obok Toma, wsunąłem na nos okulary przeciwsłoneczne i marszcząc się, spojrzałem na niebo.

- A więc, abstrahując od kielkujących nałogów, jak się czujesz w to jasne i słoneczne popołudnie?

- Czuję się jak kupa - odrzekł Tom. - I zgaduję, że twoje samopoczucie jest niewiele lepsze.

- Ja czuję się martwy od szyi w dół - jęknąłem. - Czy mógłbym cię poprosić, żebyś przybliżył mi szczegóły minionej nocy, ponieważ część z nich jawi mi się co najmniej mgliście?

- Zaczęło się chyba, kiedy wróciłeś do pokoju po dniu spędzonym z Donną i nie odzywałeś się przez całe wieki - opowiadał Tom. - Zapytałem cię, czy stało się coś złego, a ty odrzekłeś, że nie chcesz o tym mówić. Zasugerowałem więc, byśmy udali się na drinka, ponieważ rzygać mi się już chce od tego myślenia o raku, a ty odparłeś na to: „Świetny pomysł, chodźmy”. Dziewięć knajp, jakieś sześć godzin i wiele, wiele, bardzo wiele drinków później zwaliliśmy się na glebę w pokoju.

- Andy był z nami? Wydaje mi się, że nie za bardzo go pamiętam z minionej nocy?

- O dziwo, zdecydował się zostać w domu - powiedział Tom. - Przebąkiwał coś o tym, że musi się przespać,

- A więc gdzie jest teraz?

Tom wzruszył ramionami i zapalił kolejnego papierosa omawianego kolegi.

- Kiedy leżałem rano w łóżku, usłyszałem, jak otwierają się drzwi. Uznałem, że to Andy wchodzi lub wychodzi, ale nic bliższego nie wiem. - Zdusił papierosa. - No to skończyłem na razie z paleniem - oznajmił radośnie. - Chętnie sprawdzę, jakim jeszcze nałogom mogę ulec, zanim wakacje dobiegną końca. - Wstał i wziął swoją książkę. - Głodny?

- Śmiertelnie.

- Stars and Bars?

- Oczywiście - odparłem. - Po cóż zmieniać wakacyjne zwyczaje?

POREKA TYCH DÓBR, KTÓRYCH SIĘ SPODZIEWAMY

- No więc - zagaił Tom, kiedy kelner przyniósł nam zestaw śniadaniowy Killer - jak na mój gust tyle się już nakrążyliśmy wokół tematu, że czas zadać zasadnicze pytanie.

- O mnie i Donnę? - zapytałem. - To była katastrofa. Niemal doskonała katastrofa.

- Powiedziałeś jej, co czujesz, a ona cię splawiła?

- Gorzej. O wiele gorzej. Wynająłem samochód, zabrałem ją na kolację, a potem na lotnisko, a kiedy tylko się odwróciłem na chwilę, ona zwiła.

- Żartujesz sobie - powiedział Tom z satysfakcjonująco oburzonym wyrazem twarzy.

- Chciałbym - zapewnilem. - No przecież to, co zrobiła, było okrutne, sam powiedz? Kobiety zawsze nawijają, jak mężczyźni nie lubią konfrontacji i robią wszystko, żeby jej uniknąć... ale jeśli to, co zrobiła Donna, nie było unikaniem konfrontacji, to ja nie wiem, jak unikanie konfrontacji wygląda.

- Oczywiście nie staję po jej stronie ani nic z tych rzeczy - rzekł Tom ostrożnie - ale nie mogę sobie wyobrazić, że zrobiła to dla hecy. To musiało być dla niej trudne. Może chodzi o to odejście ojca jej dziecka sprzed lat? Może ona się boi?

- Boi? - powtórzyłem. - Powiem ci, kto powinien się bać. Ja. Poprzedniej nocy dowiedziałem się, że Sara jest w ciąży.

- Nie wiem, co powiedzieć - Toma zamurowała.

- Nie ma co mówić. Tyle, że wiem na pewno, że to nie moje dziecko. - Nagle nie czułem się już taki głodny, odsunąłem więc talerz na bok. - Naprawdę ją kochałem, wiesz?

- Wiem - odrzekł Tom cicho.
- No więc jak ona mi mogła to zrobić po tylu spędzonych razem latach?
Cała dekada, Tom. To chyba ma jakieś znaczenie?

Popatrzył na mnie wzrokiem bez wyrazu.

- Teraz - ciągnąłem - uważam, że liczy się tylko ten moment, w którym znajdujesz się w tej chwili. Tak myśli Andy, prawda? Żyje chwilą obecną i tylko w to wierzy.

- I zobacz, dokąd go to zaprowadziło - rzekł Tom. - Nie jest dzięki temu szczęśliwszy. Przez całe życie goni za czymś, czego nigdy nie zdobędzie. Wiem, że teraz jest ci ciężko, ale nie możesz zawsze myśleć, że wydarzy się najgorsze. W końcu zaczniesz trochę wierzyć, że wszystko się dobrze skończy.

- Wierzyć?

- Wiara jest poręką tych dóbr, których się spodziewamy.

- Skąd mam czerpać wiarę, skoro wszyscy zawsze sprawiają mi zawód? - odparłem. - Jak mam wierzyć, skoro nigdy nie wierzyłem w siebie?

- Może wiara w siebie to najlepszy początek - powiedział Tom.

- Może - odparłem, zerkając na talerz w nadziei, że wkrótce wróci mi apetyt - a może nie. - Mój apetyt jakoś nie majaczył na horyzoncie, wziąłem więc tylko wielki łyk lagera i zmieniłem temat. - No to jak myślisz, co Andy kombinuje? - zapytałem. - Bo mam paskudne wrażenie, że coś kombinuje.

- Może jednak wyszedł ostatniej nocy i wyrwał jakąś nową laskę - podsunął Tom. - Z Andym nigdy nic do końca nie wiadomo, prawda? - przerwał i spojrzał na mnie. - Swoją drogą, skąd to zaciekawienie Andym?

- Nie wiem - wzruszyłem ramionami. - Pewnie jestem już zmęczony złością na niego.

Tom się uśmiechnął.

- Pamiętasz, jak się pokłóciliście po tym, jak go objechałeś, bo trzeci raz pod rząd wystawił ci czek bez pokrycia za swoją część czynszu? Nie odzywał się do ciebie całymi dniami.

- Jak mógłbym to zapomnieć? Ja byłem bez pieniędzy, ale to on chodził i trzaskał drzwiami na potęgę. - Przerwałem i w zamyśleniu wpatrywałem się w swojego drinka. - Tak naprawdę nie sądzisz, że Andy jest teraz z inną dziewczyną, prawda?

- Jak już powiedziałem, z Andym wszystko jest możliwe.

- Nie pytaj mnie dlaczego, ale mam takie poczucie, że on już tego nie zrobi. No bo dlaczego miałby robić? Ta sprawa z Niną wynika tylko z tego, że on chciał sobie udowodnić, że jeszcze potrafi. Robienie tego po raz kolejny nic już by mu nie dało.

- Zgodziłbym się z tobą - odparł Tom - gdyby Andy był wyznawcą normalnej logiki. Ale nie jest, prawda? On to robi bezwiednie. Kto wie, jak działa jego umysł? Może on chce, żeby go przyłapano? Może myśli, że będzie łatwiej, jeśli Lisa go rzuci, niż jeśli on rzuci ją. Wiem tylko, że w Andym zawsze było coś... nie wiem... nieszczęśliwego. Też musiałeś to zauważyć.

- Trudno by mi było przeoczyć - odparłem.

- Myślisz, że on kiedykolwiek przewycięży to, co ma do przewyciężenia?

- Mam nadzieję, dla jego dobra - odparłem. - Naprawdę mam taką nadzieję. ,

Tom dokończył swoje śniadanie, a ja zamówiłem piwo. Wyszliśmy ze Stars and Bars tuż po pierwszej trzydzieści i skierowaliśmy się z powrotem do Apolla, zachodząc do minimarketu, by zrobić zapasy wody w butelkach, piwa, chipsów i słodyczy. W holu zastaliśmy kilku młodzieńców na kanapach wokół stołu bilardowego. Oglądali najciekawsze fragmenty meczów futbolowych na szerokoekranowym telewizorze. Dołączyliśmy do nich na mniej więcej pięć minut i podyskutowaliśmy o występie Anglii w meczu towarzyskim w tym tygodniu. Ostatecznie zostawiliśmy nowych kolegów ich futbolowym rozrywkom i ruszyliśmy schodami na górę do swojego pokoju, gdzie ku swemu zaskoczeniu zastaliśmy otwarte drzwi - albo nasz pokój był sprzątany, albo Andy wrócił. Instynkt kazał mi opowiedzieć się za opcją powrotu Andy'ego.

Nadal nie udało mi się ustalić, jak mam się zachowywać wobec Andy'ego w kontekście sprzeczki z poprzedniego dnia. Po części wciąż chciałem się na niego złościć, ponieważ na to zasłużył, ale też wiedziałem, że zachowywanie chłodu na dłuższą metę okaże się za trudnym zadaniem wobec jego ciągłego ożywienia. Ostatecznie zdecydowałem, że poddam się pierwszemu uczuciu, które mnie ogarnie.

Rozpakowaliśmy z Tomem torby na stole kuchennym i ruszyliśmy do sypialni. Pierwszym uczuciem, które zarejestrował mój wewnętrzny radar na widok Andy'ego, było całkowite i bezgraniczne zaskoczenie oraz wstrząs. W całej pełni dotarła do mnie słuszność uwagi Toma, że z Andym wszystko jest możliwe, ponieważ obok naszego trudnego kolegi, w koszulce, dżinsowej spódnicy i klapkach - zupełnie, jakby udawała się właśnie na plażę - stała Lisa.

MÓGLBYŚ MI NASMAROWAĆ PLECY, SKARBIE?

Andy nie wyglądałby na bardziej zadowolonego z siebie, nawet gdyby wygrał w lotto.

- Jak tam, chłopaki? - oznajmił radośnie, kiedy staliśmy z rozdziawionymi gębami. - Nie stójcie tak jak dwaj idioci. Jak witacie damę?

- Ojej, Andy - powiedziała Lisa, kiedy do niej dotarło nasze zaskoczenie.

- Jak mogłeś im nie powiedzieć, że przyjeżdżam?

- A co by w tym było zabawnego?

- Ale obiecałeś mi, że najpierw im wszystko wyjaśnisz. Nic dziwnego, że patrzą na mnie jak na anomalie. Bardzo was przepraszam, chłopaki. Zrozumieć macie całkowicie, jeśli będziecie chcieli, żebym się zatrzymała gdzie indziej.

- Absolutnie chcemy, żebyś została tutaj - powiedziałem w końcu, odżywszy głosem. - Po prostu... no... trochę jesteście zaskoczeni moim widokiem i tyle. Nie zrozum tego opacznie... ale skąd ty się tu wzięłaś?

- Wczoraj rano Andy zadzwonił do mnie ni stąd, ni zowąd i powiedział, że tęskni za mną tak bardzo, że kupił przez Internet tani lot na Kretę - wyjaśniła Lisa, patrząc spode łba na Andy'ego. - Jeden telefon do pracy ze zgłoszeniem zatrucia pokarmowego, poranna podróż na Gatwick i oto jestem.

Musiałem oddać Andy'emu sprawiedliwość. Zaproszenie Lisy na Kretę było majstersztykiem myśli strategicznej. Doskonale rozwiązanie korzystne dla obu stron. Miał swój ubaw przez pierwszą część tygodnia, a teraz jedynym ruchem rozwiał jej obawy i jednocześnie zagwarantował sobie tonę punktów w konkursie na doskonałego narzeczonego. To było naprawdę

genialne. Całkowicie genialne. I pewnie nagrodziłbym go owacjami na stojąco, gdybym na skutek jego poczynań nie poczuł się jak ostatnia świnia. Skąd mu przyszło do głowy, że może posunąć się do tak jawnego oszustwa i nie zostanie obarczony winą? Najwyraźniej nie znał znaczenia tego słowa. Ja jednak znałem i dzięki niemu poczułem się zobowiązany przejąć od niego ciężar winy za oszukiwanie Lisy, jak również dźwigać ciężar własnej winy za ukrywanie przed nią tego faktu.

- Nieważne, jak się tu dostałaś - uściskałem Lisę. - I tak to cudownie.

- Bardzo miło, że tak mówisz - powiedziała. - Nawet jeśli myślisz inaczej. Wiem, że to z założenia miały być męskie wakacje, a ja teraz pomieszałam wam szyki. Obiecuję, że postaram się was nie krępować.

- Słuchaj, Liso - rzekł Tom z szerokim uśmiechem, również witając ją serdecznym uściskiem - płasaliśmy tu jak banda rencistów. Twoja obecność może nam przynieść tylko korzyści, wierz mi.

- No dobra - powiedział Andy, jakby nie miał żadnych trosk. - Kto idzie na plażę?

- Cudowna propozycja - Tom wymienił ze mną czujne spojrzenie. - Chętnie posiedziałbym na plaży.

- Ja również - odparłem, reagując na spojrzenie Toma. - Będę miał szansę podgonić *Kod Leonarda da Vinci*.

Kiedy podążaliśmy na plażę, pomiędzy nami dawało się wyczuć pewne napięcie. Lisa najwyraźniej uświadamiała sobie, że wtarałaniła się nam bez zaproszenia na wakacje. Tom wydawał się podenerwowany, bo choć nie chciał się angażować, teraz został wciągnięty w pilnowanie przed Lisą tajemnicy Andy'ego. A ja się denerwowałem, bo nie tylko obiecałem, że będę trzymać Andy'ego w ryzach, i zawiodłem, lecz w dodatku miałem własne powody do skrępowania w obecności Lisy, ze względu na naszą ostatnią rozmowę telefoniczną. Jedyną pośród nas osobą, która wydawała się odprężona, był Andy.

Z powodu wszystkich tych lęków, staraliśmy się rozmawiać raczej jako grupa, niż dzielić się na naturalne pary. Ale po drodze na plażę kłębiło się tyle ludzi, że nie dało się iść czwórka. W pewnym punkcie nieopodal Stars and Bars chodnik stał się tak zatłoczony, że Tom i Andy odłączyli się i jakiś czas szedłem sam obok Lisy. Nie chciałem z nią rozmawiać o zleconej misji ani też o ciąży Sary, więc kiedy otworzyła usta, by coś powiedzieć, zacząłem udawać szaleńczy kaszel, jednocześnie przyspieszając kroku, by dołączyć do reszty. Kiedy się to zdarzyło ponownie kilka metrów dalej, musiałem udawać, że mam kamyk w bucie. A jeszcze kilka metrów dalej sam zagałęm rozmowę na obojętne tematy, które nie mogły być odczytane jako osobiste. Były to najmniej subtelne metody, jakie mogłem zastosować, by trzymać Lisę na dystans - wyjąwszy pozyskanie megafonu i wykrzykiwanie zdania „Nie zbliżaj się ani o krok!” - ale przynajmniej spełniały swoje zadanie.

Jak zwykle na plaży gęsto się kłębili młodzi miłośnicy słońca. O ile jednak wcześniej czuliśmy się jak intruzi w świecie młodości i piękna, w towarzystwie Lisy odnosiliśmy wrażenie, że mamy takie samo jak wszyscy prawo pobytu tutaj. Chociaż nasza trzydziestojednoletnia koleżanka prawdopodobnie należała do najstarszych kobiet na plaży - o ile nie była po prostu najstarszą - wyglądała na co najmniej pięć lat młodszą i miała ciało, które potwierdzało to wrażenie. Nagle z grupki smutnych trzydziestoparolatków spędzających cały dzień z nosami przyklejonymi do witryny sklepu z łakociami staliśmy się trzydziestoparolatkami, z których każdy miał szansę być uznanym za chłopaka Lisy. Więcej nie mógłbym sobie zamarzyć. I kiedy podążaliśmy przez piasek w stronę leżaków, widziałem bandy młodszych koleśki, którzy wyciągali szyje, by lepiej widzieć wspaniałą figurę Lisy. Naprawdę ledwie się powstrzymywałem, by nie odwrócić się do nich, z tymi muskularnymi ciałami, doskonałą opalenizną i głupimi młodzieńczymi fryzurami, i nie kopnąć im piaskiem w twarz.

Zestawiwszy cztery wolne leżaki, rozbiliśmy obóz popołudniowy. Pierwszy położył się Andy, a Lisa zajęła miejsce obok niego. W tym momencie

Tom spojrział na Lisę, a potem na mnie, jakby chciał powiedzieć „Znasz ją lepiej niż ja”, więc wystąpiłem do przodu, by spocząć obok niej, a Tom osunął się na końcu.

- Tu jest fantastycznie - powiedziała Lisa, kiedy się rozebrała do stroju kąpielowego. - Szkoda, że Andy nie zaprosił mnie wcześniej.

- Wiem, o czym mówisz - odparłem, zza zasłony okularów przeciwsłonecznych przyglądając się doskonalej, odzianej w bikini figurze dziewczyny mojego przyjaciela, a potem natychmiast tego żałując. Zamknąłem oczy i próbowałem skasować ten obraz z siatkówek.

- Charlie tak mówi tylko dlatego, że teraz tu jesteś - rzucił Andy figlarnie. - W głębi duszy bardzo mu się podobało męskie towarzystwo. Prawda, Tom?

- Uhm - potwierdził Tom, którego już jak zwykle pochłonął *Rough Guide*. - Zdecydowanie, stary.

- Udało mu się wyrwać jakąś foczkę? - zapytała Lisa, nalewając sobie na dłón niewielką ilość emulsji do opalania.

- Czyżbyś próbowała się wtopić w męskie towarzystwo? - zaśmiał się Andy.

- Nie mówicie już na dziewczyny „foczki”? - zapytała Lisa, wcierając emulsję w ramiona. - Wiem, że to było dawno temu, ale kiedy byłam młoda i wolna, „foczki” bardzo mi się podobały.

- Dla mnie nadal jesteś foczką - wyznał Andy. - Nieprawdaż, Charlie? Lisa nadal ma status foczki, co nie?

- Tak, jasne - przyznałem, krzywiąc się, kiedy potajemnie patrzyłem, jak Lisa wciera emulsję w uda. - Cały czas jest foczką.

- Dzięki, chłopaki - powiedziała Lisa. - To właśnie chciałam usłyszeć. - Odwróciła się do Andy'ego i podała mu emulsję do opalania. - Mógłbyś mi nasmarować plecy, skarbie?

- Nie ma problemu - odrzekł Andy, kiedy Lisa położyła się na brzuchu i sprawnie rozwiązała stanik, odsłaniając pełen powab swoich nagich pleców.

- A więc, Charlie - podjęła, kiedy Andy usiadł na niej okrakiem i wmasowywał emulsję w jej łopatki. - Jaki był ten towar?

- O co ty go pytasz?

- On jedyny tutaj był uprawniony do przetestowania kobiet - uśmiechnęła się szeroko Lisa. - No, Charlie, pamiętaj, że teraz należę do męskiego towarzystwa. Możesz mi powiedzieć wszystko.

- Była... niezła - wydukałem.

- Ognisty facet z niego, szczerze mówiąc - przerwał Andy, który teraz smarował okolice talii Lisy. - Zdołał zarwać już na lotnisku, zanim odebraliśmy bagaże.

- Andy przesadza - odparłem. - Po prostu kiedy czekaliśmy na bagaże, podeszła do mnie dziewczyna... powiedziała, że chce się ze mną spotkać w pewnym barze. To musiał być jakiś kawał, bo się nie pojawiła... to wszystko jest trochę krępujące, naprawdę.

- Bzdury - wtrącił Andy. - Zdecydowanie jej się podobał. Widać było w jej oczach, że ma chętkę na kąsek Mansella. Myślę, że coś się musiało wydarzyć, skoro nie przyszła tamtej nocy.

- Była ładna? - zapytała Lisa.

- Cudowna - odparł Andy, wcierając emulsję w dolną część pleców Lisy. - Jak młoda Naomi Campbell.

- O rany - powiedziała Lisa. - Taki kociak mógłby być właśnie tym, czego ci trzeba, Charlie. Może wpadniemy na nią dzisiaj wieczorem. A skoro o tym mowa, jakie dokładnie mamy plany na wieczór?

Wzruszyłem ramionami i scedowałem pytanie na Toma, trochę żeby oderwać myśli od lśniących pleców Lisy.

- Jak ty uważasz, Tom?

- Ja bym optował za jakimś spokojnym miejscem - odparł. - Nie mam nic przeciwko wyjściu, ale po ostatniej nocy wolałbym zwolnić tempo.

- I z takim czymś muszę właśnie walczyć przez cały wyjazd - powiedział Andy, wstając z pleców Lisy. - Niektórzy ludzie nie zaznają rozrywki, dopóki ona nie ugryzie ich w zadek.

- Ja tam myślę, że Tom ma rację - powiedziała Lisa, próbując zawiązać stanik. - Może powinniśmy się oszczędzać na zieloną noc i urządzić wtedy wielką imprezę? Dzisiaj moglibyśmy wyjść na miły posiłek, a potem się trochę napić i po powrocie pogadać na balkonie. Tam jest tak miło.

- Mnie się ten pomysł podoba - powiedział Tom.

- Myślę, że jest OK - dodał Andy - o ile jutro na pewno wyjdziemy.

Lisa odwróciła się i spojrzała na mnie pytająco.

- A co ty myślisz, Charlie?

- Znakomity pomysł - powiedziałem, chociaż powoli nabierałem podejrzeń, że ten spokojny wieczór będzie obfitować w wydarzenia w stopniu całkowicie nieprzewidzianym. Lisa stanowiła niewiadomą w równaniu, które już teraz dawało mieszankę wybuchową. - Możecie na mnie liczyć.

MOJA MA WYJĄTKOWEGO KOPA!

Minęła już dwudziesta druga i wszyscy siedzieliśmy przy stole na obrośniętym winoroślą tarasie tawerny Stefanos. Była ona ukryta w starszej części Malii, na tyle daleko od gorączkowego tempa głównego deptaka, abyśmy mogli sobie wyobrazić, że jesteśmy gdzieś na wsi. Większość wcześniejszego napięcia zdawała się już ulotnić. Tom rozmawiał z Andym. Andy rozmawiał ze mną. A ja nawet rozmawiałem z Lisą. Wszyscy zdawali się być w dobrych stosunkach, a posiłek, wino oraz rozrywka (w połowie naszego drugiego dania dwóch muzyków z buzuki ubranych w tradycyjne greckie stroje, wyłoniła się z zaplecza restauracji) zbliżyły nas ku sobie jeszcze bardziej.

- To był wyśmienity posiłek - rzekł Tom do Georgiou, właściciela, kiedy ten przyniósł nam rachunek - Wrócilibyśmy na poprawkę, gdyby jutro nie był nasz ostatni wieczór.

- Jeśli jutro przyprowadzicie znowu tę piękną damę - uśmiechnął się Georgiou - dostaniecie darmową butelkę wina. - Bezczelnie mrugnął okiem do Lisy.

- Kusząca oferta - odparła Lisa, całując w policzek Greka, który w trakcie posiłku co chwilę chwalił ją zarówno za urodę, jak i za suknię. - Musimy to przemyśleć.

Trudno było się dziwić Georgiou - mężczyźnie w średnim wieku, ojcu trójki dzieci - że podrywa Lisę, ponieważ ona prezentowała się absolutnie oszałamiająco w czarnej sukni z odsłoniętymi plecami, i na obcasach. Siedząc z nami trzema przy stole, stanowiła doskonałą definicję róży pośród cierni.

- Umarłem i poszedłem do nieba - rzekł Georgiou, omdlewając teatralnie po pocałunku Lisy. - Do którego szczęściarza należy ta dama?

- Oto mój narzeczony - Lisa wskazała Andy'ego. - A ci dwaj przystojniacy to tylko koledzy.

- Cóż, przyjacielu - rzekł Georgiou scenicznym szeptem, pochylając się ku wyraźnie zakłopotanemu Andyemu. - Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jak wielkim jesteś szczęściarzem.

Uspaliśmy stosik euro pośrodku stołu dla pokrycia rachunku, a kiedy Georgiou zgarniał gotówkę, Andy zapytał, czy moglibyśmy kupić na wynos butelkę rakii. Grek natychmiast zawołał do jednej z kelnerek, by przyniosła butelkę.

- Sam ją pędziłem - rzekł, kiedy dziewczyna wróciła z plastikową litrową flaszką przezrzystego płynu. - Robię najlepszą rakię na wyspie. - Dramatycznie wałnął pięścią w stół. - Moja ma wyjątkowego kopa!

- Dobrze wiedzieć - powiedział Andy. - Wyjątkowy kop to właśnie to, czego nam trzeba.

Podziękowaliśmy Grekowi za posiłek i powoli wyszliśmy z tawerny na ulicę.

- Po co kupiłeś tę berbeluchę? - zapytał Tom, kiedy podążaliśmy krętymi bocznymi uliczkami. - Mamy jeszcze trochę piwa w pokoju.

- Ja tego nie tknę - zapewniłem, popierając sprzeciw Toma. - Ten bimber zabija.

- Przestaniecie zrędzić jak stare baby? - zapytał Andy. - To cudowny trunek.

- A co to jest? - włączyła się Lisa, biorąc butelkę z rąk Andy'ego, by przyrzyć się jej dokładnie.

- Piłaś kiedyś ouzo? - zapytał Tom.

- Ostatnio, jak miałam siedemnaście lat, a rodzice wyjechali - odpowiedziała. - Kilka przyjaciółek przyszło dotrzymać mi towarzystwa i sytuacja trochę wymknęła się nam spod kontroli. Wlałyśmy całą flaszkę ouzo, którą moi rodzice przywieźli z wakacji w Atenach, do resztek coli w dwulitrowej butelce i podzieliliśmy to na cztery. - Lisa pokręciła głową zawstydzona. - Niedługo doszli zaproszeni chłopcy, moja przyjaciółka Katie nabyła wielką

malinkę od niejakiego Kevina i wszyscy wylądowaliśmy w łazience rodziców, rzygając na zmianę.

- No - powiedział Tom, śmiejąc się - to jest w zasadzie to samo... tylko mocniejsze.

Lisa spojrzała na Andy'ego.

- Naprawdę musimy to robić?

- Oczywiście - odparł. - To inicjacja. Wiesz równie dobrze jak ja, że na każdych wakacjach trzeba zaliczyć solidnego kaca.

- Jakbyś jeszcze nie miał dość - westchnęła Lisa. - Dobra. Wehodem w to. Tylko dlatego, że nie chcę, żebyś jęczał, że wszystko zepsułam, bo nie dostosowałam się do nastroju. Ale jeśli obudzisz się rano z potężnym bólem głowy, nie przychodź do mnie z płaczem. - Kręcąc głową z dezaprobatą, Lisa dołączyła do Toma, który szedł z przodu. Wzięła go pod ramię i zasypała pytaniami o dzieci, my zaś z Andym musieliśmy iść razem. Żaden z nas nic nie mówił przez długi czas, ale kiedy zatrzymaliśmy się przed przejściem przez ulicę, on przerwał milczenie.

- Słuchaj, brachu - zaczął. - Przepraszam za wczoraj. To, co powiedziałem, było całkowicie nie w porządku.

- Już dobrze - odparłem. - Nie ma o czym mówić.

- Więc zgoda?

- Tak... zgoda.

Znowu zapadła cisza.

- Powiedz mi, od początku wiedziałeś, że ściągniesz tu Lisę?

- Tak - odrzekł Andy. - W zasadzie tak.

- Więc w tych wakacjach nigdy nie chodziło o mnie?

- Oczywiście, że o ciebie. Ale też o mnie.

- I nie czujesz się winny?

- W stosunku do Lisy?

- Oczywiście, że w stosunku do Lisy!

Andy wzruszył ramionami.

- Nie myślę o tym.

- Chyba bardzo się różnimy.

Andy sprawdził, czy Lisa i Tom nas nie usłyszą.

- Dzisiaj dzwoniła do mnie Nina - zaczął cicho. - Powiedziała, że chce dalej się ze mną widywać po moim powrocie.

- Ale ty odmówiłeś, prawda?

Andy pokręcił głową.

- To trudne.

- Co jest trudne?

- Chyba chciałbym ją jeszcze zobaczyć.

- A co z tym wszystkim, co mówiłeś wczoraj?

- Myślę, że mówiłem to bardziej z myślą o sobie niż o tobie.

I znowu zapadła długa cisza.

- Kiedy jestem z Niną... czuję się, jakbym znowu żył.

- A co z Lisą?

- Jej też potrzebuję - odparł. - No mówiłem przecież, że to trudne.

- Popatrz - powiedziałem, wskazując Lisę i Toma przed nami. - Tylko popatrz. Ta piękna kobieta jest twoją narzeczoną. A co więcej, kocha cię. Dlaczego chcesz ryzykować utratę tego wszystkiego?

- Nic bym nie ryzykował - odparł Andy spokojnie. - Ona nigdy się nie dowie. Nina proponuje, żebyśmy się widywali tylko raz na jakiś czas.

- To się wyda.

Andy pokręcił głową.

- Nie, nie wyda się - oznajmił pewnym głosem. - Przemyślałem to.

- Oszustwa zawsze wychodzą na jaw - odparłem. - To odwieczne prawo ludzkości. Zaryzykujesz raz, a potem drugi raz, i jeszcze raz, aż nabierzesz przekonania, że jesteś niepokonany. A potem pewnego dnia zaryzykujesz za bardzo... albo staniesz się nieostrożny... albo znienawidzisz Lisę tak strasznie za to, że cię nie przyłapuje, że nie będzie cię obchodzić, czy się dowie. Ale jakkolwiek to się stanie, prawda wyjdzie na jaw, bo zawsze wychodzi. Tak jak ze mną i Sarą.

Andy stanął i spojrzął na mnie.

- Mówiłeś chyba, że dowiedziałeś się dopiero, jak Sara odeszła.
- To nie była prawda - odrzekłem. - Okłamałem cię, bo nie chciałem wyjść na głupka. A prawda jest taka, że wiedziałem, że Sara mnie zdradza, na długo przed jej odejściem.

- Skąd?

- Pewnego dnia, kiedy wyszła do pracy, przeszukałem jej rzeczy. Wszystko - torebki, ubrania, bieliznę, pamiętnik. Nawet jej komputer. Chciałem znaleźć dowód, który by wyjaśnił, dlaczego tak bardzo się zmieniła w ciągu ostatnich paru miesięcy. Czułem się strasznie. Naprawdę. Jak prawdziwy intruz. Póki czegoś nie znalazłem. To był list od niego, włożony do pustej puderniczki w kosmetyczce. Potwierdził wszystkie moje obawy. I było absolutnie oczywiste, że to nie pierwszy taki list. Musiałem więc postawić sobie pytanie, czym on się różni od pozostałych. Czytałem go tysiące razy i nie mogłem wymyślić, dlaczego go zachowała, skoro najwyraźniej wszystkie poprzednie wyrzuciła. I wtedy to do mnie dotarło... Zatrzymała go, bo myśl o jego zniszczeniu trudniej było jej znieść niż myśl, że mogę go znaleźć. Wtedy pojąłem, że już niedługo mnie zostawi.

- A dlaczego nic nie powiedziałeś? - zapytał Andy. - Czemu jej pozwalałeś, by ci chodziła po głowie?

Mogłem przewidzieć reakcję Andy'ego na wiadomość o liście. Nie rozumiał tego, ponieważ nie mógł zrozumieć. A nie mógł zrozumieć, ponieważ nigdy nie był zakochany.

- Nic nie powiedziałem, bo to tylko przyspieszyłoby jej odejście. Więc poukładałem z powrotem wszystkie jej rzeczy, dokładnie tak jak je zastałem, i zachowywałem się, jakby nic się nie stało. Miesiąc później i tak odeszła. I wiesz co? Nie żałuję, że jej o tym nie powiedziałem, nawet przez sekundę, z powodu, którego nie zrozumiesz - myślę, że nie jesteś w stanie go zrozumieć. Rzecz w tym, że jeśli kogoś kochasz i dowiadujesz się, że twoje dni są policzone, tak bardzo cieszysz się z każdej pozostałej chwili, że nic innego cię nie obchodzi.

DOBRY PRZYJACIELE

Kiedy w końcu dotarliśmy do hotelu, Andy przede wszystkim popędził do szafki kuchennej po naczynia do rakii. Ponieważ nie zdołał znaleźć żadnych kieliszków, przyniósł z balkonu cztery białe kubki z napisem „I♥ Crete”. Ostrożnie wlał do każdego podwójną porcję, rozdał je nam, a my na jego znak wznieśliśmy kubki w górę, po czym wychyliliśmy je jednocześnie. Nasze reakcje były natychmiastowe: oczy Andy'ego zaczęły łzawić, Lisa i ja zakrztusiliśmy się tak silnie, że myślałem, że się udławię, a Tom zgrzytnął zębami jak prawdziwy twardziel i od razu nalał sobie następną kolejkę.

Ten pierwszy drink stanowił dla nas wszystkich punkt zwrotny. Zupełnie jakbyśmy jednogłośnie zdecydowali tej nocy oderwać myśli od swoich rozmaitych osobistych problemów i po prostu dobrze się bawić. I z każdym kolejnym strzałem rakii zabawa wydawała się o wiele łatwiejsza. Zachęceni przez Lisę, Andy, Tom i ja snuliśmy wszystkie swoje ulubione opowieści z przeszłości. Wszystko, odkąd się poznaliśmy pierwszego tygodnia w college'u, przez lata po dyplomie aż do ocenzonego najlepszych momentów naszego pierwszego wieczoru w Malii, ledwie kilka dni temu. Każdy, kto by oglądał tę scenę, uznałby za pewnik, że nie jesteśmy zwykłymi przyjaciółmi, tylko dobrymi przyjaciółmi. Ludźmi, którzy są ważni dla siebie. Ludźmi, którzy się nawzajem kochają.

NOC JEST JESZCZE MŁODA

Niedawno minęła północ, a my piliśmy, paliliśmy i rozmawiali już dobrze ponad godzinę. Andy siedział na jednym z krzeseł balkonowych z Lisą na kolanach, Tom - na drugim krześle z nagimi stopami opartymi na kolanach Lisy, a ja - po turecku na stole, wodząc wzrokiem po moich przyjaciółach i szczerząc się jak krety. Był to jeden z tych momentów, kiedy człowiek naprawdę czuje, że ma wakacje.

- Nikt mi nie zarzuci, że nie umiem się przyznać do błędu - wybełkotałem pijacko do Andy'ego. - Miałeś absolutną rację co do rakii, stary. Ona jest bezbłędna.

- Nie musisz mi tego mówić - rzekł Andy. - Przez ostatnie pół godziny nie mogę wyjść z podziwu, że Tom potrafi być taki rozrywkowy, kiedy się urżnie.

Tom wznosił kubek.

- A ty, mój drogi, z każdą kolejką stajesz się mniej obrzydliwy. - Podszedł do mnie i uraczył mnie pijackim uściskiem.

- Idę do łóżka - obwieścił, po kolei uściskał Lisę i Andy'ego, a następnie odsunął drzwi balkonu i zniknął w środku.

- No to została nas trójka - podsumował Andy, dzieląc resztę trunku.

- Jak nam się udało wypić już całą butelkę? - zapytała Lisa, wpatrując się rozczarowana w dno swego kubka.

- Może to znak, że czas ogłosić ciszę nocną - zasugerowałem, świadom faktu, że to druga noc pod rząd, kiedy się urżnąłem w trupa. - Może powinniśmy przestać, póki trzymamy się na nogach.

- Nie będzie żadnego przestawania - zdecydował Andy.

- Noc jest jeszcze młoda. Nic się nie martw, dla zdrowotności skoczę po

rakiję i szlugi, bo chyba wykończyliśmy bensonny. Wróć za dziesięć... góra za piętnaście minut.

- Nie, stary, nie - błagałem, zdając sobie sprawę, że im więcej rakii, tym mniejsze szanse, że ktokolwiek z nas trafi do łóżka przed świtem.

- Za późno - Andy wstał. - Wróć, zanim się zorientujecie, że wyszedłem.

W swoim otumanionym rakiją mózgu dokonałem szybkiego obrachunku: jeden Tom (który leży już w łóżku) minus Andy (który idzie po wódkę i szlugi) plus ja i Linda równa się możliwość krępującej rozmowy (lub dwóch). Nie chciałem, żeby do tego doszło, zwłaszcza że alkohol już i tak bardzo rozwiązał mi język.

- Idę z tobą - oznajmiłem, próbując stanąć na nogach.

- Dotrzymam ci towarzystwa.

- Ej, ty, Mansell! - krzyknęła Lisa w udawanym gniewie. - Można by pomyśleć, że boisz się zostać ze mną sam na sam.

- Niczego się nie boję - zełgałem. - Chciałem się tylko przejść. Możesz iść z nami, jeśli chcesz.

- Nie ma mowy - krzyknęła Lisa. - Nawet na trzeźwo ciężko się chodzi na tych obcasach, a co dopiero w tym stanie. Nie, zostaję tutaj, a ty zostajesz ze mną.

- Zostań - powiedział Andy. - Za chwilę wróć. - Poklepał się po kieszeniach, jakby czegoś szukał. - Widzieliście moje klucze?

Lisa pokręciła głową.

- Musiałeś je mieć wcześniej, bo ty nas wszystkich wpuszczałeś do środka.

- Gdzieś muszą być, ale teraz nie będę ich szukał. Zadzwoń do was z komórki, kiedy wróć, a wy mnie wpuściecie, dobra? - Pochylił się nad Lindą i pocałował ją w usta. - Aha, i przypilnuj, żeby on nie uciekł do łóżka, dobra?

Lisa kiwnęła głową.

- Postaram się.

- No dobra - rzekł Andy, odsuwając drzwi balkonowe.

- To wy bądźcie grzeczni, a ja wróćę szybko.

POKAŻ MI, JAK TO SIĘ ROBI

- Powiedz mi coś, czego nie wiem - Lisa odwróciła się do mnie z uśmiechem, kiedy usiadłem na krześle obok niej.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - odparłem. - O czym mam ci powiedzieć coś, czego nie wiesz?

- O sobie. Powiedz mi coś, czego nie wiem o tobie.

Byłem zmieszany.

- Ale dlaczego chcesz, żebym to zrobił?

- Bo jeśli tego nie zrobisz, to będziemy musieli siedzieć tu i znosić pieprzone niezręczne milczenie. Daj spokój, Charlie, odkąd przyjechałam, starasz się mnie unikać.

- O czym ty mówisz? Nic takiego nie robię.

- Ach, więc to nie ty chwytasz się rozpaczliwie nogi Andyego, wołając „Nie zostawiaj mnie samego z tą kobietą!”? Wiem, dlaczego to robisz. Ostatnia nasza rozmowa była straszna. Czuję się z tym okropnie, naprawdę. I wiem, jacy jesteście wy, faceci... wszyscy nie znosicie rozmawiać o kłopotliwych sprawach. Wolelibyście odrąbać sobie głowę, niż gadać o tym, co czujecie. Ale tak czy owak, Charlie, musimy pogadać o tych rzeczach, bo ja tego potrzebuję... choćby po to, by przeprosić za swój udział. Więc na początek pomyślałam, że cię rozgrzeję - że tak powiem - lżejszą rozmową.

- Taką, że ci powiem o sobie coś, czego nie wiesz?

- W ogóle cokolwiek - odparła Lisa. - Pierwszą rzecz, która ci przyjdzie do głowy.

- Jestem beznadziejny w takich zabawach - wyjaśniłem. - Nic mi w ogóle do głowy nie przychodzi. Kompletna pustka.

- To druga męska bzdura, którą powiedziałeś w ciągu kilku minut - zauważyła Lisa. - Myślałam, że jesteś lepszy.

- No więc skoro to takie łatwe, to pokaż mi, jak to się robi.

Lisa się roześmiała.

- Tu mnie masz. Nie wiesz o mnie miliona rzeczy. Jak mam wybrać tylko jedną, żebyś nie wyciągnął z niej zbyt daleko idących wniosków?

- Właśnie o to mi chodziło.

Lisa upiła rakii.

- Dobra, proszę bardzo. Kiedy miałam dwanaście lat, rodzice kupili mi na urodziny „Dziewczęcy świat”. Wiesz, co to jest?

- Siostra mojego najlepszego kumpla to miała - odpowiedziałem. - To taka głowa manekina sklepowego, na której masz się uczyć czesania i makijażu.

- Właśnie tak - powiedziała Lisa. - Więc przynajmniej wiesz, co to takiego... ponieważ moje wyznanie jest naprawdę nieco wstrząsające... Oto wyznaję przed tobą, że używałam tej głowy do nauki francuskiego pocałunku.

- Ale ta głowa nawet nie ma języka.

- Wiem, wiem - Lisa ze wstydu na chwilę schowała twarz w moim ramieniu.

- I całe to ćwiczenie uczyniło cię mistrzynią francuskiego pocałunku?

Lisa roześmiała się beczelnie.

- Nigdy nie odebrałam żadnych skarg ani zażaleń, jeśli chcesz wiedzieć.

- No dobra - powiedziałem, dopijając rakiję. - Więc musiałbym znaleźć jakieś wyznanie, które byłoby równie dobre jak mizianie się z plastikową głową?

Lisa przytaknęła.

- Obawiam się, że nic takiego nie mam.

- Nic?

- Nic, absolutnie. Zdobyłaś tytuł mistrzowski za najlepsze wyznania dnia, deklasując przeciwników opowieścią z „Dziewczęcym światem”. Ale jeśli chcesz, możesz mnie uważać za rozgrzanego.

Zapadła długa cisza.

- Ja tylko chcę, żebyś naprawdę wiedział, że bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało - powiedziała Lisa cicho. - Nie umiem wyrazić, jak żałuję, że nie trzymałam gęby na kłódkę. Nie powinieneś być nigdy wysłuchać takich wieści w taki sposób. Kiedy się rozłączyłeś, próbowałam się dodzwonić do Andy'ego, ale on nie odbierał. Nie mogłam w nocy spać od myślenia o tobie i o tym, co zrobiłam. Naprawdę się o ciebie martwiłam.

- Niepotrzebnie - odparłem. - Nic mi nie było.

- A teraz?

- Nadal nic mi nie jest. Prawdę mówiąc, to była chyba najlepsza rzecz, jaka mogła mi się przydarzyć, ponieważ zmusiła mnie, żebym zrobił coś, z czym nie mogłem sobie poradzić: a mianowicie skończyłem z tym.

Lisa wyciągnęła rękę i dotknęła mojej.

- Chcesz mi powiedzieć, że wciąż kochałeś Sarę?

- Nie wiem, co chcę powiedzieć - odparłem, czując ciepło jej dotyku. - Jeśli jesteś z kimś tak długo, jak ja byłem z Sarą, ciężko określić, kiedy miłość przestaje być miłością, a staje się przyzwyczajeniem. W każdym razie to tak naprawdę nie ma znaczenia. Ona zdecydowanie z tym skończyła. I ja również.

- Nawet nie masz pojęcia, jaka byłem wstrząśnięta, kiedy mi powiedziała - ciągnęła Lisa, wciąż dotykając mojej dłoni.

- Byli z Oliverem ledwie pięć minut. - Przerwała i dodała:

- Nie jestem pewna, czy powinnam ci to mówić, ale w pewnym momencie ona w zasadzie pytała mnie, czy powinna urodzić to dziecko.

- I co powiedziałaś?

- A co miałam powiedzieć? - odparła Lisa. - Powiedziałam, że musi zrobić to, co uważa za właściwe.

Na chwilę zaniemówiłem, wpatrywałem się więc tylko w dno swojego kubka w próżnej nadziei, że zdoła się on sam napełnić. Ale na dnie dojrzałem tylko zmianę tematu.

- To musi być dla ciebie dziwne - powiedziałem, spoglądając w stronę morza. - Wczoraj byłaś w zimnym Brighton, dzisiaj jesteś na słonecznej Krecie.

- Ten wyjazd to coś cudownego - odparła Lisa. - Uwielbiam każdą jego sekundę. Pewnie wychodzi na to, że ciągle tylko przepraszam, ale naprawdę mi przykro, że zepsułam ci wakacje. Nie dość, że dzwoniłam do ciebie i pisałam SMS-y o Andym, to w końcu przyjechałam dopilnować psucia osobiście.

- Nic nie psujesz. Odkąd przyjechałaś, zrobiło się zupełnie wyjątkowo.

Lisa uściśniła moją rękę.

- Miło, że tak mówisz.

- Stwierdzam tylko fakt. - W głębi duszy chciałem, żeby Lisa nie puszczała mojej ręki. - Jak tam sprawy między tobą a Andym, odkąd przyjechałaś?

- Chyba dobrze - odparła. - To śmieszne, ale kiedy powiedział mi, że kupił dla mnie bilet, to przede wszystkim pomyślałam, że próbuje mi coś zrekompensować. To okropne, prawda?

Na chwilę oboje zamilkliśmy i tylko wpatrywaliśmy się w morze, gdzie w oddali przepływały statki. Pod nami słychać było grupkę dziewcząt - stukot ich obcasów i śmiech - przechodzących koło basenu.

- No a co z tą dziewczyną, którą poznałeś na lotnisku? - zapytała Lisa figlarnym tonem. - Dziewczyną w kowbojskim kapeluszu? Andy powiedział, że to prawdziwa ślicznotka.

- Owszem i teraz pewnie podrywa ją jakiś wysoki, ciemny, przystojny dwudziestoletni murarz o mięśniach brzucha ze stali.

Lisa uśmiechnęła się szeroko.

- Mięśniach brzucha ze stali, powiadasz?

- Tak.

- A osobowość?

- Ceglanego domu.

- Ale ma mięśnie brzucha ze stali?

- Stali pokrytej lśniącym brązem.
- A ty? - zapytała Lisa, strojąc minę.
- Mięśnie brzucha nie tyle ze stali, co z budynku.
- Ale wspomniała osobowość.
- Na pewno mogę powiedzieć dowcip, jeśli to masz na myśli. Dwie rybki wchodzi do baru...

- To nie było pytanie - odparła Lisa, przerywając mi z uśmiechem. - To było stwierdzenie. I jeszcze potrafisz rozmawiać przez telefon, nie pomrukując, potrafisz słuchać, zwłaszcza jeśli osoba po drugiej stronie zalewa się łzami... a na domiar wszystkiego dzięki tobie niepewne dziewczyny czują się trochę mniej niepewne, kiedy ich beznadziejni narzeczeni decydują się wyjechać na wakacje w męskim gronie. Ty tego nie wiesz, ale zawsze mówiłam Andy'emu, że naprawdę będziesz dla jakiejś dziewczyny doskonałym narzeczoną.

- Mocno w to wątpię.
- Z powodu Sary?
- Nie - odparłem. - Z powodu... ach, nieważne.
- Czy to jest związane z tą inną dziewczyną, którą tu poznałeś? Z Donna?
- A mówią, że kobiety to największe plotkary! Co on ci dokładnie powiedział?

- Cóż, biorę poprawkę, że wszystko przeszło przez filtry Andy'ego, ale powiedział, że miała z nią coś w rodzaju intensywnej, dwudziestoczworgodzinnej przygody, ale nic z tego nie wyszło.

- No to z grubsza tak wygląda.
- Założę się, że nie.
- Ona wciąż dochodzi do siebie po byłym mężu.
- To spora przeszkoda, przyznaję, ale niekoniecznie niepokonana.
- Powiedziała, że z wakacyjnych przygód nigdy nic nie wychodzi... może miała rację. W końcu teoretycznie to właśnie łączyło Sarę i mnie.

- Może coś z nich wychodzi, a może nie - odparła Lisa - ale póki trwają, można się nieźle bawić.

Kiedy słowa Lisy odbiły się echem w mojej głowie, zdałem sobie sprawę, że to co się wydarzy, jest w pewien sposób nieuniknione. Jakby wszystko w tamtym tygodniu sprzysięgło się, by doprowadzić do tego właśnie momentu. Wszystko, od naszego uścisku w kuchni, poprzez zażyłość naszych SMS-ów, po wiadomość o ciąży Sary, w efekcie zbliżało nas do siebie. Ale to Andy osobiście ostatecznie nas połączył, przez swoją przyjaźń i przez swoje kłamstwa.

Dotknąłem twarzy Lisy obiema dłońmi, a ona się nie wzbraniała. Przez chwilę się wahałem, mówiąc sobie, że to co robię, jest złe. Ale zanim zdołałem się wycofać, przypomniałem sobie odpowiedź Andy'ego, kiedy mówiłem mu, żeby nie spotykał się z Niną: „Nic bym nie ryzykował”. Był tak pewien swoich szans, że zapragnąłem się dowiedzieć, jak to jest - ryzykować. Tak jak ryzykował Andy. Tak jak też ryzykowała Sara. I w tym właśnie momencie myśli zamieniły się w czyny.

Dzień szósty: Sobota

WIADOMOŚCI PORANNE BBC

Na ogół kiedy się budzę rano, pierwsza rzecz, którą sobie uświadamiam, to silne poczucie *déjà vu*, moim zdaniem po prostu oczywiste, ponieważ większość poranków niczym się od siebie nie różni. Włącza się budzik, ja wychodzę z łóżka i biorę prysznic. Ociekając wodą na podłogę łazienki, gołę się niedokładnie przed zaparowanym lustrem, a potem wracam do sypialni i tam w końcu wycieram się do sucha i wkładam bieliznę. Ubrany tylko w bokserki, wyciągam deskę i przystępuję do prasowania jednej z moich pięciu szarych koszul roboczych, które uprałem w weekend. Wkładam koszulę, wciąż ciepłą od żelazka, potem szybko szary roboczy garnitur, a następnie kieruję się do kuchni, gdzie robię sobie miskę płatków (zazwyczaj kukurydzianych, ale od czasu do czasu muesli - mam na nie chętkę, odkąd Sara się wyprowadziła). Zjadam płatki, oglądając wiadomości poranne BBC, po czym wracam do kuchni, wsuwam dwie grzanki do tosterka, a czekając, aż się upieką, wyciągam margarynę z lodówki. Czając się w salonie, dalej oglądam telewizję, póki nie usłyszę, że grzanki wyskakują, a wtedy wracam do kuchni. Po mniej więcej szesnastu gryzach śniadanie dobiega końca, a wtedy wkładam buty, chwytam płaszcz i wychodzę. Czasami wydaje mi się, że nienawidzę tej rutyny. Przez nią czuję się znudzony. Od czasu do czasu wprowadzam więc jakąś odmianę (prasuję koszulę poprzedniego wieczoru albo kupuję inne płatki, albo oglądam GMTV) i czuję się cudownie. Wręcz tryskam energią. Ale choćby nie wiadomo co, już następnego dnia wracam do swojej normalnej rutyny bez żadnych odchyłeń ani odmian. Zupełnie jakby ten wcześniejszy dzień nigdy się nie wydarzył.

I tak właśnie się czułem, kiedy się obudziłem nazajutrz po przepełnionej rakiją nocy.

Wpatrując się w ciemny sufit, nastawiłem uszu, słuchając odgłosów dobiegających z zewnątrz: wody rozpryskiwanej w basenie hotelowym, śmiechu innych wczasowiczów i elektronicznego sygnału ostrzegawczego cofających się ciężarówek. Leżąc tak wśród tych znajomych dźwięków kłębiących się dookoła, pomyślałem sobie: „To tylko zwykły dzień. Jak wczoraj i przedwczoraj” i na kilka chwil ogarnęło mnie prawdziwe poczucie ulgi. Dręczące poczucie zakłopotania było nieporozumieniem. Mdlące poczucie w dolku - pomyłką. Nawet się uśmiechnąłem do klimatyzatora, kiedy stwierdziłem, że znowu na całą noc został nastawiony na maksimum.

I ponieważ nieprzyjemne wrażenia okazały się nieporozumieniem, a wszystko było dobrze, uznałem, że dzisiejszy dzień będzie taki sam jak wszystkie dotychczasowe dni wakacji. Wstaniemy. Zjemy śniadanie. Wyprawimy się na plażę. Wieczorem wyjdziemy, urzniemy się i padniemy do łóżek nad ranem. Wszystko było przewidywalne. Wszystko było pewne.

Właśnie kiedy wreszcie pozwoliłem sobie na luksus odprężenia, coś - zapewne moje rosnące w szybkim tempie poczucie winy - kazało mi odwrócić głowę w stronę łóżka Andy'ego, na którym twardo spał wraz z Lisą, i w tym właśnie momencie poczułem, że to na pewno nie będzie taki dzień, jak wszystkie pozostałe. To będzie dzień na kacu. I to na największym kacu mojego życia.

Nie chcąc (czy też nie mogąc) myśleć jeszcze zbyt intensywnie, wylazłem z łóżka i cicho się ubrałem w swój zwykły wakacyjny strój składający się z szortów i T-shirta. Chwytając okulary przeciwsłoneczne i kluczyki do wynajętego wozu, przeszedłem z sypialni do kuchni. Tom powiercił się chwilę na kanapie, ale szybko zasnął z powrotem. Jak najciszej otworzyłem drzwi wejściowe, wyszedłem na jasne poranne światło i ruszyłem na dół.

Przede wszystkim musiałem sobie odpowiedzieć na pytanie, dokąd iść. Najpierw pomyślałem, rzecz jasna, o plaży, ale jej atrakcyjność zbladła, kiedy wyobraziłem sobie, że jest wypełniona zwyczajną klientelą flirtującą na tle głośnej muzyki. Oczywiście, teraz miałem transport i mogłem się udać w dowolne miejsce. I tak, nie przemyślawszy ostatecznego celu podróży, poszedłem do samochodu, odpaliłem go i włączyłem się do ruchu, jadąc w stronę skrzyżowania w Malii.

Jedyną poradą służyły mi drogowskazy, ale wiedziałem, że muszę podjąć decyzję. Pośród znaków kierujących do pobliskich miasteczek i szos jeden miał dodatkowy symbol atrakcji turystycznej i napis o treści „Pałac Malia, 3 km”. Nie miałem pojęcia, co to jest pałac Malia, ponieważ jakoś sobie nie wyobrażałem, że Malia kiedykolwiek, nawet w czasach starożytnych, była czymś innym niż nocnym klubem na świeżym powietrzu. Cokolwiek to było, uznałem, że ten cel podróży jest równie dobry jak każdy inny, podążyłem więc za drogowskazami.

Dotarłem tam błyskawicznie. Wsiadłem z samochodu i przede wszystkim zauważyłem natężenie światła słonecznego. Pomimo stosunkowo wczesnej pory temperatura była już tak wysoka, że asfalt na parkingu zaczął się topić i jakby lepić do nóg.

Zamknąłem samochód i udałem się dróżką do wejścia, gdzie na tablicy widniał napis: „Witamy w pałacu Malia, minojskim skarbie”. Zerkając przez ogrodzenie, dostrzegłem rozmaite bryły piaskowca. Obok tablicy starsza pani w słomkowym kapeluszu siedziała na krześle i czytała książkę. Zapytałem, ile kosztuje wejście, a ona powiedziała coś po grecku i wskazała na drzwi kilka metrów dalej.

Wewnątrz pomieszczenia z jakąś literaturą o pałacu znajdowała się kasa biletowa. Ponieważ nikogo tam nie było, wcisnąłem dzwonek umieszczony na ladzie. Niemal natychmiast zjawiała się mała kobieta z radosnym uśmiechem i sprzedała mi bilet, który na zewnątrz podałem kobiecie na krześle.

Mruknęła przy tym coś po grecku i wskazała mi kierunek do budynku za sobą.

Była to część stałej wystawy, opowiadającej historię wykopalisk w miejscu pałacu. Na ścianie wisiały wielkie czarno-białe fotografie z początku dwudziestego wieku, a z plaketek pod nimi dowiedziałem się, że pierwszy pałac w Malii zbudowali Minojczycy w XX wieku przed naszą erą, ale już dwieście lat później został on zniszczony. Potem został odbudowany, a potem znowu zniszczony, aż w 1450 roku przed naszą erą odbudowano go po raz ostatni.

Ta ostatnia wersja musiała być najbardziej imponująca. Kiedy zgodnie z wyznaczoną trasą zwiedzania podążyłem przez łuk do dołączonego pomieszczenia, znalazłem na stole, pod wielką szklaną płytą model pałacu. Wyglądał jak planowane centra handlowe i osiedla mieszkaniowe, które widywałem w pracy, zanim wszystko zaczęło powstawać w komputerze. Stałem dość długo, wyobrażając sobie miniaturowych Minojczyków wiodących swoje codzienne życie. Smutna była świadomość, że wszyscy ludzie, którzy kiedyś mieszkali w pałacu, teraz już nie żyją. I jednocześnie było to surowe przypomnienie, jak bardzo sprawy mogą się zmienić w stosunkowo krótkim czasie.

Wyposażony w wiedzę o Minojczykach, udałem się do wyjścia, wyszedłem na zewnątrz i zacząłem ociekać potem. W krótkim czasie, kiedy nie byłem na słońcu, temperatura powietrza w zawrotnym tempie urosła do nieznośnych rozmiarów. Zdając sobie sprawę, że mogę umrzeć z odwodnienia, starłem lśniący pot z czoła i zacząłem z powagą się rozglądać po ruinach pałacu. Patrzyłem na szczątki podwórek i piwnic. Zapuszczałem się do warsztatów i pomieszczeń mieszkalnych. I gdzieś w okolicy Dziedzińca Wieży uznałem, że może nadszedł czas, by spojrzeć na ruinę mojego własnego życia.

Dotarłszy do wielkiej bryły piaskowca, o wielkim zapewne archeologicznym

znaczeniu, skorzystałem ze sposobności, by ulżyć swoim stopom, i usiadłem. Kiedy słońce prażyło moją czaszkę, odetchnąłem głęboko i z wielką ulgą w końcu wypuściłem na wolność stłamszoną w moim wnętrzu winę.

ZA GORĄCE LETNIE NOCE

Pocałunek na balkonie. Tak to się właśnie zaczęło. Ale skończyło się zupełnie inaczej. Chociaż w tamtym momencie przestaliśmy rozmawiać, w moim umyśle nie było wątpliwości co do tego, jak daleko zamierzamy się posunąć. Poczucie winy nawet nie zamajaczyło na horyzoncie, kiedy pokonywaliśmy krótką odległość z balkonu do mojego łóżka.

Wszystko, co się wydarzyło, kiedy tam dotarliśmy, zginęło w mgłę sensorycznego przeciążenia. (Chociaż później tej nocy, kiedy Lisa z Andym spali spokojnie w swoim łóżku, zdołałem przypomnieć sobie doskonale poczucie pośpiechu, które ogarnęło mnie w tamtym momencie, poczynania z niego wynikiłe zbladły zbyt szybko, by pozostawić trwałe wrażenie. To była chwila w chwili. To było wszystko i nic).

Po wszystkim, kiedy wyswobodziliśmy swoje ciała i uporządkowaliśmy ubrania, stwierdziłem, że czekam na nieuniknione poczucie żalu. W końcu właśnie przespałem się z narzeczoną swojego najlepszego przyjaciela. Ale nic się nie pojawiło. A im dłużej o tym myślałem, tym bardziej dochodziłem do wniosku, że może chodzi po prostu o to, że nie żałuję. Abstrahując od przyczyny, co się stało, to się nie odstanie. Wydarzenia już nastąpiły. I choćbyśmy nie wiadomo jak się starali zatrzeć ślady po swoich występkach, w świecie, który zamieszkiwaliśmy, zmieniło się coś fundamentalnego i nigdy już nie wróci do pierwotnego stanu, bez względu na to, jak bardzo będziemy poprawiać pościel na moim łóżku, wygładzać ubrania i ścierać rozmazany makijaż.

Napięcie było nie do zniesienia. Każde puknięcie, skrzypnięcie, trzask albo jęk infrastruktury hotelu przyprawiało mnie o zawal serca, nawet kiedy

już byliśmy gotowi na powrót Andy'ego. A w miarę jak mijały minuty, i rosła odległość pomiędzy naszą wspólną chwilą a obecnym stanem gotowości, stawaliśmy się bardziej zdenerwowani zamiast mniej. Niemal wołałbym, by wrócił i wyczuł, że coś się stało, zamiast czekać na jego powrót i uniknąć konsekwencji swoich poczynań. Nie chciałem natomiast - nie mogłem znieść - czekania. Ta niepewność, czy moja zdrada wyjdzie na jaw, była prawdziwą udręką.

Kiedy Andy w końcu zadzwonił, by dać nam znać, że wrócił, byłem przekonany, że o ile jego zmysłów nie stępiła rakija, to zgadnie od razu, że coś jest nie tak. W moich teraz już trzeźwych oczach wszystko, co było świadkiem naszego występkę, emitowało opary winy, którą mógł zobaczyć tylko trzeźwy. Cały pokój wydawał się upiornie złowieszczy, jak miejsce zbrodni długo po usunięciu ciała.

- Zwycięstwo - obwieścił Andy, podnosząc nie jedną, lecz dwie butelki rakii. - Przepraszam, że to trwało tak długo, kotki chrobotki. W drodze ze sklepu wpadłem na barmana Steve'a, pogadaliśmy i postawiłem mu piwo.

Andy odstawił butelki, zsunął nasze kubki razem, nalał podwójną porcję do każdego i rozdał je.

- Za gorące letnie noce - powiedział, podnosząc kubek w górę. - Niech ich będzie jak najwięcej.

Zostaliśmy w trójkę na balkonie jeszcze mniej więcej godzinę, i w tym czasie zadziwiłem sam siebie, zachowując spokój w tak bezładnej sytuacji. Dworowałem sobie kosztem Andy'ego, rozmawiałem z Lisą o jakichś codziennych sprawach i cały czas spokojnie oddychałem. Krótko mówiąc, zachowywałem się, jakby nic się nie wydarzyło. Ale w miarę upływu nocy zdałem sobie sprawę, że moja zdolność do oszukiwania Andy'ego wypływa nie tyle z talentów aktorskich, co ze strachu przed odkryciem. Po prostu nie mogłem do tego dopuścić. Zdradziłem swojego najlepszego przyjaciela w najbardziej okrutny sposób. Jeśli więc to oznaczało, że muszę sypać kawałami,

jeśli to oznaczało, że muszę rozmawiać o niczym z Lisą, i bezdusznie zachowywać się, jakbym nie popełnił właśnie zbrodni stulecia, to właśnie to będę robić.

Przed wszystkim jednak, kiedy umilaliśmy sobie czas pozostały do poranka, mój umysł koncentrował się na dwóch pytaniach: dlaczego Lisa zrobiła to, co zrobiła? A co ważniejsze: dokąd nas to zaprowadzi?

ABSOLUTNIE WSZYSTKO

W hotelu nikt nie mrugnął okiem na mój powrót z pałacu w Malii. Tom i Lisa przebywali na balkonie, podczas gdy Andy w łazience brał prysznic. Wszyscy przyjęli założenie, że poszedłem na plażę na poranną przechadzkę dla zdrowia, a że taka wymówka wydawała się równie dobra jak każda inna, nie wyprowadzałem ich z błędu.

Pomijając strach przed demaskacją, największa moja troska co do nadchodzącego dnia koncentrowała się na tym, jak Lisa będzie się przy mnie zachowywać w przenikliwym świetle dnia. W przyływach egotyizmu wyobrażałem sobie, że może ona potrzebuje jakiegoś zapewnienia, że ostatnia noc znaczyła równie wiele dla mnie, jak dla niej. Wyobrażałem sobie cały dzień tęsknych spojrzeń i sekretnych uśmiechów. Może nawet kilku niewytłumaczalnych łez i napadów humoru. Lisa jednakże była tak daleka od zdradzania sekretu, że bardziej być nie mogła. Od chwili mojego powrotu jedynie się śmiała, żartowała i była jak zwykle radosna. I to nawet pod nieobecność Andy'ego. Kiedy szliśmy do Bars and Stars, Andy opowiedział anegdotę o demonstracji przeciwko pożyczkom studenckim, na którą poszliśmy, żeby poderwać kilka upatrzonych dziewcząt. Ze wszystkich sił próbowałem spojrzeć w oczy Lisie, jakby mówiąc „Ostatnia noc nie była złudzeniem, prawda?”, ale kiedy to zrobiłem, chociaż odważnie wytrzymała moje spojrzenie, nie pojawił się w nim nawet cień winy czy też zrozumienia. Zupełnie jakby wyparła to wspomnienie z pamięci. A skoro ona nie potwierdzała mojej wersji wydarzeń, zacząłem odnosić wrażenie, że ostatnia noc w ogóle się nie wydarzyła.

- To było nadzwyczajne - powiedział Andy, zapalając pośniadaniowego papierosa w Stars and Bars. - Sugerowałbym, żebyśmy poprosili kelnera o przekazanie wyrazów uznania szefowi kuchni, ale zgaduję, że uznałby nas za mądrali. - Ziewnął i przeciągnął się. - No więc co robimy dzisiaj wieczorem, drogie dzieci? To nasza ostatnia noc wolności. Po tym wieczorze już tylko lot będzie nas dzielił od codziennej orki.

- Bardzo poetyczne - ironizowała Lisa. - Tak właśnie wygląda twoje życie ze mną?

- Oczywiście, że nie - Andy wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Wygląda o wiele gorzej.

- Cóż... chociaż zniechęcę się za te słowa, ze względu na wybryki ostatniej nocy - powiedział Tom - myślę, że jesteśmy sobie winni wieczorne wyjście do Malii.

- Czyżby Tom właśnie zasugerował, że musimy się zabawić? - zapytał Andy, udając, że reaguje z opóźnieniem. - Coś ci powiem, Charlie, on jest ostatnio zabawniejszy niż ty. - Przerwał i zaciągnął się papierosem. - A więc Malia - podsumował.

- Zostało jeszcze mnóstwo knajp, które wydają się zapewniać prawdziwy ubaw... czytałem nawet, że w pewnym barze urządzają dyskotekę w pianie. - Andy spojrzał na nas wyczekująco, ale wszyscy wyglądaliśmy na równie zakłopotanych. Sięgnął do tylnej kieszeni szortów i wyciągnął kartkę wydartą z czasopisma.

Była to reklama Camelot Club, prezentująca zestaw zdjęć młodych (głównie płci żeńskiej) gości nocnego klubu unurzanych po pas w białej pianie, jakby jakaś przemysłowa pralka eksplodowała kilka minut przed zrobieniem fotografii.

- Oto właśnie dyskoteka w pianie - powiedział Andy, machając reklamą. - Powiedźcie, że to nie wygląda na dobry ubaw.

- Rozumiem, że dobry ubaw - odparła Lisa sucho - twoim zdaniem oznacza „z dużą przewagą dwudziestolatek w stanikach i obszarpanych dżinsowych spodenkach”?

- Wcale nie, ale jeśli są tam takie dziewczęta, to chyba tylko plus dla tego

oto naszego przyjaciela - Andy uściskał mnie, wyrażając tym szczerą intencję. - Daj spokój, kochanie - ciągnął. - Okaż trochę serca. Nie zapominaj, że ten oto Charlie, jedyna wśród nas samotna osoba, nie przystąpił jeszcze do akcji w te wakacje. Musimy iść na tę imprezę, dla jego dobra.

- Dziękuję bardzo - powiedziałem do Andyego głosem bardziej zdecydowanym niż zwykle - ale jakoś się w tym nie widzę. Idźmy po prostu na miasto, wypijmy kilka piw i pośmiejmy się, dobra?

- Teraz tak mówisz - odparł Andy - ale kiedy piana polecą...

- Nie interesuje mnie to, naprawdę.

- Zainteresuje, zaufaj mi.

- Ty zaufaj mnie - odparłem z rozdrażnieniem pobrzmiwającym w moim głosie - nie zainteresuje.

- Daj spokój, Andy - wstawiła się za mną Lisa. - Jeśli Charlie mówi, że nie jest zainteresowany, to nie powinieneś go zmuszać.

Andy protekcyjnie pogłaskał mnie po głowie.

- Widzisz tego chłopca? To mój przyjaciel Charlie Mansell i zrobiłbym dla niego wszystko. Absolutnie wszystko. I dlatego właśnie pójdziemy dzisiaj do Camelot Club. I dlatego właśnie będziemy się dobrze bawić. I dlatego właśnie dopilnujemy, żeby nie wyszedł z tej imprezy sam.

POGADAĆ

Było dość późne popołudnie, słońce odrobinę mniej prażyło niż przez cały dzień (co oznaczało, że nadal można było usmażyć jajecznicę na piasku), a nasza czwórka leżała na leżakach. Lisa w żaden sposób nie napomknęła o wydarzeniach minionej nocy, mimo że dawałem jej do tego rozmaite sposobności. Po wyjściu ze Stars and Bars rozmyślnie zostałem za Andym i Tomem, tak żebyśmy szli z Lisą razem na plażę, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Ale zanim mnie zauważyła, figlarnie zawołała Toma i poprosiła, by poniósł ją na barana do minimarketu. Tam z kolei oznajmiłem, że zamierzam kupić kilka butelek wody i mogę potrzebować pomocy. Chociaż Lisa mogła się zgłosić na ochotnika, do pomocy został zmuszony Tom, ponieważ Andy po prostu zignorował moją prośbę, a Lisa skorzystała z okazji, by nałożyć sobie na ramiona krem do opalania. Kiedy już się usadowiliśmy na leżakach, zapytałem, czy ktoś chciałby pójść na spacer - wiedząc doskonale, że Tom jest całkowicie pochłonięty przewodnikiem, a Andy zbyt leniwy, by wstać - ale znowu odmówiła. Wołała, żeby Andy rozwiązywał jej bikini, polewał ją emulsją do opalania i z zapalem wmasowywał ją w jej plecy. Zanim wróciłem ze spaceru, Lisa zasnęła na słońcu, z jedną ręką delikatnie opartą na ramieniu Andyego. Wyglądali jak uosobienie więzi.

- Wiecie co? - odezwał się Tom, opierając przewodnik na klatce piersiowej. - Właśnie przyszło mi do głowy, że przez całe wczasy żadne z nas nie wchodziło do wody.

- A w jakim celu? - zapytał Andy. - Tylko wchodzisz, moczysz się, wychodzisz, wszędzie przylepia ci się piasek, musisz iść pod prysznic. Moim zdaniem to strasznie upierdliwe.

- Ja bym chętnie poszła - odezwała się Lisa. - Ale mój krem nie jest wodoodporny i musiałabym się potem znowu smarować.

- A ty, Charlie? - spytał Tom. - Masz ochotę popływać?
- Nie - odparłem, przyglądając się Lisie zza okularów. - Zawsze mi się wydaje, że jest coś niezgrabnego w facetach chodzących w toplessie. Tak mówi mój wewnętrzny snob.

Andy usiadł, ziewnął głośno i przeciągnął się.

- Idę po wodę. Ktoś coś chce?

Lisa poprosiła o loda, a Tom o puszkę coli. Ja nic nie chciałem. Pragnąłem tylko, by Lisa potwierdziła, że to, co się stało ostatniej nocy, nie było tylko grą wyobraźni, tak abym przestał się czuć, jakby film mi się urwał.

- Potrzebujesz kogoś do pomocy? - zapytał Tom. - Ja mógłbym się przejść.

- W zasadzie już nie potrzebuję - powiedział Andy szybko. Odwrócił się i spojrzał na mnie i chociaż miał na nosie okulary przeciwsłoneczne, zauważyłem, że coś się dzieje. - Charlie mi pomoże, prawda?

Moje serce zamarło.

- Tak, oczywiście.

- Ach, rozumiem - zażartowała Lisa. - Chcesz mieć z Charliem jakiś sekret, tak?

- Oczywiście, że nie - odparł Andy chłodno. - Jeśli chcesz iść, to proszę bardzo.

Lisa zerknęła na mnie i dostrzegłem błysk niepokoju w jej niebieskozielonych oczach.

- Nie, dziękuję - powiedziała. - Idźcie we dwóch załatwić swoje męskie sprawy.

Wlekleśmy się boso przez gorący piasek, aż znaleźliśmy się poza zasięgiem głosu.

- Co się dzieje? - zapytałem.

- Właściwie nic - odparł Andy, zerkając przez ramię na Lisę i Toma. - Po prostu nie mogłem wymyślić innego sposobu, żeby zostać z tobą sam na sam.

- A po co?

- Żeby pogadać.

- O czym?

- O Ninie.

- No więc co zdecydowałeś? Będziesz się z nią widywał czy kończysz sprawę?

- Właśnie o tym chciałem z tobą pogadać.

Nie czekając na moją odpowiedź, Andy przeszedł przez wejście na plażę, na drugą stronę drogi i usiadł na murku pod minimarketem. Po jego lewej stronie rozmawiało kilka dziewcząt. Żadna z nich nie zwróciła na mnie uwagi, kiedy usiadłem zaledwie metr od nich. Byłem niewidzialny.

- Wiem, że nie widać tego po moim zachowaniu - zaczął Andy - ale Lisa naprawdę oznacza dla mnie cały świat. Ty tego nie zrozumiesz, ale ten wyjazd i to wszystko, co zrobiłem... to nie ma z nią absolutnie nic wspólnego. To chodzi tylko o mnie. - Andy przerwał i wbił we mnie wzrok, jakby próbował ocenić, czy wierzę w jego słowa. Nie wiem, co zobaczył, ale kiedy w rewanżu popatrzyłem w jego okulary przeciwsłoneczne, by wejrzeć może w jego duszę, zobaczyłem tylko swoje odbicie.

- No więc jeśli to wszystko prawda - odparłem - to po co teraz rozmawiamy?

- Bo wszystko się jakoś strasznie pomieszało. Ostatniej nocy wyszedłem pod pretekstem przyniesienia następnych butelek rakii, żeby zadzwonić do Niny i powiedzieć jej, że już się nie zobaczymy. Ale kiedy jej tylko to powiedziałem, ona zaczęła mnie przekonywać, jak dobrze nam było razem i że powinniśmy przynajmniej dać sobie szansę. I chociaż ja wciąż mówiłem „nie”, gdzieś w głębi duszy wiedziałem, że chcę powiedzieć „tak”.

- Więc dalej będziesz się widywał z Niną za plecami Lisy?

- Nie - odrzekł Andy. - Zdecydowałem, że kiedy wrócimy z wakacji, odejdę od niej.

JEST JAK JEST

Andy czekał na moją reakcję.

- Więc co myślisz? - zapytał w końcu. - Przeginam? Źle robię? Powiedz, co mam zrobić.

Chciałem mu powiedzieć, żeby od niej odszedł. Chciałem mu powiedzieć, że na nią nie zasługuje. Chciałem mu nawet powiedzieć, co się wydarzyło ostatniej nocy. Ale nie powiedziałem nic. Przypomniałem sobie natomiast, że Andy jest nadal jednym z moich najbliższych przyjaciół na świecie i zasługuje na najlepszą radę, jaką mogę mu dać, bez względu na konsekwencje, które sam poniosę.

- Jeśli od niej ojedziesz, popełnisz błąd - powiedziałem stanowczo.

- Może, ale w tej chwili czuję, że to jedyne wyjście.

- Nie myślisz jasno. Nie jesteś w stanie. Mówisz, że porzucisz osobę, z którą żyjesz niemal od siedmiu lat, dla dziewczyny, którą znasz od kilku dni. Czy tak postępuje człowiek myślący jasno?

- Jest jak jest.

- A co to znaczy? - zapytałem. - To nie znaczy nic. To jedno z tych bezsensownych wyrażań, poręczne, kiedy człowiek nie potrafi uzasadnić idiotycznego aktu samozniszczenia, który właśnie ma popełnić.

Zapadła długa cisza. Dwie dziewczyny siedzące obok Andy'ego wstały i odeszły. Nie wiedziałem, co powiedzieć. To wszystko było takie pokręcone.

- Myślałem, że właśnie ty jeden zrozumiesz - rzekł Andy ze wzrokiem wbitym w chodnik.

- A co to ma niby znaczyć? - zapytałem.

- Nina powiedziała mi o Donnie. Że Donna chyba myśli, że się w niej zakochałaś.

Próbowałem powstrzymać wszystkie uczucia, które samo wspomnienie jej imienia wydobyło na wierzch.

- Dopiero co rzucony facet zakochuje się na wakacjach w dziewczynie - rzuciłem z przekąsem. - Przecież to nosi wszelkie znamiona związku, który, nawet gdyby mnie nie splawiła na lotnisku, potrwałby... ile? Pięć... może... sześć sekund po powrocie do domu, po tym jak zdałaby sobie sprawę, że nie jestem tym facetem, którym myślała, że jestem, tylko nudziarzem z nudną robotą... i nudnym mieszkaniem... wciąż liżącym rany pokiereszowanym przez byłą dziewczynę. - Przerwałem i spojrzałem na Andyego. - Więc do czego zmierzasz?

- Zmierzam do tego... - głos go zawiódł. - Słuchaj, wiesz, jaki jestem. Chyba daleko mi do ideału, co? Lisa zasługuje na kogoś lepszego.

- A Nina nie?

- Teraz będzie inaczej.

- Jak? - zapytałem. - Skąd wiesz, że jej nie zrobisz tego samego?

- Bo na tym właśnie polega zaczynanie od początku - powiedział Andy. - Dostajesz czyste konto i nadzieję, że może tym razem dobrze ci wyjdzie.

Po jego twarzy widziałem, że on już ma wszystko pouzasadniane, więc w milczeniu ruszyliśmy do sklepu, kupiliśmy wszystkie rzeczy, po które przyszliśmy, po czym opuściliśmy sklep. W drodze powrotnej na plażę żaden z nas nie wspomniał już ani o Ninie, ani o Lisie. Rozmawialiśmy natomiast o ostatnio widzianych filmach, programach telewizyjnych i słynnych kobietach, które uważaliśmy za atrakcyjne. I te gadki zdołały zapełnić pustkę pomiędzy nami aż do powrotu na plażę. Ja zająłem swój narożnik, Andy swój i chociaż nie odzywaliśmy się już do siebie, obaj wiedzieliśmy, że naszej rozmowie daleko do końca.

...I TYLE WYSTARCZYŁO

Lisa podniosła ramię Andy'ego, tak żeby sprawdzić, która jest godzina.

- Czas iść, chłopaki - powiedziała z rozczarowaniem.

- Która godzina? - zapytał Tom.

- Dochodzi piąta.

- A więc na razie koniec z plażowym życiem - westchnął Andy. - Właśnie zaczynałem się do niego przyzwyczajać.

- Jeszcze możemy przyjść jutro - powiedziała Lisa. - O której godzinie mamy zwolnić pokoje?

- O jedenastej - odrzekł Andy.

- W południe - poprawiłem.

Andy wzruszył ramionami.

- W każdym razie nie mamy gdzie się umyć, jak już nas wykopią, więc raczej nie będę sobie jutro zawracał głowy plażą.

- Jaka szkoda - powiedziała Lisa. - Więc o której mamy samolot?

- O dwudziestej trzeciej - odparł Andy.

- W zasadzie tuż po dwudziestej czwartej - znowu go poprawiłem. - A autokar, który nas zawiezie na lotnisko, przyjeżdża gdzieś koło dwudziestej pierwszej.

Kiedy Andy i Lisa zaczęli zbierać swoje rzeczy, stało się jasne, że napięcie pomiędzy mną a Andym nie przeszło niezauważone, ponieważ Tom zdjął okulary i pytająco uniósł brew. Andy i Lisa nadal byli zbyt blisko, żebym mógł swobodnie mówić, kiedy więc ruszyli w stronę wyjścia, ociągałem się z Tomem przy leżakach.

- I co się stało tym razem? Odkąd poszliście do sklepu, nie powiedzieliście do siebie chyba ani jednego dobrego słowa.

- Nie wiem nawet, od czego zacząć - odparłem. - Wszystko tak mocno się poplątało, że w zasadzie nie da się już rozwikłać. Nie jestem nawet pewien, gdzie jest początek całej historii. Ale jestem pewien, że koniec będzie wtedy, gdy Andy się dowie.

- To nie brzmi dobrze. Co on tym razem zrobił?

- Tym razem to prawdę mówiąc moja wina - odparłem. - Spałem z Lisą.

- Co takiego?!

- Wiem. Nie powinienem był tego robić, ale zrobiłem.

Tom westchnął ciężko.

- Kiedy to się stało?

- Ostatniej nocy, jak już poszedłeś do łóżka. Andy poszedł jeszcze po rąkiję i nie wiem... zaczęliśmy rozmawiać i to wszystko jakoś samo się potoczyło. - Na twarzy Toma malowało się tak wielkie rozczarowanie mną, że większe chyba być nie mogło. - Zapewniam cię, że gdybym miał choć cień podejrzenia, że ona Andy'ego w najmniejszym stopniu obchodzi, nigdy by do tego nie doszło.

- Łatwo powiedzieć - rzekł Tom. Popatrzył na Andy'ego i Lisę, którzy stanęli, czekając na nas, przy wejściu. - Domyślam się, że on nie wie?

- Nie.

- No więc skąd to popołudniowe napięcie?

- Tu właśnie się zbliżamy do nieoczekiwanego zwrotu akcji...

- Już nic nie może mnie zaskoczyć.

- Nawet jeśli ci powiem, że Andy nie tylko zamierza dalej widywać się z Niną po powrocie do domu, lecz także zdecydował, że odejdzie do Lisy?

- Ten cały wyjazd to jedno wielkie pomieszenie z poplątaniem. Wszyscy lepiej byśmy zrobili, gdybyśmy zostali w domu.

- Tom schylił się po swoją torbę. - A jak w tym wszystkim wygląda kwestia: ty i Lisa?

- Nie wiem - odparłem. - Jeszcze nie mieliśmy okazji pogadać.
- A gdybyście mieli, co byś powiedział?
- Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

TO WCALE NIE UCICHNIE

Przygotowywaliśmy się wszyscy do wyjścia do Bengal Castle (jednej z kilku induskich restauracji w Malii i jeszcze jednego z odkryć Toma). Następnym naszym przystankiem był deptak, gdzie zamierzaliśmy odwiedzić kilka knajp, zanim udamy się na dyskotekę w pianie w Camelot Club, tak kuszącą Andyego.

Do tej pory czas nam mijał bez większych emocji. Andy i ja ledwie się do siebie odzywaliśmy, aż wszyscy siedliśmy do kolacji, kiedy to znacząco zmiękliśmy dla dobra wieczoru, który nas czekał. Jeśli chodzi o Lisę, nadal nie miałem pojęcia o jej odczuciach względem wieczoru, który już minął. Nie odezwała się do mnie ani słowem, a i ja jakoś nie miałem okazji odezwać się do niej. Usiadłem na balkonie pod pozorem lektury *Kodu Leonarda da Vinci*, podczas gdy pozostali w sypialni oglądali telewizję, a w rzeczywistości gapilem się na morze i myślałem o Lisie.

- No, Charlie - zaczął Tom, przysuwając swoje krzesło do stołu i opierając się na blacie - jak sądzisz, co najpierw zrobisz, kiedy już dotrzesz do domu?

- Nie wiem - przez cały wieczór nie byłem zbyt rozmowny. Zerknąłem na Lisę. - Może powinieneś zapytać kogoś innego.

Tom odwrócił się do Lisy z uśmiechem.

- Ty mi odpowiesz, koleżanko?

- Dobra - odparła Lisa. - Po pierwsze otworzę pocztę. Uwielbiam, jak po wyjeździe czekają na mnie tony przesyłek. To prawie jak w urodziny... tylko że nie ma żadnych kartek z życzeniami... tylko reklamówki, rachunki za

media i list od cioci z wiadomościami, jak świetnie się miewają wszyscy kuzyni. - Lisa odbiła pytanie do Toma. - A Ty? Co ty najpierw zrobisz, jak wrócisz do domu?

- To trochę nudne - odparł Tom. - Ucałuję Anne i dzieci. To właśnie zawsze robię, jak tylko przejdę przez próg.

- To wcale nie jest nudne - zaproponowała Lisa. - To słodkie. Ja też tak bym kiedyś chciała wracać.

- Zapytaj go, co zrobi w drugiej kolejności - dołączył Andy. - Założę się, że to nie będzie takie milusie.

- To prawda - Tom się roześmiał. - W drugiej kolejności przejrzę wszystkie służbowe mejle, na wypadek gdyby pojawiło się tam coś ważnego. Kiedy ostatnim razem wróciliśmy z Anne z wyjazdu, skrzynka odbiorcza pękała w szwach od cybercieżaru stu sześćdziesięciu siedmiu nieprzeczytanych wiadomości z załącznikami. Dziewięćdziesiąt procent wyglądało mniej więcej tak: „W piątek impreza pożegnalna Briana, postaraj się dołączyć”.

- O, to zupełnie jak u mnie w pracy - rzuciła Lisa.

- A ty, Andy? - zapytał Tom. - Co ty robisz zaraz po powrocie do domu?

- Ja mogę za ciebie odpowiedzieć - wtrąciła Lisa. - To proste. Otóż Andy po powrocie w pierwszej kolejności obchodzi dom i sprawdza po kolei wszystkie pomieszczenia, czy coś się zmieniło. To taki dziwaczny zabobon, któremu on się oddaje od czasu, jak mieszkamy razem.

- Zmyśliła to - Andy najwyraźniej był zakłopotany. - Wcale nic takiego nie robię.

- Robi - drażniła się z nim Lisa. - Nawet za każdym razem robi to w tej samej kolejności. Salon, kuchnia, frontowa sypialnia, tylna sypialnia i wreszcie łazienka. Jakby szukał włamywaczy albo nie wiem czego.

- Dobra - przerwał Andy - możemy już nie gadać o wyjeździe do domu, a zacząć się bawić tutaj? Dzisiaj nasza ostatnia wspólna noc. I jestem więcej

niż pewien, że żadne z nas więcej tu nie wróci. Może więc dzisiaj wieczorem się trochę zabawimy, dobra? - Poklepał mnie po ramieniu. - I to dotyczy również ciebie, chłopie. Dzisiaj czeka cię noc, której nigdy nie zapomnisz.

Zaczął się już ruch. Chodnikami tak gęsto sunęły grupy młodych Brytyjczyków, że trudno było sobie wyobrazić, że na wyspie gdziekolwiek indziej został ktoś w przedziale wiekowym od osiemnastu do trzydziestu lat. Wszyscy byli tutaj, zatankowani gorzałą i gotowi na ubaw.

Naganiaczki z deptaka pracowały w silnej obsadzie. Łatwo było wyłowić je spośród tłumu brytyjskich wczasowiczów, ponieważ wystawały na kilometr: długie nogi, niewiarygodne ciała, bezczelna osobowość, prowokacyjny styl ubierania. Wszystko na posterunku i wszystko dla nich pracowało. Patrzyliśmy z podziwem, jak oszalałająca dziewczyna w różowej koszulce, krótkiej spódniczce i kowbojkach zdołała w ciągu kilku sekund samodzielnie zagonić dziesięciu kolesi do Baru Logica. Tymczasem po drugiej stronie trzy dziewczyny w ciasnych dżinsach i bikini w groszki wyłapywały losowo grupy chłopaków i prowadziły ich do sali koktajlowej Hotshot w takim tempie, że powstał tam wielki korek facetów zagonionych do baru jak owce na strzyżenie. Ale pomimo silnej reprezentacji naganiaczek, inaczej niż w czasie poprzedniej wizyty, ani jedna z nich nawet nie spojrzała w naszą stronę. Przesłanie było jasne. Mimo że było nas trzech, a Lisa tylko jedna, w oczach dziewcząt wszyscy należeliśmy do tej jednej kobiety. Już nie byliśmy bezpańscy, jak to widziałem na lotnisku. Mieliśmy właściciela. Przywódcę. Osobę odpowiedzialną. A dziewczęta w krótkich spódniczkach i obcisłych bluzeczkach uznawały to i szanowały. I chociaż nie tęskniłem za ich uwagą - mój umysł był zbyt skupiony na czymś innym - nie podobało mi się założenie, że Lisa posiada nas wszystkich, nawet jeśli w rzeczywistości założenie to nie zgadzało się tylko w jednej trzeciej.

W obecności Lisy inaczej widziałem ten deptak. Skąpanych w neonowym blasku barów i klubów, poszturchiwały nas rozwydrzone bandy młodziaków krzyczących i przeklinających całą siłą swoich głosów. Oddychaliśmy gorącymi tłustymi zapachami całego bogactwa posiłków na wynos i musieliśmy znosić nieustanny łomot niezliczonych anonimowych nagrań dyskotekowych. Dzięki Lisie nagle zobaczyłem Malię nowymi oczyma i poczułem zakłopotanie, że w ogóle ją tu przyprowadziliśmy. Wszystko dookoła stanowiło dowód infantylności zarówno mojego, jak i Andygo - dokładnego przeciwieństwa słownikowej definicji dojrzałości. Byliśmy Beavisem i Buttheadem w wieku trzydziestu pięciu lat. Dorosłymi facetami w krótkich spodenkach. Przerośniętymi nastolatkami próbującymi rozpaczliwie trzymać się resztek swojej młodości. I zdałem sobie sprawę (aczkolwiek za późno), że niektóre zachowania, jak wczasy w Mali, jazda na deskorolce albo picie na umór zakończone rzyganiem na własne buty są tak młodzieńcze, że jeśli bierze w nich udział człowiek tak daleko po trzydziestce, musi zrobić z siebie idiotę.

- Zajrzyjmy tutaj. - Lisa zatrzymała się, jakby podsłuchiwała moje myśli i teraz chciała wzmocnić mój wstyd. - Wygląda fajnie.

- Jesteś pewna? - zapytał Andy, wpatrując się w przyciągający wzrok neon Pandemonium. - No bo wiesz, wygląda trochę wieśniacko, nie sądzisz?

- Tandetnie, owszem - poprawiła Lisa. - Ale wieśniacko? Nie. Co na to reszta?

- Nie mam nic przeciwko - powiedział Tom.

Lisa spojrzała na mnie pytająco, ale ja już dawno temu przestałem ukrywać, jak się czuję.

- No dobra - powiedziała. - A więc Pandemonium.

Pandemonium nie zmieniło się od naszej ostatniej wizyty. Muzyka nadal była głośna, bar nadal zatłoczony, a kelnerki trochę męczące. Rozbiliśmy obóz przy tym samym stoliku, co wtedy, ja i Tom twarzą do baru, a Lisa z

Andym naprzeciwko nas. Króliczkowa kelnerka podeszła i przyjęła od nas zamówienie na drinki, a kiedy już je dostarczyła, próbowaliśmy kilkakrotnie podjąć ogólną rozmowę, ale szybko zmęczyło nas przekrzykiwanie muzyki. Z konieczności więc Lisa i Andy rozmawiali we dwójkę, podobnie jak my z Tomem.

- Historia się powtarza - powiedział Tom, kiedy podniósł wzrok na ekran telewizora nad głową, pokazujący najlepsze momenty z meczów reprezentacji. - Przynajmniej dzisiaj nie będzie tak burzliwie jak ostatnio.

- Może - odparłem.

- Jak to „może”? - zapytał Tom, spoglądając na mnie podejrzliwie. - Chyba nie zamierzasz dzisiaj niczego zacząć?

Upiłem łyk piwa.

- Naprawdę ją lubię, Tom. Naprawdę ją lubię.

- Lise?

Kiwnąłem głową.

- Chcesz powiedzieć, że lubisz ją tak samo, jak „naprawdę lubiłeś” Donnę? - zapytał Tom, przyjmując rolę adwokata diabła.

- To chyba nie w porządku, co? - odparłem. - Rzeczywiście lubiłem Donnę... ale ona mnie nie chciała. Co miałbym więc robić? Przesiadywać po kątach i płakać do piwa?

- Nie - odrzekł Tom. - Ale po prostu nie wiem, czy Lisa jest wyjściem. Pomyśl o tym, Charlie, nawet jeszcze z nią nie rozmawiałeś o ostatniej nocy, a już postanowiłeś namieszać pomiędzy nią a Andym.

Zerknąłem na drugą stronę stołu. Wydawało mi się niewyobrażalnie dziwne, że mogę omawiać swoje uczucia do niej tak otwarcie, kiedy ona siedzi niespełna metr dalej, a jednak całkowicie nieświadoma.

- Masz absolutną rację.

- W jakiej kwestii? - zapytał Tom.

Nie odpowiedziałem. Wstałem natomiast, poszedłem na drugą stronę stołu i poklepałem po ramieniu Andy'ego i Lise.

- Wszystko dobrze, chłopie? - zapytał Andy. - Co jest?
- Miałeś rację, że powinienem się trochę postarać, aby się dzisiaj zaba-
wić. Prawdę mówiąc, jestem w takim stanie ducha, że w tej chwili mam
ochotę zatańczyć... i tak sobie pomyślałem, czy mógłbym na chwilę pożyczyć
twoją dziewczynę?

Andy się roześmiał.

- Ileś ty wypił? Nigdy w życiu nie widziałem cię na parkiecie, chyba że
byłeś urażony w trupa.

- Wiem - odparłem. - Ale to jest pierwszy raz pod każdym względem.

- W tym wypadku masz moje błogosławieństwo, brachu.

Lisa patrzyła bezradnie, jak biorę ją za rękę i prowadzę na zatłoczony
parkiet Pandemonium. W ostatniej chwili zmieniłem jednak kierunek i
poprowadziłem ją przez jakieś wielkie szklane drzwi do ogródka kawiarnia-
nego, gdzie kilkanaście par siedziało przy stolikach i rozmawiało przy świe-
cach.

- Przepraszam, że tak cię wyciągnąłem - powiedziałem, kiedy stanęliśmy
obok rzędu drzew oliwkowych w donicach. - Nie miałem innego pomysłu.

- To chore, Charlie. A gdyby przyszedł tu teraz Andy?

- Wiem, wiem - odparłem, z trudem powstrzymując się, by jej nie poca-
łować. - Ale co mogłem zrobić? Muszę wiedzieć, co z ostatnią nocą.

- To była pomyłka - powiedziała cicho.

- Pomyłka?

Lisa kiwnęła głową.

- Z całego serca żałuję, że to się w ogóle stało.

Podszedłem do wolnego stolika, usiadłem i zamknąłem oczy, żeby zasło-
nić to, co się dzieje. Kiedy zacisnąłem powieki, zalało mnie całe morze
uczuć.

- To nie mogła być pomyłka - powiedziałem z rozpaczą.

- Czulem coś do ciebie ostatniej nocy i wiem, że ty też coś do mnie czu-
łaś. Przecież nie mogłem tak się pomylić, prawda? Niemożliwe, żeby to ist-
niało tylko w mojej głowie.

- Masz rację - odparła. - Kiedy Andy powiedział mi, że mam tu przylecieć, chyba bardziej się cieszyłam, że zobaczę ciebie niż jego. Byłeś przy mnie, kiedy się potrzebowałam. Ja też chciałam być przy tobie. Ale posunęłam się za daleko. Jesteś najlepszym przyjacielem Andy'ego. Nigdy nie powinnam była postawić cię w takiej sytuacji.

- Ale postawiłaś - odrzekłem. - I chociaż jestem przyjacielem Andy'ego, ani trochę nie żałuję tego, co się stało ostatniej nocy.

- Za długo się przyjaźnicie, żebym miała w to uwierzyć.

- Nie musisz mi mówić, jaka jest stawka. Już wiem. I może Andy nigdy sobie z tym nie poradzi, a może sobie poradzi. Wiem tylko, że warto zaryzykować. Ostatniej nocy nie chodziło o seks. Chodziło o coś więcej. Na pewno tak było.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Powiedz, że od niego odejdziesz.

Na twarzy Lisy odmalowało się całkowite zaskoczenie.

- Nie wiesz, co mówisz, Charlie.

- Może nie wiem. Ale wiem, że go nie kochasz.

Zapadła długa cisza.

- Masz rację - powiedziała w końcu. - Nie kocham, przynajmniej nie w rozumieniu większości ludzi. Pewnie bardziej przypominamy samochody, które się zderzyły czołowo. Jesteśmy tak zmiażdżeni i zakleszczeni, że nie możemy się rozdzielić, nie pozostawiając trwałych uszkodzeń. - Lisa prze-rwała, kiedy kilka dziewcząt niosących jaskrawe koktajle wyszło przez szklane drzwi i wypełniło ogródek jazgotliwym śmiechem.

- Lepiej wróćmy do środka, Charlie - Lisa wstała. - Andy może nas szukać. Idziesz?

- Ty idź - odparłem. - Zobaczymy się za chwilę.

Lisa ruszyła do środka, a ja spojrziałem w nocne niebo i zastanawiałem się, co się właśnie wydarzyło. Oczywiście, miała rację. To, co się stało, było tylko poplątaną sytuacją, w której na każdego uczestnika musi przypaść

jakaś porcja nieszczęścia. Ale ona nie wiedziała, że jej dni są policzone, tak jak policzone były moje dni z Sarą. Andy zamierzał ją zostawić, a ona i tak wolała jego. To nie było ani właściwe, ani sprawiedliwe. On znowu osiągnie wszystko, czego chce, a wszyscy inni będą porządkować chaos, który po sobie zostawił.

Ruszyłem przez ogródek do drzwi, by wrócić do baru, ale stanąłem na widok idącego z przeciwka Toma.

- Nic ci nie jest? - zapytał. - Kiedy Lisa wróciła sama do stolika, pomyślałem, że może coś się stało.

- Ona nie zamierza go zostawiać - wyjaśniłem zwięźle.

Tom westchnął.

- Wiem, że musi ci być ciężko, ale to i lepiej.

- Ale przecież to nie może być prawda, skoro on i tak ją zostawi?

- Nie wiesz, czy na pewno tak się stanie, prawda? Andy mówi mnóstwo rzeczy, których wcale nie ma na myśli. A nawet jeśli ją zostawi, ty nie musisz się w to wtrącać, prawda? Jeśli rzeczywiście to zrobi, to może będzie szansa, żebyście się zeszli z Lisą, kiedy wszystko już przycichnie.

- To wcale nie przycichnie - odpowiedziałem. - Nie rozumiesz? To jeden wielki bajzel. Nie chciałem, żeby to się stało, ale nie żałuję, bo to nie ja zacząłem zdradzać Lisę. I nie ja zamierzam ją rzucić po powrocie do domu. Może to nie najlepsze wyjście, żebyśmy z Lisą byli razem, ale co się stało, to się nie odstanie. Jedyne, czego żałuję, to te wszystkie kłamstwa. Czas, żebym się zdobył na szczerość, Tom. Czas, żeby ktoś powiedział Andy'emu prawdę.

- Nie myślisz jasno - Tom chwytając mnie za ramię. - Z tego wynikną same kłopoty, nic więcej. A co z Lisą? - Zacieśnił chwyt. - Nawet tego z nią nie obgadałeś.

- Wiem wszystko, co muszę wiedzieć - odparłem.

Kiedy to dzisiaj wspominam, kojarzę, że wówczas wyrwałem się Tomowi, wszedłem z powrotem do baru i ruszyłem w stronę Andy'ego i Lisy. Pamiętam najwyraźniej dwie rzeczy- huk krwi pędzącej do mojej głowy i poczucie

pośpiechu napędzające moje poczynania. Czułem, że muszę to zrobić, bez względu na konsekwencje.

- Wszystko dobrze, brachu? - Andy uśmiechnął się szeroko, kiedy dotarłem do naszego stolika. - Jak tam parkiet?

- Nie byłem na parkiecie - odparłem, ku jego zmieszaniu. - Musimy pogadać.

- Nie, nie musicie - powiedział Tom, doganiając mnie.

- Nie zwracaj na niego uwagi, Andy. - Chwycił mnie znowu za ramię i próbował odciągnąć, ale ja byłem tak zdecydowany doprowadzić do końca swoją misję, że nawet nie drgnąłem.

Lisa posłała Tomowi zaniepokojone spojrzenie.

- Nic mu nie jest? - zapytała, jakbym nie mógł mówić za siebie.

- Nic mi nie jest - odparłem. - Muszę tylko pogadać z Andym sam na sam.

- To nie jest właściwy moment ani miejsce - powiedział Tom. - Dlaczego nie odłożysz tego na później?

- Co na później? - zapytał Andy, wstając. - Mam wrażenie, że coś przegapiłem. O co tu chodzi?

- O ciebie - odparłem spokojnie.

Andy spoglądał to na mnie, to na Toma, próbując ocenić, czy ta akcja ma związek z nim i Niną, czy też dotyczy czegoś zupełnie innego.

- Wyjdźmy na zewnątrz, brachu - zaproponował, zabezpieczając się na obie strony.

- Tak byś wolał, co? - zapytałem. - Czyżbyś nie chciał, żeby Lisa usłyszała, co mam do powiedzenia?

- Lepiej uważaj, Charlie - ostrzegł mnie Andy. - Posuwasz się za daleko.

- Mylisz się - odparłem. - Już posunąłem się za daleko. Tak daleko, że nigdy nie przysłoby mi do głowy, że jestem do tego zdolny. Zawsze ci ustępowałem, prawda? Zawsze też ustępowałem Sarze. Czuję się, jakbym przez

całe życie ustępował wszystkim i wszystkiemu. Ale nie tym razem. Tym razem zamierzam postawić na swoim.

- Słuchaj, Charlie - wtrącił się Tom. - Proszę cię, błagam, nie rób tego. Będziesz żałował. Wiesz, że będziesz żałował. Zostaw to i odejź.

- Nie mogę, Tom - odparłem. - Muszę to zrobić.

- Co musisz zrobić? - zapytał Andy wyzywająco.

- Powiedzieć ci, że ostatniej nocy przespałem się z Lisą - rzuciłem mu w twarz.

Przez kilka chwil nic nie mówił. Nie musiał, bo wszystko było wypisane na jego twarzy: ulga, kiedy zdał sobie sprawę, że to nie ma nic wspólnego z Niną, szybko ustąpiła bólowi podwójnej zdrady, a potem w końcu nadszedł gniew i oburzenie, że został skrzywdzony.

Zanim zdołał zadać Lisie pytanie, które miał na ustach, ona chwyciła swoją torbę, przemknęła obok mnie i pobiegła w stronę wyjścia. Andy zaczął tylko, by rzucić mi spojrzenie czystej wydestylowanej nienawiści, i podążył za nią, a Tom i ja staliśmy w milczeniu.

Dzień siódmy: Niedziela/Poniedziałek

TO WYRABIA CHARAKTER

Był wczesny ranek, a ja od ponad godziny siedziałem na ręczniku pośrodku pustej plaży Laguna, patrząc na przyływ. Wyczuwając, że nie jestem już sam, odwróciłem się i zobaczyłem starszego Greka, stojącego niespełna półtora metra ode mnie. Miał biały kapelusz, okulary przeciwsłoneczne i bladoniebieskie kąpielówki, a pod pachą trzymał ręcznik i tobołek ubrań.

- Też pan lubi pływać wczesnym rankiem? - zapytał łamaną angielszczyzną.

- Tak - odparłem, chociaż zamurowało mnie na widok naprawdę starej osoby. Nie wiedziałem, że w Malii są jacyś naprawdę starzy ludzie, a ten facet ze swoją chropowatą wysmażoną na słońcu skórą i srebrzystymi włoskami na ciele wyglądał na co najmniej siedemdziesiątkę. - Rzeczywiście lubię pływać wczesnym rankiem - ciągnąłem. - To wyrabia charakter.

- Ja tak pływam codziennie - rzekł staruszek, ostrożnie rozkładając ręcznik na piasku u swych stóp i równie ostrożnie umieszczając ubrania na jego końcu. - Wtedy mam takie miłe poczucie, że przede mną nowy dzień. - Zdjął kapelusz oraz okulary i położył je na ręczniku. - Trzeba się cieszyć wodą, kiedy jest w pobliżu - powiedział, machając mi delikatnie ręką. - Morze Śródziemne to najlepsze morze na świecie. - Z nagłym przyływem energii - nagłym zwłaszcza jak na mężczyznę około siedemdziesiątki - spokojnie pobiegl do wody.

Już po kilku minutach stał po pierś w niebieskozielonych falach, a niewiele później widziałem już tylko jego głowę unoszącą się na powierzchni.

Na widok starszego pana tak cieszącego się kąpielą, poczułem wyzwanie. Skoro on mógł wejść do wody, to ja też mogłem. Ponieważ na plażę przyszedłem

już w kąpielówkach, musiałem tylko zrzucić sandały i ściągnąć koszulkę przez głowę. Kiedy ciepło porannego słońca dotknęło mojej skóry, w każdym koniuszku ciała poczułem ożywienie i teraz, skoro powstałem z martwych, byłem zdecydowanie gotowy na wyprawę do wody. Przeszedłem przez ciepły piasek, zatrzymałem się, kiedy morze liznęło moje stopy, i patrzyłem zahipnotyzowany na wznoszące się i opadające fale. Kilka metrów przede mną wielka fala rozbiła się o brzeg, posyłając ku mnie masę wody, która zakryła mi nogi do kostek. Kiedy piasek pod moim stopami zaczął uciekać, bez dalszej zachęty wszedłem do wody.

Morze było chłodne, ale nie zimne, a że słońce w górze robiło się gorętsze z każdą minutą, woda coraz bardziej kusila. Im głębiej wchodziłem, tym szybciej się przystosowywałem do jej temperatury, a już po kilku minutach również ze mnie została głowa podskakująca na powierzchni. I oto stałem w wodzie, twarzą do otwartego morza, delikatnie poszturchiwany przez wirujące prądy, ciesząc się z choćby i przelotnego poczucia nieważkości.

Za sobą miałem długą noc. Czekaliśmy z Tomem w Pandemonium w nadziei, że Andy i Lisa wrócą. Musieliśmy stanowić śmieszny widok dla zwyczajnej, gotowej na wszystko klienteli: dwóch żałośnie wyglądających trzydziestoparolatków, którzy nie rozmawiali ani nie pili, podczas gdy wszyscy inni goście bawili się na całego.

Kiedy po półtorej godziny stało się jasne, że czekamy na próżno, wróciliśmy do hotelu w nadziei, że tam ich zastaniemy. Oczywiście, nie zastaliśmy. Pusty apartament spowity był ciemnością. Tom zasugerował, byśmy poszli ich szukać, na wypadek gdyby coś się stało. Z perspektywy czasu widzę, że bardziej chodziło mu o to, bym poczuł, że coś robię, niż o to, by znaleźć naszych przyjaciół. Malia była dużą miejscowością, oni zaś mogli być wszędzie. Dwuosobowa ekipa poszukiwawcza nie miała absolutnie żadnych szans. W końcu uzgodniliśmy, że najlepsze, co możemy zrobić, to przespać się trochę,

ale kiedy Tom spoczął na swojej kanapie, ja przestałem udawać, że szykuję się do snu, otworzyłem natomiast drzwi na balkon, spojrzałem na horyzont i starałem się odgadnąć, jakim cudem znowu mi się udało tak całkowicie, absolutnie i efektownie wszystko spieprzyć.

Organizując ten wyjazd, Andy dał mi jedną rzecz, której potrzebowałem w życiu: nadzieję. Jego plany wakacyjne umieściły mnie w zupełnie nowym kontekście, w którym mogłem zapomnieć o przeszłości, jak również pozwolić sobie na jaśniejsze spojrzenie w przyszłość. Dzięki temu nowo odkrytemu optymizmowi dostrzegałem okazję na każdym kroku i bez względu na konsekwencje, gonilem za nią do upadłego. Zaczęło się od dziewczyny w kowbojskim kapeluszu, ale dopiero po telefonach i SMS-ach Lisy pewnym krokiem ruszyłem ku szaleństwu. Zanim więc w moim życiu pojawiła się Donna, byłem już gotów do akcji w takim stopniu, że nawet komplikacja w postaci ciąży Sary nie mogła zatrzymać mojej misji. Ale kiedy wszystkie moje wysiłki z Donną spełzyły na niczym, po prostu przerzuciłem się na Lisę. Tylko w taki sposób zdołałem wyjaśnić to, co się stało. Sypianie z narzeczoną przyjaciela nie należało do codziennych moich zajęć. W ogóle do mnie nie pasowało. Uległem odwiecznej wakacyjnej pokusie, by postradać zmysły.

Siedziałem na balkonie przez większą część nocy i z każdą godziną, która nie zapowiadała powrotu Andy'ego i Lisy, czułem się coraz gorzej z powodu swojej roli w nocnych wydarzeniach, aż około siódmej rano stwierdziłem, że nie mogę już znieść więcej. Ze swojego punktu obserwacyjnego na balkonie rozejrzałem się w poszukiwaniu zajęcia i dokładnie przed sobą dostrzegłem bezkresną niebieskozieloną przestrzeń natchnienia. „Właśnie! - pomyślałem, kiedy słońce kontynuowało swoją wspinaczkę po niebie. - Po raz pierwszy na tych wakacjach wykąpię się w morzu”.

W sumie spędziłem w morzu mniej więcej godzinę - o wiele więcej, niż oczekiwałem. Za każdym razem, kiedy rozważałem opuszczenie kojącej

pływalności mojego otoczenia, wyobrażałem sobie, jak każdy krok w kierunku brzegu zbliża mnie do brzemienia noszenia własnego ciężaru. Kiedy wreszcie wyszedłem z wody, poczułem się niezgrabny. Niemal wyrzucony na brzeg. I dopiero po kilku minutach przyzwyczałem się do podtrzymywania swojej masy na suchym lądzie. Wróciłem do ręcznika oraz ubrań i zacząłem się zastanawiać, który to z moich ewolucyjnych przodków wpadł na pomysł porzucenia bezpieczeństwa oceanu. Czułem absolutną pewność, że ja na jego miejscu, gdybym tylko zaznał nieznośnego ciężaru życia na lądzie, zwinąłbym salamandrowaty ogon i w te pędy (choćby i na czworakach) wróciłbym do oceanu.

Plaża zaczęła się już zapełniać. Goście prowadzący leżakowy biznes wystawiali swoje towary, a kilku porannych miłośników kąpieli słonecznych już się domagało przydzielenia najlepszych punktów na piasku. Nie chcąc się przebierać nawet przy nielicznej widowni, użyłem ręcznika do wchłonięcia jak największej ilości wody, wciągnąłem koszulkę, stopy wepchnąłem w klapki i odszedłem.

Na ulicach było mało ludzi, chociaż Stars and Bars jak zwykle gościło sporo młodych bywalców zdecydowanych pokazać dwa palce dogorywającemu zapewne pojęciu snu. Kilku z nich pomachało mi, kiedy przechodziłem, a ja im też pomachałem, choć może bawili się moim kosztem. To był jednak dobry znak. Znowu czułem się pozytywnie. Miniona noc okazała się kompletnym dnem, ale teraz zdecydowanie ruszyłem w górę.

TO SPRAWA POMIĘDZY MNĄ A CHARLIEM

Zanim dotarłem do naszego apartamentu, zacząłem tracić zapach. Wsadzałem klucz do zamka, ziewając i z trudem otwierając oczy, a gdy otworzyłem drzwi i przemknąłem obok kanapy Toma, miałem zamiar rzucić się na łóżko, choć zdecydowanie potrzebowałem prysznic. Ale w sypialni zdałem sobie sprawę, że w najbliższym czasie nie zaznam ani chwili snu. Zobaczyłem tam bowiem Andy'ego i Lisę, pakujących walizki.

- Wróciliście - zauważyłem jak kretyn.

- Nie na długo - odparł mój przyjaciel. - Zaraz ci zejdziemy z oczu.

- Posłuchaj, Andy- zacząłem - chcę ci tylko powiedzieć, że zdaję sobie sprawę, jak bardzo wszystko spieprzyłem. To, co zrobiłem, jest... no... jest niewybaczalne. Zawiodłem cię w najgorszy możliwy sposób. I w pełni zrozumiem, jeśli nie będziesz chciał mieć już ze mną nic wspólnego. Chcę tylko, żebyś wiedział, że to nie miało nic wspólnego z Lisą. To tylko ja. To moja wina.

Andy przerwał pakowanie.

- Skończyłeś?

- Tak. Tylko to chciałem powiedzieć.

- Świetnie - rzekł Andy. - Mogę się dalej pakować.

- Słuchaj - podjąłem. - Możemy chociaż gdzieś pójść i to obgadać?

- Nie interesuje mnie nic, co masz do powiedzenia - odrzekł. - Sugerowałbym więc, żebyś dał mi spokój, zanim ci pokażę, jak bardzo nie zrobiłeś na mnie wrażenia.

- Proszę, Charlie - wtrąciła Lisa, stając pomiędzy nami. - Zrób to, co on mówi.

- Daj spokój, Andy - błagałem. - Przecież to chodzi o ciebie i o mnie. Na pewno jest jakiś sposób, żebyśmy mogli sobie z tym poradzić.

- Żartujesz sobie? Powiedz mi, Charlie, jak sobie wyobrażasz to radzenie? Spałeś z moją dziewczyną. Jak mamy to rozwiązać? - Wywinął się zza Lisy i pechnął mnie w klatkę piersiową z taką siłą, że zatoczyłem się do tyłu na jego łóżko.

- Uspokój się, Andy - krzyknąłem, wstając.

- Uspokoję się, kiedy mi odpowiesz na jedno pytanie - wycedził Andy przez zaciśnięte zęby.

Do pokoju wszedł Tom.

- Co się dzieje? - wrzasnął, kiedy Andy znowu się na mnie zamachnął, trafił mnie w pierś i ponownie przewrócił na łóżko.

- Trzymaj się od tego z daleka, Tom - rzucił Andy, cofając pięść, by walnąć każdego, kto wejdzie mu w drogę.

- Jeśli myślisz, że pozwolę wam dwóm tłuc się do nieprzytomności, to srodze się mylisz - warknął Tom.

- Przestańcie wszyscy! - wrzasnęła Lisa, chwytając Andyego.

- Natychmiast przestańcie!

Po interwencji Lisy wszyscy oprzytomnieliśmy.

- Rozumiem, że jesteś wściekły, Andy - zaczął Tom w roli rozjemcy - i z mojego punktu widzenia masz do tego pełne prawo. To, co zrobił Charlie, jest... no, wiesz, co to jest. Ale jeśli będziecie się bić, to niczego nie zmieni, absolutnie niczego, wiesz o tym.

- Może więc nam pomożesz z tego wyjść? - zasugerował Andy. - Dalej, Tom, jesteś chrześcijaninem. Powiedz, co byś zrobił na moim miejscu? Co byś zrobił, gdyby ten oto nasz przyjaciel przespał się z twoją żoną? Nadsta-wiłbyś drugi policzek? To właśnie byś zrobił, prawda? No, słucham. Na-prawdę chcę poznać twoją odpowiedź. Wybaczyłbyś mu?

- Nie - odparł Tom, z oczyma pełnymi rozczarowania. - Chyba nie umiałbym mu wybaczyć...

- Widzisz, Charlie? - zapytał Andy. - Nawet Tom uważa cię za skurwiela.
- To nieprawda - rzekł Tom. - Nie pozwoliłeś mi dokończyć. Chciałem powiedzieć, że gdybym był na twoim miejscu, pewnie nie umiałbym wybaczyć Charliemu... o własnych siłach. Ale to nie znaczy, że to niemożliwe. To znaczy tylko, że potrzebowalibyśmy pomocy. Wszyscy czasami potrzebujemy pomocy, nawet ty.

Przez chwilę żadne z nas się nie odzywało. Staliśmy, patrząc na siebie, zastanawiając się, jak się to skończy.

- Pewnie masz rację, kiedy mówisz, że od tego nie ma odwrotu - w końcu odzyskałem głos. - Sam powinienem to wiedzieć najlepiej. Kiedy się dowiedziałem, że Sara mnie zdradza, naprawdę czułem, że moje życie dobiegło końca, więc skoro to samo zrobiłem tobie, posunąłem się do największej podłości na świecie. Nie musisz mi więc mówić, jak trudno jest wybaczyć, ponieważ ja już to wiem. Ale wiesz co? To nie znaczy, że nie mogę prosić.

- Możesz prosić, o co chcesz, ale odpowiedź zawsze będzie brzmiała „nie” - powiedział Andy.

- Naprawdę? - Lisa odwróciła się do Andy'ego. - Naprawdę tak właśnie jest? Wiesz, że to nie takie proste. Wszyscy jesteśmy sobie warci. I jeśli twierdzisz, że Charlie jest gorszy niż wszyscy, to tak sobie myślę, że nie mówiłeś poważnie żadnej z tych rzeczy, które słyszałam ostatniej nocy. To nie były tylko słowa, prawda?

Zapadła długa cisza.

- Nie - rzekł Andy w końcu, nie patrząc Lisie w oczy.

- Oczywiście, że nie były.

Lisa wzięła go za rękę.

- No więc jeśli mówiłeś poważnie, że chcesz, byśmy zaczęli od początku, jeśli mówiłeś poważnie, że chcesz, byśmy dali sobie jeszcze jedną szansę, to ze względu na nas myślę, że musisz znaleźć jakiś sposób, by wybaczyć Charliemu,

bo bez tego nigdy nie odetniemy się od przeszłości. Znam cię, Andy. Nie będziesz w stanie o tym zapomnieć, jeśli teraz sobie z tym nie poradzisz. Skończy się na tym, że znienawidzisz Charliego, znienawidzisz mnie i siebie jednocześnie, a ja nie chcę, żeby tak było. - Lisa przerwała i patrzyła to na Andyego, to na mnie, po czym podeszła do Toma. - To zależy od ciebie - dodała. - Jeśli zechcesz, żeby nam się udało, to nie masz innego wyjścia.

NIE TACY BYLIŚMY

Balkon wyglądał jak chlew. Jeden tydzień naszej okupacji odcisnął na nim niezatarte piętno. Ręczniki plażowe rozłożone na krzesłach, popielniczka przepełniona niedopalkami, porzucone opakowania po chipsach i butelki po piwie zaścielające rozmaite powierzchnie, a dokładnie pośrodku stołu, delikatnie się nagrzewając w przedpołudniowym słońcu, leżały męty drugiej butelki rakii Andy'ego sprzed dwóch nocy.

- Wygląda, jakby ktoś tu sobie urządził imprezkę - rzekł Andy, zdejmując ręcznik z jednego z krzesel i wieszając go na poręczy.

- Imprezkę? - zapytałem. - Raczej stypę.

Usiedliśmy i włożyliśmy okulary przeciwsłoneczne, ale żaden z nas nic nie mówił. To był mój pomysł, żebyśmy tu usiedli, podczas gdy Tom i Lisa poszli na spacer. Czulem, że najlepsze przemyślenia w czasie tych wakacji zdarzały mi się, kiedy podziwiałem nasz doskonały widok na morze i miałem nadzieję, że moc balkonu pomoże Andy'emu i mnie w rzekomo niemożliwym zadaniu.

Zsuwając okulary na nos, wpatrzyłem się w basen. Nowa partia dwudziestolatek rozpoczęła rezydowanie w najlepszym punkcie leżakowiska naprzeciwko naszego balkonu i delikatnie opieką się na słońcu.

- Nowa dostawa - rzuciłem, tak żeby zagaić.

- Na to wygląda - odparł Andy. Sięgnął do kieszeni, wyjął paczkę papierosów i poczęstował mnie, a ja odmówiłem.

- Rzucasz?

- Tak naprawdę wcale nie zacząłem. - Po chwili dodałem: - To było takie wakacyjne palenie.

Zapadła długa cisza, kiedy obaj zdaliśmy sobie sprawę, że po raz kolejny jeden z nas używa wakacji jako tłumaczenia dla swojego antyspołecznego zachowania. Obaj wiedzieliśmy, że to idiotyczne. Wakacje nie były niczemu winne. Tylko my.

Patrząc na morze, Andy zapalił papierosa, zaciągnął się długo i głęboko i wstrzymał oddech, zanim wypuścił smużkę dymu w poranne niebo.

- Wyjašnjmy jedno - powiedział Andy, opuszczając papierosa. - Jestem tu ze względu na Lisę, nie na ciebie.

- Wiem.

- Gdyby to zależało ode mnie, nigdy już bym się do ciebie nie odezwał.

To też mówił na poważnie. Mówił na poważnie każde słowo.

- No więc co chcesz zrobić? - zapytałem. - Siedzieć tu do powrotu Lisy i potem udawać, że wszystko załatwiliśmy?

- Masz lepszy plan?

- Nie.

- No więc to właśnie zrobimy.

Zapadła długa cisza. Obaj patrzyliśmy w dół na basen, gdzie dwóch chłopaków, którzy mogliby być Andym i mną za młodu, jednocześnie skoczyło na bombę do wody, wywołując tak potężny plusk, że wszystkie dziewczęta wylegujące się na brzegu podniosły na nich wzrok.

- Gdzie pójdziemy po wymeldowaniu? - zapytałem, kiedy wypełniwszy misję, chłopcy przepłynęli na drugą stronę i wyszli z basenu przy wtórze wiwatów swoich kolegów.

- Nie wiem - odparł Andy. - Myślę, że najlepiej, jeśli wymyślimy coś na poczekaniu.

CIĄGLE GŁODNY

Zadowoleni z ubawienia błazeństwami młodych gości popisujących się na dole, Andy i ja siedzieliśmy przez jakiś czas na balkonie. W końcu wstaliśmy i ruszyliśmy z powrotem do środka. Andy dalej się pakował, a ja wziąłem prysznic. Mniej więcej w południe cała nasza czwórka stała w sypialni ze spakowanymi torbami, gotowa opuścić pokój.

Chociaż mieszkaliśmy w tym apartamencie niewiele ponad tydzień, jakoś w ciągu tych siedmiu dni zdołał się przekształcić w nasz dom. Kiedy sprawdziliśmy po raz ostatni wszystkie pomieszczenia, na wypadek gdybyśmy o czymś zapomnieli, wiedziałem, że niedługo zatęsknię za prysznicem w wersji ciepłej i zimnej, niewygodnym łóżkiem, nadgorliwą klimatyzacją i telewizją o żalonych trzech kanałach. Ale najbardziej będę tęsknił za balkonem - kilkoma metrami kwadratowymi prywatnej przestrzeni na wolnym powietrzu - który stanowił tło dla tylu wydarzeń tych wakacji. Chwyciłem aparat fotograficzny, odsunąłem drzwi balkonowe i wyszedłem na zewnątrz. Oddychając świeżym powietrzem, usiłowałem zarejestrować ten obraz w głowie: doskonały błękit nieba stykający się z doskonałym niebieskozielonym morzem, a to wszystko oświetlone doskonałym letnim słońcem. Zrobiłem zdjęcie okiem wyobraźni. Potem zrobiłem zdjęcie aparatem i chociaż wiedziałem, że te dwie wersje będą się bardzo różnić, zadowolę się nimi, aż do dnia, kiedy znowu zobaczę ten obraz na własne oczy.

Zrobiwszy zdjęcie, wróciłem do swoich przyjaciół, którzy od progu kuchni w milczeniu przyglądali się moim ekscentrycznym zachowaniom. Nikt nie poczynił żadnej uwagi i udaliśmy się na zewnątrz, gdzie Tom podał mi

klucze, bym miał zaszczyt zamknąć drzwi po raz ostatni.

Na dole przy recepcji sporo ludzi czekało już na wymeldowanie. Rozpoznałem niektórych stojących w kolejce przed nami: młodzi chłopcy i dwie dziewczyny, którzy przyjechali do Apolla w tym samym czasie co my, jak również grupa gości sprawiających wrażenie studentów, którzy przez większość czasu przebywali przy basenie. W końcu kolejka się zmniejszyła i zdałszy klucze, uiściliśmy swój wysoki rachunek za bar, dopłaciliśmy za używanie klimatyzacji i oddaliśmy bagaż do hotelowej przechowalni.

- No więc co będziemy robić przez resztę dnia? - zapytał Tom, ciągnąc ku schodom wejściowym. - Ja bym obalił jakieś śniadanie.

- Ja też - próbowałem czytać z twarzy Andy'ego, ale bezskutecznie, podobnie też nie udało mi się z Lisą. - Jak wy uważacie?

- Prawdę mówiąc - powiedział Andy chłodno - mamy dzisiaj z Lisą kilka rzeczy do zrobienia. Może byśmy się spotkali później, gdzieś koło trzeciej? Autokar na lotnisko przyjedzie dopiero o dziewiątej, więc jeszcze będziemy mieli czas coś zrobić.

- Dobra - odparłem. - Zobaczymy się więc za kilka godzin.

Andy i Lisa skęcili z hotelu w lewo i ruszyli w kierunku deptaka.

- Jak myślisz, o co chodziło? - zapytał Tom.

- Nie wiem - odpowiedziałem. - Może po prostu potrzebują więcej czasu dla siebie, żeby wszystko uporządkować.

- Więc co będziemy robić do trzeciej?

Spojrzałem na Toma, a on się uśmiechnął.

- Ciągle głodny?

- Śmiertelnie.

- Co byś powiedział na zestaw Killer z lagerem?
 - Przyklasnąłbym. Stars and Bars?
 - Oczywiście. - Zeszliśmy po schodach na ulicę. - A potem... kto wie?
- Nadal jesteśmy na wakacjach, więc możemy je maksymalnie wykorzystać.

ŚWIETNY PLAN

O piętnastej trzydzieści siedzieliśmy z Tomem w holu hotelowym, popijając piwo i oglądając sport na wielkim ekranie telewizora. Od czasu pożegnane-
go śniadania w Stars and Bars zajmowaliśmy się jedynie włączeniem się po
Malii, szukając pamiątek odpowiednich dla dzieci Toma. Zadanie to okazało
się trudniejsze, niż przypuszczaliśmy, ponieważ większość sklepów wydawa-
ła się specjalizować w świecących w ciemności prezerwatywach, T-shirtach
ze sloganami, które nawet studenci wstydziłoby się nosić, i posążkach Pria-
pa, greckiego bożka i symbolu płodności wyposażonego przez naturę z ab-
surdalną hojnością. W końcu znaleźliśmy sklep „Wszystko za jedno euro” i
kupiliśmy dwie paczki mazaków oraz T-shirty z mapą Krety.

- Napiłbyś się jeszcze piwa? - zapytał Tom, patrząc na swój zegarek. -
Czy powinniśmy poczekać, aż oni się pojawią?

- Możemy się napić - odparłem. - Kto wie, jak długo... - przerwałem w
pół zdania, ponieważ zobaczyłem Andy'ego i Lisę wchodzących do holu.

- Naprawdę bardzo przepraszam, chłopaki - powiedziała Lisa. - Chyba
straciliśmy poczucie czasu.

- Nie ma sprawy. - Od pierwszego rzutu oka zauważyłem, że coś się w
Andym zmieniło, jeszcze zanim się odezwał. Jego ponury nastrój z poranka
zdawał się całkowicie zniknąć. Niemal wyglądał na szczęśliwego.

- Co porabialiście? - zapytał Tom.

- To długa historia - powiedział Andy - którą przedstawimy później. -
Przerwał i spojrzał na mnie. - Słuchaj, Charlie, myślę, że powinniśmy zapo-
mnąć o wszystkim, co się wydarzyło. Zgoda? - Wyciągnął do mnie rękę.

- Zgoda - odparłem, podając mu swoją.
- I to samo dotyczy ciebie, Tom - Andy wyciągnął rękę również do niego.
- Wiem, że w przeszłości byłem trochę gnojkiem, i przepraszam.
Tom spojrział na mnie zakłopotany.
- Aha, dobra - powiedział, nieufnie wymieniając z Andym uścisk dłoni. - Kim teraz jesteś?
- To nadal Andy, którego znamy i kochamy - powiedziała Lisa, wznosząc oczy do nieba. - Wierźcie mi.
- A teraz, kiedy już przeanalizowaliście moją osobowość - rzekł Andy - mielibyście coś przeciwko temu, żebyśmy zajęli się resztą dnia?
- A co masz na myśli? - zapytał Tom ostrożnie.
- Nic, czym musiałbyś się martwić - odparł Andy. - Po prostu Lisa wymyśliła wspaniały sposób na spędzenie reszty popołudnia: każdy z nas wybierze jedną rzecz, którą naprawdę chce zrobić, i zrobimy to wszyscy.
- Podoba mi się ten pomysł - rzekł Tom. - Gdzie jest haczyk?
- Nie ma haczyka - odparł Andy. - I na dowód szczerych intencji uważam, że powinienś wybrać pierwszy.
- Mam wybrać jakieś miejsce, do którego chciałbym pójść, i wszyscy tam pójdziemy bez kłótni i narzekania?
Andy kiwnął głową.
- Absolutnie każde miejsce.
Tom namyślał się chwilę.
- Hm, jest takie miejsce, w które chciałbym się udać, ale zapewniam, że ci się nie spodoba.
- Spodoba się, dobra, Tom? - wyszczerzył się Andy. - Ale cokolwiek to jest, dawaj, bo czas ucieka.
- Dobra - rzekł Tom. - Chcę zobaczyć drzewo.
- Drzewo? - zapytał Andy z niedowierzaniem.
- Tak, drzewo - odparł Tom. - Ma dwa tysiące lat. W obwodzie ma tyle,

że szesnaście dorosłych osób musiałyby się chwycić za ręce, żeby je objąć. Naprawdę chciałbym je zobaczyć. Charlie ma jeszcze do wieczora samochód. I powinniśmy tam dojechać w niespełna godzinę.

- Cóż, skoro Tom chce zobaczyć drzewo żyjące dwa tysiące lat - rzekł Andy, kręcąc głową w udawanej rozpacz - zabierzmy go do drzewa żyjącego dwa tysiące lat.

TO NIE JEST DRZEWO OLIWNE

Niecałą godzinę zajęła nam droga do wioski Krassi. Zatrzymaliśmy się na zapyłonym parkingu na obrzeżach, gdzie poza nami i innym samochodem nie było widać śladu człowieka.

- Jesteś pewien, że dojechałeś we właściwe miejsce? - zapytał Andy, wychylając się przez okno z tyłu. - Czy to możliwe, że oglądanie jakiegoś stercznego starego drzewa oliwnego nie jest wśród turystów pragnieniem powszechnym?

- To nie jest drzewo oliwne.

- A więc jakie to drzewo?

- A skąd mam wiedzieć?

- Jak dla mnie to może być drzewo gówniane - odparł Andy. - Co może być interesującego w jakimkolwiek gatunku drzewa?

- Daj spokój, Andy - powiedziała Lisa spokojnie. - Pomyśl o tym, jak często masz okazję zetknąć się z czymś tak starym, jak to drzewo, a ciągle żywym?

- Wszystko pięknie - rzekł Andy. - Ale zapewniam cię, że to drzewo okaże się tylko drzewem, choćby nie wiadomo ile miało lat.

Wysiedliśmy z samochodu na palące słońce i zaczęliśmy stromą wspinaczkę do wioski. Po drodze zachowywaliśmy stan gotowości drzewnej, ale oprócz rzadkich sękatych dębów nie dojrzelśmy absolutnie niczego, co by spełniało nasze oczekiwania. W końcu dotarliśmy na szczyt wzgórza, nadal bezowocnie, i zaczęliśmy się zastanawiać, czy może coś przeoczyliśmy.

- Myślicie, że to mogła być ta sosna przy tamtym domu na wzgórzu? - zapytał Tom. - W końcu była dość wysoka.

- Nie mogła być - odparłem. - Drzewo liczące dwa tysiące lat byłoby chyba bardziej okazałe?

- No to może ten orzech przy bramie? - podsunął Tom.

- Też odpada - powiedział Andy. - Chwyciwszy się za ręce, objęlibyśmy go we dwóch.

- No to się poddaję - oznajmił Tom. - Nie mam pojęcia, gdzie to jest.

- Może powinniśmy kogoś zapytać - podsunęła Lisa.

Andy, Tom i ja spojrzeliśmy na nią tępo. Było absolutnie oczywiste, że żaden z nas ani myśli robić nic tak potencjalnie żenującego, jak pytanie ludzi o drogę do drzewa liczącego dwa tysiące lat.

- Dobra - Lisa wskazała po drugiej stronie drogi zacieniony taras wielkości niewielkiego boiska do piłki nożnej. Otaczały go drzewa (z których żadne nie wyglądało na starsze niż trzydzieści lat, nie mówiąc o dwóch tysiącach) i zastawiony był stolikami i krzesłami niczym ogródek kawiarniany. - Może pójdziemy tam, napijemy się, ochłodzimy trochę i zastanowimy, co robić dalej.

Podążając za wskazówką Lisy, przecięliśmy jezdnię i udaliśmy się do pierwszego z brzegu stolika. Podeszła do nas kelnerka, wręczyła nam karty i właśnie zdecydowaliśmy, co zamówić, kiedy Andy zamarł i wskazał na drugą stronę. I oto dokładnie przed nami stało ono: drzewo liczące dwa tysiące lat. Wyglądało dokładnie tak, jak naszym zdaniem powinno wyglądać drzewo w tym wieku: wysokie, majestatyczne, stare i mądre.

- Gdybyście mi dzisiaj rano powiedzieli, że zrobi na mnie wrażenie jakieś drzewo, zabiłbym was śmiechem - rzekł Andy cicho. - Ale muszę przyznać, Tom, że miałeś rację. To jest naprawdę, kurwa, niesamowite drzewo.

MAŁY KCIUK

- No dobra - powiedział Andy, kiedy wróciliśmy do wynajętego samochodu.

- Teraz twoja kolej, Charlie, co to będzie?

- Jak to teraz moja kolej?

- Dobra, może być moja, jeśli chcesz - ustąpił. - Ale myślę, że byłoby lepiej, gdybyśmy my wybierali na końcu.

- Ale to nie jest niebezpieczne? - spytał Tom.

- Nie powiedziałbym, że niebezpieczne - odparł Andy, rozkoszując się tajemnicą. - Na pewno nie, jeśli jest właściwie zrobione. Ale nie ma wycofwanek, dobra? Ja widziałem twoje drzewo, potem spełniamy życzenie Charliego, a na końcu moje.

- Zwrócił się do mnie. - No to dawaj, szybko.

- Tak naprawdę najbardziej - powiedziałem, odrzuciwszy już z dziesięć różnych pomysłów - to chcę usiąść na plaży w miejscu, gdzie nie ma wielkich głośników łomoczących muzyką, ludzi, którzy próbują opchnąć karty klienta na leżaki, lasek w bikini ani chłoptasi z kaloryferem na brzuchu. Tego właśnie chcę. Tylko my, plaża i ile wlezie spokoju i ciszy.

O dziwo, kryteria mojej plażowej wycieczki okazały się trudne do spełnienia ze względu na to, że przyzwoite plaże znajdowały się obok gęsto zaludnionych miejscowości wypoczynkowych, a zatem były napakowane wczasowiczami. Każdy odcinek wody, któremu towarzyszył piasek, albo wydawał się niewyobrażalnie ponury (pothuczone butelki, plastikowe opakowania kołyszące się na falach, kozuch groźnie wyglądających wodorostów), albo znajdował się obok buchającego dymem zakładu przemysłowego. Już mieliśmy się poddać i wrócić do Malii, kiedy Tom dostrzegł drogowskaz na plażę niewidoczną z drogi, i zasugerował, żeby dać jej szansę.

Przed nami rozciągała się niewielka laguna, na której zastaliśmy tylko mamę i tatę obserwujących swojego syna, puszczającego kaczki na nieru-
chomej wodzie. Żadnego piasku, tylko duże, doskonale gładkie kamyki.

- Wystarczy taka, Charlie? - zapytała Lisa, zsuwając sandały.

- Chyba takiej właśnie szukałem przez całe wakacje - odpowiedziałem. -
Trochę ciszy i spokoju, i ładny widok.

Andy wybuchnął śmiechem.

- Czy ty na pewno jesteś facetem, Charlie? Bo czasami kapitalnie przy-
pominasz dziewczynę.

- Nie słuchaj go - powiedziała Lisa. - Tu jest fantastycznie.

- A ty jak myślisz, stary? - zapytałem Toma.

Wszyscy na bosaka podeszliśmy do wody, a potem jednocześnie wleźli-
śmy po kolana na chłodną pływającą.

- Na plaży w Brighton nie ma takich kamieni - Lisa zanurzyła rękę w
wodzie i podniosła spory gładki szary kamyk z białym zawijaszem. - Ten
wygląda jako kostka mydła - podała mi go. Kiedy go brałem, palcami mu-
snałem jej ciepłą skórę i dreszcz przebiegł mi po plecach. - Zatrzymaj go -
powiedziała. - Będzie ci przypominał o tych wakacjach.

- Masz przy sobie aparat? - zawołał Andy, puszczając kaczki na wodzie. -
Powinniśmy zrobić zdjęcie.

Wyciągnąłem aparat z torby i podałem Andy'emu, a on podszedł do
chłopca i poprosił, żeby nas wszystkich sfotografował.

Ustawiliśmy się rzędem, po kolana w wodzie, objęci ramionami - Tom,
ja, Lisa, Andy - a wtedy najczystsza angielszczyzną chłopiec krzyknął „che-
ese” i zrobił zdjęcie. Oddał aparat Andy'emu i pobiegł do rodziców, a my
ustawiliśmy się w kółko, by mieć lepszy widok na wyświetlacz. Choć może
nie było to najwspanialej zaaranżowane zdjęcie wszech czasów - w rogu
wyraźnie widniał mały kciuk - i tak wychwyciło istotę tego, czym jesteśmy:
czwórką dobrych przyjaciół, którzy troszczą się o siebie nawzajem bardziej,
niż chcą się do tego przyznać.

SMOKI NIE ZA BARDZO DO MNIE PASUJĄ

Zanim wróciliśmy do Malii, minęła osiemnasta. I nawet kiedy zaparkowaliśmy samochód kilka domów od Stars and Bars, Andy nadal nie chciał zbyt wiele mówić o naszym ostatnim zadaniu.

- A więc gdzie teraz pójdziemy? - zapytała Lisa, ziewając.

- Obawiam się, że w tym odcinku nie ma żadnego „my” - odparł Andy. -

To wyłącznie dla chłopaków.

- Ale to nie jest klub na deptaku? - zapytał Tom.

- Oczywiście, że nie - Andy wznosił oczy do nieba. - To coś lepszego.

- A więc co?

- To jest tam. - Andy wskazał salon tatuażu Anioł po drugiej stronie drogi. - To doskonały sposób, by upamiętnić te wakacje.

Nigdy specjalnie nie rozważałem pomysłu płacenia za trwałe okaleczenie na skórze, by w niezatarty sposób obwieścić, że nadażam za modą, ale gdybym się na takie rozważania połąsił, zdecydowanie należałbym do tych ludzi, który pomysł ów odrzucają, podając argument: „Może to i teraz wyglądałoby ładnie, ale jak będzie wyglądać, kiedy będę miał osiemdziesiąt pięć lat i zamieszkać w domu opieki?”.

Podkusiło mnie, żeby ten właśnie argument podać Andy'emu i Tomowi, kiedy przeszliśmy na drugą stronę obejrzyć zdjęcia rozmaitych dzieł właściciela (pana Rodneya Crossa, pochodzącego z Dulwich we wschodnim Londynie). Barwne fotografie 10x15 cm przedstawiające ramiona, nogi, łydki i całe ciała pokryte wszystkim, od zwierząt i symboli celtyckich aż po logo odzieży sportowej i gwiazdy filmowe.

- Słuchaj, Charlie - powiedział Andy - jeśli rzeczywiście skończysz w domu opieki z tatuażem na ramieniu, będzie to cudowne przypomnienie, kiedy już popadniesz w demencję, że niegdyś wiodłeś życie pełną gębą.

Tom się roześmiał.

- Muszę powiedzieć, Charlie, że tym razem popieram Andy'ego. Jeśli dożyjesz osiemdziesiątego piątego roku życia i będziesz się martwić tatuażem zrobionym przed półwieczem, to moim zdaniem powiesz ci się doskonale.

- Więc jest dwóch na jednego - orzekł Andy. - Wchodzisz czy nie?

- Wchodzę - odparłem. - Sto procent.

- Tak do protokołu - powiedziała Lisa z westchnieniem - czy mogę założyć, że moim zdaniem to jeden z najgłupszych samczych pomysłów, jakie kiedykolwiek miała wasza trójka?

- Twój sprzeciw został należycie zaprotokołowany - odparł Andy. - Ale ty nie rozumiesz, że czasami mężczyzna musi zrobić to, co do mężczyzny należy. I w tej chwili ci oto mężczyźni muszą wybrać superprojekt tatuażu.

Uzgodniwszy, że umiejętności pana Crossa spełniają wystarczająco wysokie standardy, byśmy mogli mu powierzyć swoje skóry, weszliśmy do salonu i przekazaliśmy stojącej przy kasie kobiecie swoje wymagania: trzy w miarę zwyczajne tatuaże, bez kolorów, zrobione jak najszybciej. Ona przyjęła nasze pieniądze, zarezerwowała nam szczeliny czasowe i podała kilka wielkich portfolio do przejrzenia.

- Ja już znalazłem - oznajmił Andy po pięciu minutach wertowania w tę i we w tę.

- Ja też - dodał Tom.

Obaj spojrzeli na mnie.

- Jeszcze nie zobaczyłem czegoś, co mówiłoby: „Chcę być na twojej skórze na zawsze” - odparłem. - Potrzebuję jeszcze trochę czasu.

- Nie żebym popierała w jakikolwiek sposób wasze poczynania - powiedziała Lisa, biorąc portfolio z ręki Andy'ego i przeglądając kilka kartek - ale muszę przyznać, że ten mi się dość podoba. - Wskazała na wyrysowany czarnym atramentem symbol słońca, wyglądający na celtycki. - Jest w miarę subtelny i nie wygląda zbyt odrażająco.

Nie byłem przekonany.

- A może ten? - zapytał Andy, odwracając kartkę na mały okrągły rysunek chińskiego smoka ganiającego za swoim ogonem - Poważnie się zastanawiałem, czy samemu go nie wybrać, zanim znalazłem taki, który naprawdę chcę.

- Dzięki - odparłem. - Ale smoki też chyba nie za bardzo do mnie pasują. Spojrzałem na Toma.

- No, stary, na pewno też masz jakieś sugestie?

Tom pokręcił głową.

- Myślę, że już wiesz, czego chcesz, ale za bardzo się boisz podjąć decyzję.

Musiałem się roześmiać. Tom trafił w dziesiątkę.

- Dobra, masz rację - powiedziałem. - Grałem tylko na zwłokę, ale już podjąłem decyzję. No to chodźmy zrobić sobie tatuaże.

Kiedy wyszedłem z zaplecza salonu tatuażu trzy kwadranse po tym, jak swoje tatuaże nabyli Andy i Tom, Andy powiedział tylko, że jego tatuaż znajduje się pośrodku łopatki, a Tom, że ma swój na prawym ramieniu. Ponieważ byliśmy wszyscy tacy tajemniczy, zaproponowałem, żebyśmy zrobili wielką odsłonę za kilka tygodni, przy okazji spotkania powakacyjnego. Tom uznał to za świetny pomysł, ale Andy się roześmiał i powiedział, że musi się zastanowić.

MIEJSCE DOBRE JAK KAŻDE INNE

- Która godzina? - zapytał Andy, kiedy wyszliśmy z salonu tatuażu. Słońce już dawno zaszło i staliśmy teraz dokładnie pośrodku zwykłego rozgardiaszu wieczornej Malii.

- Kolacyjna - odparł Tom, zerkając na zegarek. - Umieram z głodu, a mamy pół godziny do przyjazdu autokaru.

- Co byście zjedli? - zapytał Andy.

- Coś najszybszego.

Po biesiadzie w McDonald'sie wracaliśmy do Apolla, śmiejąc się i żartując tak bardzo, że wydarzenia poranka wydawały się odległe o milion lat i związane z kimś innym. Czy Andy i ja znowu byliśmy przyjaciółmi? Trudno było powiedzieć. Rany, które sobie zadaliśmy, nie mogły się zabiżnić przez jedną noc. Dla mnie jednak liczyło się nie to, że wróciliśmy do normalności. Raczej to, że wydawało się, iż obaj chcemy udawać przyjaźń, póki takie podrabiane uczucia nie będą już potrzebne.

Uwolnwszy bagaże z przechowalni Apolla, usiedliśmy na schodach wejściowych w oczekiwaniu na autokar. Po pięciu minutach autokar Club Fun Tour wreszcie się pojawił i stanął dokładnie przed nami.

- Powinniśmy się pożegnać z barmanem Steve'em - powiedziałem, kiedy kierowca autobusu otworzył klapę bagażnika i zaczął ładować do środka bagaż.

- Nie martwcie się - odparł Andy. - Zrobię to za was później.

- A jak niby? Przecież... - Przerwałem, spojrzałem na twarz Andy'ego i nagle zdałem sobie sprawę, o czym on mówi. - Wy nie wracacie do domu?

- Nie - odparł Andy. - Nie wracamy.

Twarz Lisy potwierdziła, że Andy nie żartuje. On sięgnął do jej prawej ręki i pogładził ją delikatnie. To był drobny gest. Gest miłości, jak sądzę. Ale chociaż bardzo nie chciałem, ten gest złamał mi serce.

- Co mówicie? - zapytał Tom. - Że przedłużacie wakacje?

- Myślimy o czymś bardziej stałym - odrzekł Andy.

Nie wiem, dlaczego byłem zdumiony. Jeśli się czegoś nauczyłem na tych wakacjach, to tego: odpowiednio sprowokowany, każdy może się pogubić. Wystarczył taki powód, jak rozstanie z partnerem, lekarz diagnozujący raka albo zdrada najbliższego przyjaciela i okazywało się, że regulamin normalnych zachowań idzie w ką.

- Wiem, że to dużo do przyswojenia - zaczęła Lisa. - Sami nie mogliśmy w to uwierzyć, ale o niczym innym nie rozmawialiśmy i tego właśnie chcemy.

- Zostać tutaj? - zapytałem.

- To miejsce dobre jak każde inne - odrzekł Andy.

Zapadła długa cisza. Czuję, jak czas wymyka się ukradkiem.

- Wiem, że to nie moja sprawa, ale jesteście pewni?

- W domu jest za dużo rozrywek - wyjaśniła Lisa. - Za dużo sposobów, by się zgubić. To właśnie nas z Andym pogubiło: oboje za bardzo się skupiliśmy na rzeczach, które nie mają znaczenia. Oboje musimy zrobić sobie przerwę, jeśli tym razem ma się nam udać.

- Myślimy o roku na początek - dodał Andy. - I jeśli nadal będziemy szczęśliwi... może nawet zostaniemy tu na zawsze.

- A co z waszą pracą? - zapytałem.

- Coś sobie znajdziemy - odpowiedziała Lisa.

- A wasz dom?

- W zasadzie mamy nadzieję, że go trochę popilnujesz - wyjaśnił Andy. - Wynajęliśmy tu coś na kilka miesięcy, to właśnie załatwialiśmy dzisiaj po

południu, nieduże to, ale chyba niewiele potrzebujemy poza miejscem do spania. A jeśli chodzi o pracę... rozejrzyj się... tu na pewno są setki posad w barach i restauracjach. A jeśli nie, to będziemy musieli poszukać czegoś innego.

Im bardziej starałem się rozważyć tę całą sytuację, tym bardziej dochodziłem do wniosku, że każda luka, którą próbuję znaleźć w ich planie, obnaża moje wady, a nie ich. W gruncie rzeczy zazdrościłem im spontaniczności. Zawiść budził we mnie fakt, że udało im się tam, gdzie ja poniosłem klęskę. Bez względu na to, czy Andy i Lisa będą żyli długo i szczęśliwie, czy też rozstaną się po tygodniu, obojgu te wakacje zmieniły całe życie. Andy stojący teraz przede mną był inny niż tamten, który przed tygodniem wyjeżdżał z Anglii. I to mnie trapiło. On się zmienił, a ja pozostałem taki sam. Wracałem do tego samego mieszkania, pracy i życia, które zostawiłem siedem dni temu.

- To jedzie na lotnisko? - zapytał kierowca autobusu, wskazując nasz bagaż.

- Tak - odparłem. - Tylko te dwie sztuki.

- Na pewno? - zapytał ponownie, patrząc na bagaż Andy'ego i Lisy. Spojrzałem na niego, a potem na nią, czekając na potwierdzenie.

- Tak - odparła Lisa. - Na pewno.

Kierowca wzruszył ramionami, załadował resztę walizek do pojazdu i zamknął luk. Teraz nie było odwrotu.

- No i już - rzucił Andy refleksyjnie.

- Ja pożegnam się pierwsza - powiedziała Lisa. Objęła Toma i uściskała go mocno, wtulając twarz w jego klatkę piersiową. - Mam nadzieję, że jutro wszystko pójdzie dobrze. Będę o tobie myśleć.

Początkowo zmieszany, Tom spojrział na mnie i chyba dostrzegł na mojej twarzy poczucie winy.

- Powiedziałem Andy'emu kilka dni temu - wyjaśniłem skruszony.

- W porządku - rzekł Tom. - W zasadzie się cieszę. Miło będzie wiedzieć, że przyjaciele mi kibicują.

- Zalicz do nich mnie - Andy mocno uściskał dłoń Toma.

- Dbaj o siebie, Charlie - powiedziała Lisa, przytulając mnie.

- Nawzajem - odparłem. - Naprawdę mam nadzieję, że wszystko wam się uda.

- Bo się uda. Jestem tego pewna.

- Dbaj o siebie, chłopie - rzekł Andy, podchodząc do mnie.

- Zadbam. I jeśli czegokolwiek będziecie potrzebować, dajcie mi tylko znać, a ja wam to zorganizuję.

- Dzięki. - Andy zawahał się, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili jego twarz się zmieniła i tylko uściskał mi dłoń.

Zanim odjechaliśmy, wszyscy obiecaliśmy pisać, dzwonić i pozostać w każdym możliwym kontakcie, a potem przewodnik Club Fun Tour się znierpliwił i przekonał kierowcę, by pogonił nas klaksonem. Nadal niezdolny pojąć, że naprawdę zostawiamy Andyego i Lisę, pożegnałem się po raz ostatni i wsiadłem do autokaru. Kiedy jechaliśmy w stronę deptaka, niemal poczułem tęsknotę za tym, co właśnie zostawialiśmy: bandami chłopaków i grupkami dziewcząt zbiegających się w jednej olbrzymiej koncentracji niepowstrzymanego hedonizmu.

NA PEWNO JESTEŚ FAJNY

Na elektroniczny dzwonek wyłączył się nad moją głową znaczek nakazujący zapięcie pasów, wywołując zmasowane klikanie. Choć minęło pół godziny do startu, myślami wciąż byłem na ziemi, zastanawiając się minuta po minucie, co porabiają Andy i Lisa i kiedy znowu ich zobaczę. Odpiąłem pas, przeciągnąłem się, ziewnąłem i obejrzałem się, aby sprawdzić, co robi Tom. Z powodu pomyłki komputera przydzielono nam miejsca w różnych częściach samolotu i mój przyjaciel siedział wciśnięty pomiędzy ponurego młodzieńca obwieszzonego złotymi łańcuchami a uśmiechniętą damę w średnim wieku z namalowanymi brwiami i ciemnopomarańczową opalenizną. Zerkając na towarzyszy Toma, zrozumiałem, że mnie się trafiło o wiele lepiej: ładna, lecz kłótniwa z wyglądu matka ze śpiącym dzieckiem na kolanach i drzemającym berbeciem na następnym miejscu.

Kiedy ludzie zaczęli przechodzić do toalety, sięgnąłem pod siedzenie przede mną i wyciągnąłem *Kod Leonarda da Vinci*. Z powodu wszystkich wydarzeń minionych dni zaniedbałem tę książkę i obawiałem się, że niewielkie mam szanse znowu się w nią wciągnąć. Wyciągnąłem więc trzecią i ostatnią lekturę zakupioną na wakacje: *Białe zęby* Zadie Smith, książkę, którą wybrałem nie tyle dlatego, że rozpaczliwie pragnąłem czytać „imponującą, komiczną historię o imigrantach w Anglii”, co dlatego, że widniejąca na okładce autorka w okularach wyglądała bardzo seksownie. Zdołałem dotrzeć ledwie do końca pierwszego akapitu i musiałem przestać, - ponieważ uświadomiłem sobie, że ktoś czai się u mego boku. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że wpatruje się we mnie mężczyzna mniej więcej w moim wieku, z nieco wymizerowanym obliczem.

- Przepraszam, że panu przeszkadzam - zaczął - ale zastanawiam się, czy mógłby pan zamienić się ze mną miejscami? Tu siedzi moja żona i dzieci. - Obaj spojrzeliśmy na jego żonę, która posłała mi ten sam zmęczony, przeprasający uśmiech, którym właśnie uraczył mnie mąż. Uśmiechnąłem się też, nieco zaskoczony, że czuję zazdrość o faceta, z którym właśnie rozmawiałem. On w wieku trzydziestu pięciu lat miał to, co ja chciałbym mieć. Ale gdzie była moja zmęczona żona? Gdzie były moje śpiące dzieci? Gdzie moje rodzinne wakacje? - Widzi pan, wszyscy mieliśmy siedzieć razem - ciągnął mąż - ale sknócili coś przy odprawie i powiedzieli, że powinniśmy zaczekać do startu i wtedy pozamieniać miejsca.

Zazdrosny czy nie, życzyłem im szczęścia.

- Oczywiście, że może pan tu usiąść - odparłem, zwijając swoje rzeczy. - Proszę mi tylko pokazać, gdzie ja mam pójść.

Wciąż skręcając się od ogromu wdzięczności, którą obsypała mnie para, podążyłem za mężem do jego pierwotnego miejsca - środkowego - jakieś pięć rzędów z przodu. Kiedy tam dotarliśmy, jakaś poważnie wyglądająca kobieta, która najwyraźniej spędziła za dużo czasu na kreteńskim słońcu, wstała, nie ukrywając prawie złości, że przeszkadza się jej po raz kolejny. Przepraszając raz jeszcze, mężczyzna szybko chwycił swoje rzeczy, podziękował mi i udał się do wyjścia, zostawiając mi wciskanie się na środek i przekładanie rzeczy.

- Bardzo panią przepraszam - powiedziałem do dziewczyny pod oknem, którą kilka razy uderzyłem łokciem. - Na tych fotelach jest tyle miejsca, że człowiek może jedynie oddychać.

- Bardzo miło się pan zachował - odparła dziewczyna. - On się zadreślał to zamianą już od... - urwała, wpatrując się we mnie z przerażeniem. I choć dopiero po kilku sekundach, to zrozumiałem powód jej reakcji.

- Nie masz kowbojskiego kapelusza - zauważyłem, nie dowierzając swemu szczęściu. To była dziewczyna w kowbojskim kapeluszu czy też raczej

dziewczyna niegdyś znana jako dziewczyna w kowbojskim kapeluszu.

- Och, to ty - zaczęła. - Naprawdę bardzo cię przepraszam.

- Nie ma potrzeby - odparłem. - Wszystko dobrze.

- Ja taka nie jestem - ciągnęła. - To dziewczyny mnie namówiły.

- Słowo honoru, nic się nie stało.

- Naprawdę bardzo cię przepraszam, jeśli wprawiłam cię w zakłopotanie.

- Nie czułem się zakłopotany- odparłem z szerokim uśmiechem. - Schlebiłaś mi.

- Ale nie przyszedłeś do baru, prawda? - Wzruszyłem ramionami, a ona schowała twarz w dłoniach. - Przyszedłeś, tak? Pewnie myślisz, że jestem okropna. Tak mi przykro. W zasadzie zastanawiałam się nawet, czy nie pójść, ale nie miałam odwagi. Teraz czuję się okropnie.

- I słusznie. Czekałem na ciebie całą noc.

- Nieprawda?

- No nieprawda - odparłem. - Jak się okazało, cała noc potoczyła się trochę dziwnie, więc pewnie i tak nie bawiłbym się za dobrze... - „...nawet gdybyś przyszła”.

Zapadła długa cisza. W pełni świadoma, że zgodnie z zasadami konwersacyjnej etykiety sami możemy zdecydować, czy kontynuować rozmowę czy też nie, dziewczyna w kowbojskim kapeluszu zdecydowała się patrzeć znacząco przez okno w ciemność. Przyjmując, że nasza pogawędka oficjalnie została zakończona, wyciągnąłem znowu *Białe zęby* i podjąłem lekturę. Ona zrobiła to samo ze swoją książką. Kiedy już wydawało się, że spędzimy cały lot, nie rozmawiając, doszedłem do przekonania, że zaglądam w zęby przysłowiowemu darowanemu koniowi. Oto siedziałem obok atrakcyjnej dziewczyny, która właśnie mnie zaprosiła na randkę, i podążyłem za jej przykładem. Trudno sobie wymarzyć lepszy początek rozmowy.

- Na wypadek gdybym zapomniał - powiedziałem, zamykając książkę - jestem Charlie.

Odwróciła się i spojrzała na mnie zakłopotana.

- Słuchaj, Charlie - zaczęła z wahaniem. - Nie chcę, żebyś mnie źle rozumiał... Na pewno jesteś fajny, ale chyba powinnam ci powiedzieć, że poznałam kogoś... w Malii... i jakby jesteśmy razem.

- Och - odparłem. - Cóż, miło to słyszeć.

Znowu zapadła długa cisza. Dziewczyna w kowbojskim kapeluszu uśmiechnęła się do mnie niewyraźnie. Trudno było określić, które z nas chętniej uciekłyby od tego drugiego.

- No to wracam do książki - powiedziałem po kilku chwilach.

Dziewczyna w kowbojskim kapeluszu lekko kiwnęła głową, sięgnęła do torby i wsadziła sobie do uszu słuchawki.

Zamknąłem *Białe zęby*, otworzyłem ponownie i od początku przeczytałem całą pierwszą stronę.

Wylądowaliśmy na Gatwick dziesięć minut przed czasem, z powodów związanych z prędkością wiatru i szczelinami czasowymi. Kiedy kołowaliśmy po pasie startowym, wsadziłem książkę do torby. Nigdy nie skończę *Białych zębów*. Nie dlatego, że to słaba książka, lecz dlatego, że sądząc z niewielkiego przeczytanego fragmentu, autorka nie tylko wyglądała seksownie, ale też była niewiarygodnie utalentowana i zdecydowanie poza moją ligą. Te wieści mnie przygnębiły: raz jeszcze tylko dlatego, że byłem sobą, wykluczałem następną spośród miliardów kobiet na planecie Ziemia.

Kiedy personel pokładowy wyłączył znaczek zapiętych pasów, znowu wśród pasażerów wybuchła szaleńcza krzątanina. Moja poważna sąsiadka natychmiast wstała i już przetrząsała schowek nad głową, ale dziewczyna w kowbojskim kapeluszu, pewnie aby przepuścić mnie przy wyjściu, pozostała na miejscu i wyglądała przez okno.

Wraz ze wszystkimi sunąłem przez wąskie przejście samolotu. Witamy w domu. Powietrze było przenikliwie chłodne, reflektory migotały w dziesiątkach kałuż na wilgotnym asfalcie.

U stóp trapu czekał na mnie zmęczony i udręczony Tom. Zerknąłem na zegarek. 2.38 w nocy. Jeszcze sześć godzin, zanim będzie mógł wykonać telefon, który może zmienić jego życie na zawsze.

- Jak to przeżyłeś? - zapytałem, kiedy wsiadaliśmy do autobusu, który miał nas zabrać do terminala.

- Większość przespałem. A ty?

- Ja miałem interesujące przeżycia. - Moje oczy powędrowały do dziewczyny w kowbojskim kapeluszu, czekającej na przyjaciółki.

- Czy to jest ta osoba, o której myślę? - zapytał Tom.

- Owszem - odparłem. - Ale nie rób sobie nadziei.

- Dlaczego?

- Bo ja sobie zrobiłem i srodze się rozczarowałem.

Tom się roześmiał.

- Pewnie nie była ci pisana.

- Pewnie nie. Ale jeśli nie ona, to kto?

Z wyrazu twarzy Toma odczytałem, że nie był zainteresowany omawianiem swoich odczuć na temat czekającej go rozmowy. Milczeliśmy więc sobie niekrępująco, aż przeszliśmy kontrolę paszportową.

Obaj włączyliśmy komórki.

- Jakies wiadomości?

- Na to wygląda - odparł Tom, wybierając numer poczty głosowej. Usuwając się z drogi pozostałym pasażerom, odsłuchał wiadomości. Najwyraźniej od rodziny, bo jego oblicze pojaśniało.

Uśmiechnął się szeroko.

- Jedna od Anne, dwie od dzieciaków... i jedna od Andy'ego.

- Co powiedział?

- Że chociaż nie wierzy w Boga, na wszelki wypadek, gdyby takowy jednak istniał, pomodlił się trochę za mnie.
- To do niego niepodobne.
- Zupełnie. To absolutnie niepodobne do Andy'ego.

Dotarliśmy do karuzeli z bagażem i cierpliwie czekaliśmy na swoje torby. Znowu dostrzegłem dziewczynę w kowbojskim kapeluszu, pchającą wózek wraz ze swoimi równie atrakcyjnymi koleżankami, ale na mój widok pokierowała je na drugi koniec karuzeli.

Dopiero po półgodzinie nasz bagaż w końcu się pojawił, a tymczasem większość pasażerów (w tym i dziewczyna w kowbojskim kapeluszu) odebrała bagaże i zniknęła za kontrolą celną. Czulem, że cały pożytek, który zdołało mi przynieść siedem dni odprężenia, powoli obraca się w niwecz. I kiedy w końcu przepchnęliśmy swoje torby przez jasno oświetlony korytarz „Nic do oclenia”, miałem posępną pewność, że zanim dotrzemy do parkingu długoterminowego, powrócę do swojego zwykłego zmęczenia i zdenerwowania.

Przechodząc przez wielkie drzwi pomiędzy cłem a halą przylotów, musieliśmy minąć niechętny tłum oczekujących mężów, żon, narzeczonych płci obojga, rodziców i kierowców taksówek wypatrujących nieustannie ludzi, którzy najbardziej ich obchodzili. Na nas nikt nie czekał. A w każdym razie tak myślałem. Na samym końcu tłumy przy barierkach zabezpieczających stała Donna.

Dziwnie się poczułem, widząc ją we własnej osobie, naprawdę. Podchodząc do niej, musiałem skorygować jej obraz w pamięci, nieco wyblakły przez te kilka ostatnich dni. Była ładniejsza, niż zapamiętałem, i miała inne włosy. I podczas gdy my nadal mieliśmy na sobie szorty i T-shirty stosowne do kreteńskiego lata, ona miała dżinsy i płaszcz bardziej stosowne do angielskiej jesieni.

- Nie podobają ci się? - zapytała, kiedy przed nią stanąłem.

- Co?

- Moje okulary - wyjaśniła. - Cały dzień się zadreślałam, czy założyć okulary, czy szkła kontaktowe. Nina powiedziała, że kontakty, bo ona jest próżna, więc natychmiast zdecydowałam się na okulary.

Nie wiedziałem, jak zareagować na jej okulary, na informację, że przygotowywała się cały dzień, by odebrać mnie z samolotu, ani w ogóle na fakt, że jest.

- Co ty tu robisz? - zapytałem w końcu.

Donna otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale spojrzała wyczekująco ponad moim ramieniem, gdzie zatrzymał się z naszym wózkiem najwyraźniej zakłopotany Tom.

- Chciałem tylko powiedzieć, że idę na kawę, dobra? - powiedział.

- Dzięki, stary - odparłem. - Zobaczymy się niedługo.

Kiedy Tom poszedł szukać kawiarni, Donna i ja staliśmy, patrząc na ludzi dookoła: starszy mężczyzna pchający wózek załadowany górą walizek; para młodych ludzi całujących się przy kiosku; grupa chłopaczków robiących sobie zdjęcia telefonami komórkowymi.

- Przepraszam, że tak wtedy odeszłam - powiedziała Donna cicho. - Nie mam na to żadnego wytłumaczenia. Powinnam być z tobą bardziej szczerą.

- A więc dlaczego to zrobiłaś?

- Chcesz usłyszeć prawdę? Ponieważ sprawiałeś wrażenie, jakbyś był bardziej pewny mnie, niż ja sama jestem.

- Więc to była moja wina?

Donna pokręciła głową.

- Przestraszyłam się, Charlie. Naprawdę się przestraszyłam. Zaczynałam czuć do ciebie coś takiego, czego od dawna do nikogo nie czułam. Po prostu nie byłam pewna, czy już jestem gotowa na coś tak wielkiego. Tata Sadie i ja byliśmy razem bardzo długo. I mieliśmy dziecko. I chociaż wszyscy uważali, że powinnam pójść dalej i poszukać czegoś nowego, nie umiałam tego zrobić.

Czułam się, jakbym ugrzęzła w przeszłości i po prostu nie umiała znaleźć wyjścia.

- Czemu więc zmieniałaś zdanie?

- To ty je zmieniłeś, Charlie - odpowiedziała Donna, patrząc mi w oczy. - Ty je zmieniłeś. Nie wiem jak, ale zmieniłeś. Odkąd cię tam zostawiłam, ani na chwilę nie opuściłeś moich myśli. Tysiące razy odtwarzałam chwile, które razem spędziliśmy, i wtedy zdałam sobie sprawę, że te uczucia do ciebie nie przeminą tylko dlatego, że ciebie nie będzie. Więc wieczorem zadzwoniłam do mojej siostry, żeby wziąć numer Andy'ego, i zadzwoniłam do niego, żeby się dowiedzieć, o której lądujecie na Gatwick. No i jestem. Oczywiście, o ile się nie spóźniłam?

To było dobre pytanie. Spóźniła się? Czy to, co się wydarzyło pomiędzy Lisa a mną, coś zmieniło? Czy moje uczucia do Donny miały charakter jedynie wakacyjny? W głowie miałem tylko pytania i za mało odpowiedzi, których mógłbym być pewny.

- Poznałeś kogoś innego, tak? - wyszeptwała Donna, widząc moje niezdecydowanie.

- To skomplikowane - odparłem. - Ale tak, po twoim wyjeździe byłem z kimś innym. To była straszna pomyłka i już się skończyła.

- Więc dlaczego mam wrażenie, że o czymś mi nie mówisz?

- Bo... to, że tu jesteś... że jesteś tu teraz... że mówisz to wszystko, to jakby w jednej chwili spełniły się moje marzenia. Ale problem w tym, Donna, że nie jesteśmy już na wakacjach. Wróciliśmy do rzeczywistości. I kiedy wyjeżdżałem siedem dni temu, pragnąłem tylko jednego - wrócić jako ktoś inny, zmienić się. I udało mi się. Nie jestem już tą osobą, która wyjeżdżała na wakacje.

- Nie rozumiem - powiedziała. - W czym więc problem?

- W tym. - Puściłem jej ręce i ściągnąłem koszulę. Podsunąłem prawy rękaw T-shirta, by odsłonić bawełniany opatrunek naklejony na mój tatuaż. Delikatnie go odkleiłem i pokazałem Donnie, co jest pod spodem.

- To znak zapytania - powiedziała Donna. - Nadal nie rozumiem.
- Sam nie jestem pewien, czy rozumiem. - Wzruszyłem ramionami. - Nigdy wcześniej nie próbowałem sprowadzić siebie do symbolu... - urwałem i spojrzałem na mój znak zapytania wykonany wytłuszczoną, osiemnastopunktową czcionką Helvetica - i kiedy na to patrzę, myślę, że już nigdy tego nie zrobię. - Przyklepiłem opatrunek z powrotem, zsunąłem rękaw T-shirta i spojrzałem na Donnę. - Musisz zrozumieć, że kiedyś myślałem, że jestem w miarę dobrym narzeczonym... ale potem Sara odeszła i zdałem sobie sprawę, że się myliłem. Myślałem, że jestem całkiem niezłym przyjacielem, ale na tych wakacjach, tak się złożyło, musiałem tę kwestię przemyśleć jeszcze raz. Prawda jest taka: w zasadzie nie mam pojęcia, kim teraz jestem. Nie w rzeczywistym sensie. Nie mogę zagwarantować, że facet, którego poznałaś na wakacjach, to ja, a nie jakiś fałszerz. Nie mogę zagwarantować, że pewnego dnia nie obudzisz się, czując do mnie tylko niechęć. A co najbardziej bolesne, nie mogę nawet zagwarantować, że pewnego dnia nie zrobię czegoś, co zrani ciebie. Nie mogę ci dać żadnej gwarancji, na nic, Donno. Więc dlaczego chcesz się zadawać z kimś takim?

- Bo nie potrzebuję żadnych gwarancji - odparła. - Mam własne. - Zastanowiła się. - Wiem, że nie znam cię dobrze. I może masz rację w tym, co mówisz. Ale wiem jedno: jesteś pierwszą od bardzo dawna osobą, dzięki której poczułam, że znowu chcę komuś zaufać.

Zapadła długa cisza.

- Więc na czym stoimy? - zapytałem.

- To zależy od ciebie - odparła.

I stanąłem przed decyzją. Wielką decyzją, którą jak zauważyła Donna, musiałem podjąć sam. I chciałem postąpić właściwie... cokolwiek to oznaczało.

- To wszystko nie tak - powiedziała Donna, uznając moją powściągliwość za pełne skrepowania milczenie przed wygłoszeniem złych wieści. - Czuję

się, jakbym naciskała, żebyś podjął decyzję, a wcale tego nie chcę. - Westchnęła. - Powinnam pójść.

- Może powinnaś - odpowiedziałem uśmiechem.

Donna wyglądała na zmieszaną.

- Jeździsz samochodem, prawda? - zapytałem.

Kiwnęła głową.

- I dobrze znasz Brighton?

Znowu kiwnęła.

- Świetnie. - Przeszukałem kieszenie i wyciągnąłem kluczyki do samochodu i klucze do mieszkania. - Nie wiem, jakie masz plany na dzisiejszy wieczór, ale bardzo bym chciał, żebyś wzięła mój samochód do Brighton i została u mnie.

- A co ty będziesz tymczasem robić?

- Muszę coś załatwić. Opowiem ci wszystko, jak wrócę rano. Ale teraz musisz mi po prostu zaufać.

Donna uśmiechnęła się łagodnie i spojrzała na klucze w swojej dłoni.

- Tak jak ty ufasz mnie?

- Właśnie - odparłem. - Czasami po prostu trzeba mieć odrobinę wiary.

Podając Donnie szczegóły, gdzie stoi samochód i jak się dostać do mojego mieszkania i powiedziałem, żeby zadzwoniła, jeśli będzie czegokolwiek potrzebować. Potem udaliśmy się na zewnątrz i dołączyliśmy do kolejki do autobusu odjeżdżającego na parking. Padało i było zimno i zrozumiałem, dlaczego Donna jest ubrana tak ciepło. Chociaż teoretycznie był sierpień, pogoda bardziej kojarzyła się z końcem września. Zacząłem dygotać, kiedy chłód szybko przedarł się przez moje letnie ciuchy. Donna objęła mnie ramionami. Kiedy się do mnie przytuliła, podniosła głowę i pocałowaliśmy się. O ile po części byłem pewien, że to zły pomysł, skoro mamy jeszcze tyle do wyjaśnienia, to ogólnie po prostu cieszyłem się chwilą.

Przestaliśmy się całować, Donna zagryzła wargę w poczuciu winy i nie mówiąc już ani słowa, wskoczyła do autobusu. Usiadła z tyłu, a ja czułem się obserwowany przez pozostałych pasażerów, jakbym brał udział w jakimś nowym reality show. To mnie jednak nie obchodziło. Nie dawałem się i dygotałem cierpliwie, aż autobus wreszcie odjechał, a wtedy zaczerpnąłem głęboki oddech zimnego nocnego powietrza i wróciłem do terminalu odszukać Toma.

PIĘĆ GODZIN I CZTERDZIEŚCI MINUT

- Jak poszło? - zapytał Tom, kiedy znalazłem go siedzącego przy pustym stoliku w jedynej wciąż otwartej kawiarni.

- Chyba dobrze. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że odesłałem ją do mnie moim samochodem. Pomyślałem, że poczekamy tu, aż zadzwonisz. Może tak być?

- To miejsce dobre jak każde inne.

- Zawsze możemy pójść do hotelu czy coś - dodałem. - Musi ich tu być cała masa.

- Tu jest dobrze - powiedział Tom. - I tak wątpię, bym zasnął.

- Więc będziemy tu po prostu siedzieć do rana?

- Może niekoniecznie dokładnie tutaj - odparł. - Facet za ladą powiedział, że zaraz zamyka. - Zerknąłem na zegarek. Trzecia dwadzieścia. - Pięć godzin, czterdzieści minut - powiedział Tom, napotykJąc mój wzrok. - Kto by pomyślał, że minęło tyle czasu, odkąd wstałem rano. - Zastanowił się chwilę i zaśmiał. - Myślę, że czas naprawdę pędzi jak szalony, kiedy się dobrze bawisz.

Opowiedziałem dokładnie Tomowi, jak przebiegła moja rozmowa z Donną. Kiedy kawiarnię zamknięto, przemieszczaliśmy się z hali przylotów do hali odlotów i ostatecznie rozbiliśmy obóz na ławce przed rzędem nieczynnych stanowisk odprawy. Oprócz sprzątaczy sunących po podłodze maszynami sprzątającymi, nikt nie zwracał na nas specjalnej uwagi, przez resztę nocy mogliśmy sobie siedzieć i rozmawiać w spokoju. Rozmawialiśmy o czasach uniwersyteckich, przypominając sobie nawzajem żenujące momenty z

życia, zupełnie zapomniane. Rozmawialiśmy o tym, czego oczekiwaliśmy od życia i jak mogliśmy to osiągnąć, a wreszcie, kiedy noc przeszła już we wczesny ranek, rozmawialiśmy o wierze Toma i mojej. Była to interesująca, a chwilami też gorąca dyskusja i Tom wygłosił wiele opinii, z którymi nie mogłem się nie zgodzić. Nie powiem, że zmienił mój stosunek do religii, bo nie zmienił. Ale coś zmienił. Zacząłem inaczej myśleć o nim. Bez względu na moje opinie, wiara Toma dawała mu coś, czego szczerze mu zazdrościłem. I nie znaczy to, że zdawał się nie bać rozmowy z lekarzem. Bardziej chodziło o to, że w jego oczach widziałem, że nawet jeśli wiadomości będą złe, to w co Tom wierzy, w jakiś sposób da mu pocieszenie.

Kawiarnię otwarto ponownie o szóstej rano i byliśmy jej pierwszymi klientami. W miarę upływu czasu ruch wzrastał, aż wreszcie około ósmej osiągnął masę krytyczną - każdy stolik zajęty, wielkie kolejki do kas i personel, który zaczynał wyglądać na udręczony.

Kiedy już zostało tylko dwadzieścia minut do telefonu, Tom postanowił zadzwonić do Anne i dzieci.

- To nie potrwa długo, dobra?

Zastanawiałem się, czy ja też powinienem wykorzystać tę okazję, by zadzwonić. Wydarzenia nocnych godzin wydawały się teraz tak dalekie, że niemal się bałem, iż okażą się wymyślnym snem. Co prawda byłem szczęśliwy, wyobrażając sobie Donnę śpiącą w moim łóżku, ale jakaś moja część (a może cały ja) chciała zadzwonić do niej, tylko po to, by powiedzieć dzień dobry. Zaczął się nowy dzień, więc chciałem się z nią połączyć w nowy sposób. Choć jednak kilka razy wyciągałem telefon, po prostu nie mogłem się zdobyć na to, żeby zadzwonić, ze strachu, że wydarzenia nie potoczą się tak, jak bym chciał.

Tom wrócił do stolika jeszcze bardziej zmęczony i wycieńczony, jakby nagle wjechał czołowo w ceglany mur psychicznego wyczerpania.

- Wszystko dobrze?

Pokręcił głową i po raz pierwszy pomyślałem, że się załamie.

- Po prostu nie mogę uwierzyć, że to się naprawdę dzieje - powiedział. - Czuję się świetnie. Czuję się zdrowo. Przecież gdyby coś mi dolegało, czułbym się chory, prawda? Powtarzam sobie, że mam się spodziewać najgorszego, bo potem przynajmniej będę przygotowany. Ale nie mogę tego zrobić. Najgorsze jest zbyt przerażające, żeby o nim myśleć.

Siedzieliśmy, patrząc na swój zbiór pustych kubków po kawie.

- Jak dzieciaki? - zapytałem wreszcie.

- Dobrze - odparł Tom. - Dzisiaj dają nieźle popalić swojej babci, co może być tylko pozytywnym zjawiskiem. Anne i jej mama zabrały wczoraj dzieci na motylą farmę. Wygląda na to, że teraz Katie jak dorosnie chce być motylim farmerem, a Callum - gąsienicą... bo gąsienice całymi dniami jedzą.

- A więc Callum lubi jeść?

- Za jedzenie oddałby ojca, matkę i królową.

- Chciałbym je znowu zobaczyć. Na pewno strasznie urosły, odkąd widziałem je ostatni raz.

- One też chciałyby cię znowu zobaczyć. Bardzo się tobą interesują. Kiedy powiedziałem, że jadę na Kretę z wujkiem Charliem, zauważyłem, że jesteś dla nich taką dziwną, magiczną postacią. Myślą, że mieszkasz na Krecie, i z jakiegoś powodu trzymają się koncepcji, że jesteś bardzo wysoki. - Tom urwał.

- Zrobisz coś dla mnie?

- Tak, oczywiście. Wszystko, co chcesz.

- Jeśli wyniki będą złe, obiecasz, że zawsze pozostaniesz w kontakcie z moimi dziećmi?

- Oczywiście.

- Chodzi o to, że one są jeszcze małe. Zapomną.

- Oczywiście, że nie zapomną. Jesteś ich tatą. I przecież Anne będzie im przypominać przez cały czas.

- Wiem. I będzie się bardzo starać. Ale ja chcę, żeby one o mnie wiedziały wszystko. Żeby wiedziały, jaki ich tata był naprawdę. Że musiałem walczyć z przeciwnościami losu, tak jak one będą musiały. Nie chcę, żeby dorosły, myśląc, że byłem doskonały. - Tom znowu zerknął na zegarek. - Już czas - powiedział cicho.

- Gdzie chcesz to zrobić?

- Może być tutaj.

- Na pewno?

Kiwnął głową, niemal gniewnie patrząc na swój telefon. Kiedy zaczął wybierać numer swojego lekarza, wstrzymałem oddech. Chociaż powietrze tętniło monotonnym gwarem dziesiątek różnych rozmów, i tak słyszałem wysokie tony każdego klawisza wciskanego na klawiaturze. Nie byłem w stanie sobie wyobrazić, przez co on przechodzi. Przynajmniej nie na żadnym głębokim poziomie. Skąd mogłem wiedzieć, jak czuje się człowiek, który wie, że wszystko co kocha, balansuje niebezpiecznie nad przepaścią? Nie miałem żony. Nie miałem dzieci. Byłem tylko ja.

Wybrawszy ostatnią cyfrę, Tom odetchnął głęboko i przyłożył aparat do ucha. Jego twarz wykrzywiła się z gniewu i rzucił telefonem o podłogę.

- Zajęte, kurwa mać. - Kopnął puste krzesło obok siebie z taką siłą, że się przewróciło. Wszyscy w kawiarni odwrócili się i wbili w niego wzrok.

- W porządku, stary - powiedziałem, chwytając go za ramię, trochę aby sam siebie uspokoić. - Słuchaj, ja będę dzwonić, a kiedy tylko ktoś odbierze, podam ci słuchawkę.

Tom kiwnął głową i uspokoił się.

- Dzięki. - Podniósł telefon z podłogi. - Bardzo cię przepraszam.

- Nie przejmuj się - odparłem. - Zaczekaj tu, a ja będę próbował do skutku.

Wychodząc z kawiarni, skierowałem się do najbliższego kiosku w poszukiwaniu porannej gazety dla zajęcia myśli. Po drodze dwa razy wybrałem numer i za każdym razem było zajęte. Żeby się trochę uspokoić, powiedziałem sobie, że spróbuję ponownie dopiero, kiedy przeczytam wszystkie nagłówki w kiosku. I tak właśnie zrobiłem. Była to zwyczajna mieszanka polityki i skandali gwiazd, chociaż jeden tytuł poświęcony był paskudnej pogodzie, nękającej naród w ostatnich dniach. Pomimo siedmiodniowej nieobecności nie doczekałem się żadnej niespodzianki. Nic się nie zmieniało.

Znowu wyciągnąłem telefon i wybrałem numer. I moje serce załomotało, kiedy zamiast sygnału zajętości w końcu usłyszałem wolny. Kiedy biegłem do Toma co sił w nogach, ktoś po drugiej stronie odebrał telefon.

- Gabinet Brookdene Road - usłyszałem pogodny damski głos.

- Witam - rzuciłem, wreszcie docierając do kawiarni. - Mogłaby pani sekundę zaczekać?

Ledwie mogłem oddychać, kiedy Tom brał telefon z mojej ręki i podawał kobiecie swoje nazwisko, powód, dla którego dzwoni, i datę urodzin. I dalej wstrzymywałem oddech, kiedy Tom zamykał oczy w oczekiwaniu na wiadomość. W ułamku sekundy wszystko się zmieniło. Podano mu wyniki badań. I były dobre. Do dziś nigdy nie widziałem wyrazu twarzy tak pięknego i pełnego afirmacji życia jak oblicze Toma w tamtej chwili. Nie mam pojęcia, co sobie pomyśleli klienci kawiarni, kiedy wziąłem Toma w ramiona. I w ogóle mnie to zresztą nie obchodzi. Liczyło się tylko to, że Tom jest zdrowy.

ZUPEŁNIE NOWY POCZĄTEK

Rozpierała mnie radość, kiedy chwyciliśmy z Tomem walizki i ruszyliśmy na dworzec kolejowy. Czułem taką euforię, że chciałem zatrzymywać kompletnie obcych ludzi i przekazywać im dobre wieści.

Na dworcu kupiłem bilet do Brighton, a Tom do Londynu, skąd miał złapać pociąg do Coventry.

- Dziękuję za dzisiaj, Charlie - powiedział mój przyjaciel, kiedy weszliśmy na jego peron, dokładnie w chwili gdy skład do Londynu zatrzymał się i otworzył drzwi. - Bez ciebie nie dałbym rady.

- Doskonale byś sobie poradził - odparłem. - Ja nic nie zrobiłem. Cieszę się po prostu, że jesteś zdrowy.

- Ale przyjedziesz do nas w odwiedziny, prawda? - Wziął do ręki walizkę.

- Anne mówiła dzisiaj rano, że bardzo chciały cię zobaczyć.

- Na pewno przyjadę. A ty też przywieź ich wszystkich do Brighton na weekend. Może naszej plaży daleko do kreteńskiej, ale wystarczy na ferie śródsemestralne.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i Tom spojrzał na mnie w zamyśleniu.

- Mam nadzieję, że uda ci się z Donną - powiedział. - Zaszługujesz na szczęście.

Tom wsiadł do pociągu, a ja zostałem na peronie, zatopiony w rozmyśleniach, długo po jego odjeździe. Znowu myślałem o wakacjach, o Donnie, o Lisie i Sarze, ale przede wszystkim o Andym. Nadal nie mogłem uwierzyć w to, co mu zrobiłem. Że tak go zdradziłem. I chociaż wiedziałem, że pewnie

nigdy już go nie zobaczę, nie mogłem znieść myśli, że tak strasznie go zawiodłem. Kiedy wychodziłem ze stacji, by poszukać taksówki, wyciągnąłem telefon. „Na Krecie późny ranek” - pomyślałem, zerknąwszy na zegarek, i mimo woli uśmiechnąłem się lekko, zastanawiając się, czy Andy już wstał. Wybrałem jego numer i postanowiłem się dowiedzieć. Telefon zdawał się dzwonić w nieskończoność, ale w końcu ktoś odebrał.

- Słucham? - powiedział zamroczony damski głos.

- Lisa, mówi Charlie.

- Ach, Charlie... przepraszam. Mocno spałam. Wróciłeś już do domu? Jak Tom? Ma już wyniki? Nic mu nie jest?

- Jest zdrowy. Wyniki są negatywne.

- To cudownie! - Po chwili usłyszałem, jak Lisa przekazuje wiadomości Andy'emu. Uśmiechnąłem się, kiedy usłyszałem, jak on ryczy potężnie, jakby właśnie jego drużyna strzeliła gola w finale mistrzostw świata. - Tak się cieszę, Charlie. Naprawdę. Jeśli będziesz rozmawiał z Tomem, powiedz mu, że niedługo zadzwonimy.

- Powiem.

Nastąpiła krótka pauza.

- Dzwoniłem nie tylko z wiadomościami o Tomie - podjąłem. - Miałem nadzieję pogadać też z Andym, jeśli można.

- Oczywiście - powiedziała Lisa. - Już mu oddaję telefon.

Kiedy słuchałem zakłóceń po drugiej stronie, zacząłem się zastanawiać, czy ten telefon da mi rozgrzeszenie, którego tak gorąco pragnąłem. Wiadome fakty się nie zmieniły teraz, po moim powrocie. Uczucia przez nie wywołane, chociaż mniej żywe z mojej strony, w Andym wciąż wzbierały. I chociaż moja odraza do siebie utrzymywała się na najwyższym poziomie, nadal nie byłem wcale pewien, czy podołam kolejnemu odrzuceniu moich wysiłków zmierzających do poprawy sytuacji. „Może ja tylko pogarszam sytuację - pomyślałem. - Może należałoby to zostawić w spokoju”. Już miałem się rozłączyć, kiedy Andy w końcu wziął telefon.

- Charlie - powiedział spokojnie. - Dobrze słyszeć wieści o Tomie.
- O tak - odparłem.

Długa cisza.

- Lisa jeszcze tam jest? - zapytałem.
- Nie, poszła pod prysznic. A czemu pytasz?
- Bo chcę... muszę z tobą pogadać.

- Wiem. Ja też muszę. Chciałem do ciebie zadzwonić za kilka dni. Paskudne poczucie, co? Chcę cię nienawidzić i czuję, że mam do tego wystarczający powód, ale po prostu nie umiem... i ostatniej nocy zrozumiałem dlaczego. Prawda jest taka, że po tym wszystkim mogłem stracić Lisę. Kogoś, kto stał przy mnie we wszystkich złych chwilach mojego życia. I gdybym miał kogoś winić, nie mógłbym winić nikogo prócz siebie. Nie ciebie. Siebie. Tylko siebie. Zdradziłem ją strasznie tyle razy i zawsze ty musiałeś po mnie sprzątać cały bajzel, więc trudno się dziwić, że w końcu zwróciła się ku tobie.

- Ale to był mój wybór. Nie musiałem tego robić, prawda? Mogłem się trzymać od niej z daleka.

- Myślę, że widziałeś, jak zdradzam Lisę, i nabrałeś przekonania, że wkroczysz do akcji i wszystko naprawisz. Lisa powtórzyła mi wszystko, co jej mówiłeś. Jak chciałeś, żeby ode mnie odeszła i żeby była z tobą.

- Ale ona by tego nie zrobiła. Wołała ciebie.

- Ułatwiłbyś sobie zadanie, gdybyś jej powiedział o Ninie. Ale nie powiedziałeś. Dlaczego?

- Okłamywałem ją na temat twoich poczynań. Nie miałem wyjścia.

- Wszystko pięknie, ale nie wierzę ci ani trochę. Mogłeś się zrećnie wykręcić do winy. Kryłeś mnie, bo nie miałeś wyboru. Nie powiedziałeś jej o Ninie, bo miałeś nadzieję, że oprzytomnieje. Ona by to zrozumiała, bo nikt tak jak ona nie umie spojrzeć na sprawy z punktu widzenia innej osoby. A ty nie jesteś głupi, Charlie. Wiedziałeś o tym.

- Nie rozumiem. Co chcesz mi powiedzieć?

- Chcę ci powiedzieć to, co wiem na pewno: że nawet kiedy już to wszystko się wydarzyło, nadal nie umiałeś mnie zdradzić. Tamtej nocy w knajpie nie powiedziałaś Lisie, co zrobiłem. Powiedziałaś mnie, co sam zrobiłeś. Mimo że mogłeś mnie zdradzić, nie zrobiłeś tego, zdradziłeś sam siebie. I dlatego właśnie nie umiem cię nienawidzić. Znam się na tym. Nikt tak jak ja nie umie sprawić zawodu.

- Wiem, co chcesz mi powiedzieć. Że cię zawiodłem.

- Nie - odrzekł Andy. - Wszystko pokręciłeś. Zawsze miałeś zasady, a jednak pozwoliłeś, żebym cię wciągnął w bagno bez zasad. Na tym polega mój problem. To nie mnie zawiodłeś, lecz samego siebie. I w głębi serca wiem, że dostałeś nauczkę. Już nigdy tego nie zrobisz, bo teraz wiesz już, jakie to uczucie. Więc przestań się nad sobą znęcać. Co się stało, to się nie odstanie. Pozbieraj się do kupy i zrób to co ja: zacznij wszystko od początku. Zupełnie nowy początek. I obiecaj sobie, że nigdy do tego nie wrócisz.

TYLKO MY

Kiedy taksówka, którą wziąłem z lotniska, stanęła pod moim domem i zobaczyłem Donnę stojącą na progu, wszystkie wątpliwości, które usiłowały zawładnąć moimi myślami, rozplynęły się bez śladu. Wytaszczyłem walizkę z taksówki, a ona zeszła ze schodków na ulicę tak szybko, że zanim zwolniłem taksówkę, już miałem jej ręce na szyi i całowałem się z nią.

- Myślałam, że już nigdy nie przyjedziesz - wyszeptwała.

- A ja myślałem, że może cię tu nie będzie.

- Zawsze tu będę, jeśli chcesz - uśmiechnęła się.

- W takim razie - odparłem, biorąc ją za rękę - myślę, że powinnaś wiedzieć, że w tej chwili chcę, żebyś zawsze tu była.

- Nie chcę od ciebie żadnych gwarancji, Charlie - powiedziała, bacznie przyglądając się mojej twarzy.

- A więc czego potrzebujesz?

- Żebyśmy zaczęli od początku. Ty i ja, tu i teraz. Żadnej przeszłości. Żadnych trosk. Tylko my.

Pomyślałem o Andym. Miał rację. Nowe początki. Zupełnie nowy początek. No to do dzieła.

- Cześć, jestem Charlie Mansell - powiedziałem, wyciągając rękę do Donny. - Cieszę się, że cię poznałem.

- Cześć, Charlie Mansellu - odparła Donna, wymieniając ze mną uścisk dłoni. - Jestem Donna Finch i też się cieszę, że cię poznałam.

- I jak wypadł nowy początek? - zapytałem.

- Dobrze.

- Naprawdę? A ja myślę, że można co nieco poprawić. - Uśmiechając się

szeroko, pochyliłem się i pocałowałem ją mocno w usta.
- A teraz? - wyszeptalem, kiedy nasze usta się rozdzieliły.
- Lepiej - powiedziała Donna. - O wiele lepiej.

EPILOG

DOPÓKI JESTEŚMY RAZEM

I o to właśnie chodzi. Oto opowieść, jak to rok temu tanie wczasy w pakiecie zmieniły moje życie. Zmieniły na dobre. I jest lepiej. Zdecydowanie. Donna i Sadie (cudowne dziecko, swoją drogą, którego nie mógłbym kochać bardziej, nawet gdyby było moim rodzonym) przeprowadziły się ze wschodniego Londynu do Brighton, kiedy byliśmy już ze sobą pół roku. Proponowałem, że przeniosę się do Londynu, ale Donna mi przypomniała, że Sadie zawsze chciała mieszkać nad morzem i po okresie życia śródlądowego jest gotowa na nowe wyzwania. Krótko rozmawialiśmy o zamieszkaniu razem, ale kiedy wzięliśmy pod uwagę Sadie i byłego męża Donny, uznaliśmy, że byłoby na to trochę za wcześnie, i w końcu Donna wynajęła mieszkanie trzy domy ode mnie. Znalazła też nową pracę, w księgarni w centrum Brighton, bo chciała odpocząć od pielęgniarstwa. Zarabiała mniej i musiała pracować w co drugą sobotę, ale ta nowa praca dawała jej o wiele więcej radości niż stara, i otaczali ją fajni ludzie.

Ja dalej pracowałem w radzie gminy, chociaż po wakacjach marzyłem, żeby się spakować i przenieść na stałe do kraju, w którym dobra pogoda jest pewna przynajmniej w sierpniu. Z pomocą Donny zrobiłem mnóstwo rzeczy w domu: wszystkie te rzeczy, które zawsze chciałem zrobić, ale nigdy się za nie nie zabrałem. Więc teraz każde pomieszczenie zostało pomalowane od sufitu po podłogę: wstawiłem nowe meble do kuchni i łazienki, uzupełniłem też w końcu braki w meblach powstałe po wyprowadzce Sary. Goście nie musieli już siedzieć na krzesłach z jadalni ani na dywanie. Miałem porządną kanapę i stół i mnóstwo innych rzeczy, które mają w swoich domach cywilizowani ludzie.

Pewnego sobotniego ranka na początku nowego roku Donna i ja kupiliśmy nową kanapę. Sadie spędzała weekend z tatą, a Donna przyjechała na te dwa dni do Brighton. Zadowoleni, że w końcu odhaczyliśmy pozycję „kupić Charliemu kanapę” z długiej listy rzeczy „do zrobienia”, zdecydowaliśmy się pójść na lunch do naprawdę miłej knajpki w Lanes. Już mieliśmy wejść, gdy otworzyły się drzwi i wyszła z nich para pchająca jeden z tych modnych wózków dziecięcych, które wyglądają jak lądownik księżycowy. Dopiero kiedy się rozstąpiliśmy, a para z wózkiem podniosła wzrok, by nam podziękować, zdałem sobie sprawę, że stoi przede mną Sara.

Chociaż spodziewałem się nieuniknionego spotkania z moją byłą, w miarę jak czas upływał, a wspomnienie o niej bladło, uznałem (a może miałem taką nadzieję), że Sara w ogóle wyjechała z Brighton. Kiedy więc zobaczyłem ją tamtego dnia, muszę przyznać, że byłem zaskoczony. Donna mówiła, że całkiem dobrze się spisałem, ale ja nie jestem tego pewien. Przecież ten ostry ból, który poczułem, musiał się uwidocznic na mojej twarzy. Nie wiem, co go spowodowało. Czy to wstrząs na widok Sary, czy Olivera, czy nawet ich dziecka, dziewczynki o imieniu Daisy? Ale wiem, że zabolalo. Pewnie bardziej, niż powinno.

Sara i ja pogadaliśmy chwilę i dokonaliśmy niezbędnych prezentacji. Wyglądała na szczęśliwą i zdrową i musiałem powiedzieć, że wydawali się bardziej dobrani jako para niż my. Po mniej więcej pięciu minutach grzecznościowej pogawędki pożegnaliśmy się. Ale raczej w tonie „No to cześć, wszystkiego dobrego”.

My z Donną weszliśmy do kawiarni, a ja się cieszyłem, że ona nie robi z tego wielkiej sprawy, chociaż miałyby do tego wszelkie prawo. Prawdę mówiąc, Donna w ogóle o tym nie wspomniała, dopóki ja tego nie zrobiłem któregoś wieczora mniej więcej miesiąc później. Staliśmy w mojej kuchni, rozmawiając o wszystkim i o niczym, kiedy zszedłem na ten temat. Powiedziałem, że bardzo mi przykro, że tak zareagowałem, i że widok Sary mnie

zaskoczył. Donna zdawała się rozumieć, o co mi chodzi i w efekcie dyskutowaliśmy o tym prawie do rana. Sprawy z jej i mojej przeszłości, sprawy, o których nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy, wypłynęły na wierzch i chociaż czasami robiło się przygnębiająco, ta fala wyznań przyniosła taki efekt, że Donna powiedziała, że mnie kocha, a ja z kolei, że czuję to samo.

Kiedy nadeszła wiosna i nawet w Brighton zrobiło się trochę cieplej, rozmawialiśmy o wspólnych wakacjach całej naszej trójki - Donny, Sadie i mnie. Pierwsze pomysły sięgały od tygodnia w eleganckim hotelu na Saint Lucii po dwa tygodnie na kempingu w południowej Walii. Po prostu nie mogliśmy się zdecydować. Potem, około Wielkanocy przyjechał do nas na kilka dni Tom z żoną i dziećmi i złożyli nam propozycję, której nie mogliśmy odrzucić, ani ja, ani Donna.

- Może pojechalibyśmy na wakacje wszyscy razem? - zasugerował Tom, kiedy wszyscy zajadaliśmy chipsy na ławce przed starym moło w Brighton. - Wymieniłem z Andym kilka mejli na ten temat. Jego kolega ma willę w Stalis. Andy mówi, że może zdoła nam ją tanio załatwić na tydzień. Są tam cztery sypialnie, basen i tylko pięć minut na plażę. Co wy na to?

Minął jakiś czas, odkąd rozmawiałem z Andym przez telefon. Żaden z nas nie nadawał się szczególnie do długich rozmów telefonicznych, a miałem mu więcej do powiedzenia, niż zdołałbym zmieścić w mejlu. I chociaż oboje ich widziałem na Boże Narodzenie, kiedy wrócili do Wielkiej Brytanii zobaczyć się z rodzinami i dopiąć niektóre sprawy związane ze sprzedażą domu, czas upłynął tak szybko, że w tej chwili czułem się, jakbym ich w ogóle nie widział.

- Chcesz jechać, prawda? - zapytała Donna.

- Oczywiście - odparłem. - Ale zrozumieć, jeśli ty nie będziesz chciała. To w końcu nasze pierwsze wspólne wakacje.

- Oszalałeś - powiedziała z uśmiechem. - No pewnie, że chcę jechać. Nie ma znaczenia, dokąd jedziemy, dopóki jesteście razem.

I tak się stało. Zaplanowaliśmy wspólny pobyt w willi kolegi Andy'ego w sierpniu. W noc przed lotem Tom i jego rodzina zatrzymali się u mnie, a następnego dnia pojechaliśmy razem na Gatwick i wsiedliśmy w południowy samolot na Krete. Kiedy tylko zobaczyłem Andy'ego i Lisę czekających na nas w hali przylotów, zrozumiałem, że nowe życie im służy. W jednako-wo ciemnej opaleniznie i T-shirtach z napisem „Bar u Andy'ego - najlepszy nocny lokal w Stalis” wyglądali w każdym calu na parę doskonałą.

Cały tydzień upłynął nienagannie, od początku do końca. Pogoda codziennie była doskonała. Willa naprawdę stała pięć minut od plaży i wszyscy doskonale się zgraliśmy. Andy nie był już takim pyszałkiem jak kiedyś. W zasadzie przez całe wakacje był niemal (ale nie do końca) konsekwentnie sympatyczny. Oczywiście nie ominęła nas próba kłótni (Tom i Andy posprzeczekali się o najlepszy sposób opiekania ryby na grillu, natomiast ja i Andy poprztykaliśmy się o to, kto zostanie następnym premierem), ale poza tym wszystko było świetne. Pewnego wieczoru wybraliśmy się nawet w trójkę na krótki wypad do Malii, przez wzgląd na stare czasy, ale nawet nie wysiedliśmy z samochodu. Siedzieliśmy przy opuszczonych szybach, zadowolając się oglądaniem tętniących życiem tłumów młodych Brytyjczyków zaznajających największych uciech życia.

Rankiem ostatniego dnia wakacji budowaliśmy z dziećmi zamki z piasku, kiedy wszystkimi wstrząsnął okrzyk Andy'ego: „A co z tatuażami?”.

Odkąd je zrobiliśmy, żaden z nas nie pamiętał, żeby obejrzeć tatuaże pozostałych kolegów. Chętny rozpocząć zabawę, Andy szybko ściągnął T-shirta, by ukazać chiński symbol pomiędzy łopatkami.

- To chiński symbol miłości - powiedział. - Ale tak słabo mówię po chińsku, że równie dobrze może to być cokolwiek innego.

Tom zakasał rękaw koszulki i pokazał trzy imiona na bicepsie: Anne, Callum, Katie. Anne wybuchnęła śmiechem.

- Nie mogłeś sobie zrobić kotwicy albo smoka, jak wszyscy inni na świecie?

- Nie podoba ci się? - zapytał Andy. - Moim zdaniem jest świetny.

- Nie w tym rzecz - powiedziała Anne, rumieniąc się. - Za siedem miesięcy będzie musiał dopisać jedno imię.

- To cudowne wieści - poklepałem Toma po ramieniu, a pozostali dołączyli do gratulacji. Kiedy zamieszanie przygasło, Tom zażądał prezentacji mojego tatuażu.

- Będę miał z tym pewien problem - odparłem, podwijając rękaw T-shirta.

- Gdzie on jest?

- Usunąłem go.

- Jak to?! - zapytał Andy. - Lepiej, żebyś miał jakiś dobry powód.

- Mam - odparłem, zerkając na Donnę i Sadie z uśmiechem. - Najlepszy z możliwych: już go nie potrzebuję.